

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

---

76



20

ABSE ACHMATOWA ADAMIEC ADCOCK AJVAZ ALOCHIN ALTIEV -AMICHAJ ANCET ANDERMAN  
ANDRZEJEWSKI ANTONIUK APOLLINAIRE APPEL ARP ASMUS ASPENSTRÖM ATWOOD AUSLÄNDER  
AUSTER AWIDAN BACHMANN BACON BACZAK BADZIĄG BAGIŃSKI BAJSIĆ BAKEVSKI BALANTIC  
BALCERZAN BALIŃSKI BANACHI BANVILLE BARAN BARANOWSKA BARELKOWSKA BARRAL  
BARTCZAK BARTOSZEWSKI BATHELIER BECKETT BEDNARCZYK BE'ER BELMONT BENKA BENN  
BERLIN BERNACKI BERNADAC BERNHARD BESANÇON BESZCZYŃSKA BEYER BIAŁOSZEWSKI  
BIELSKA-KRAWCZYK BIEŃKOWSKA BIEŃKOWSKI BIGA BLIN BLOOM BŁASIAK BŁOŃSKI  
BOBKOWSKI BOCHEŃSKI BOCZKOWSKI BOLECKA BOLECKI BOLEWSKI BORGES BORKOWSKA  
BOROWIEC BORUŃ BOURGEOIS BRAKONIECKI BRAUN BRAUTIGAN BRAY BRECHT  
BRKA BRODA BRODSKI BRONIEWSKI BROWN BRUNNE BRZOSKA BUKOWSKI BUNIN  
BUREK BURIAN BURYŁA BUSZA CALDER CELAN CELINE CENDRARS CHALFI  
CHETWYND CHEVILLARD CHLEBNIKOW CHOJNOWSKI CHOLIN CHWIN CIELECKI  
CIELESZ CIESIELSKA CISŁO CLAUDEL CLUCHEY CRONIN CUMMINGS CVETKOVSKI  
CYRANOWICZ CZARKOWSKI CZAYKOWSKI CZĘSTOCHOWSKI CZUCHNOWSKI CZUKU  
ĆWIKLIŃSKI ĆGEGEC DANILEWICZ-ZIELIŃSKA DANN DĄBROWSKA DĄBROWSKI  
DEHNEL DELEUZE DERDOWSKI DEVILLE DEBICZ DICKINSON DŁUSKI DOBIES  
DOMARUS DOOLITTLE DORN DRAWERT DRIVER DUBOWIK DUKES DUNIN  
DUPIN DURAKOWIĆ DURAS DYAKOWSKI DZIEŃ DZIURZYŃSKI ECHENOZ  
T.SELIOT ENGELKING ENRIGHT ENZENSBERGER ESSLIN FABJAN FALARSKI  
FERENC FERRINI FIETT FILIPIAK FIUT FLAUBERT FLEISCHMANN FLETCHER  
FRAJLICH FRANASZEK FRANIA FRÉNAUD FRIEDELÓWNA FUCHS FRYDRYZAK  
GAILLY GALAS GARDZIELWSKA GARLICKA GASPAROW GENET GEORGIEW  
GIACOMETTI GIDLECKA GIEDROYC GILBOA GINSBERG GIERSZEWSKI GIZELLA  
GLONDYS GŁOWIŃSKI GOERKE GOMORI GORCZYŃSKA GRABOWSKI GROSSMAN  
GRUCHAŁA GRUDZIŃSKA GRUNBEIN GRZEBALSKI GRZEGORZEWSKA GRZESIAK  
GRUSE GRYKO GRYNBERG GURI GUTOROW GUTOWSKI HALAS HAMKALO  
HANDKE HARRIS HARTWIG HASS HASSEK HAVEL HEDLUND HELLIKES HERBERT  
HERLING-GRUDZIŃSKI HERTZ HETMAN HIEBEL HOFFMAN HOFFMANN HOLUB HONET HÖLDERLIN  
HRYNACZ HUNKELER HUNTER IONESCO ISSA IWANIUK JACCOTTET JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA  
JANKOWSKI JANKO JAN PAWEŁ II JARNIEWICZ JARZĘBSKI JASEK JASPER JASTRUN JASTRZĘBIEC-  
-MOSAKOWSKI JELINEK JEDLIŃSKI JELŁOŃ JENTYS JONATAN JOYCE JUARROZ JULIET A. JUREWICZ  
J. JUREWICZ JURKOWSKA JURZYSTA KAJAK KAKAREKO KALANDYK KALB KALISZER-HAZAZ KALINOWSKI  
KALOTA-SZYMAŃSKA KANTOR KAPUSCIŃSKI KARASEK KAROLAK KASTEL-BLUM KAWAFIS KEDZIERSKI  
KIBIROW KIELAR KIEPUSZEWSKI KIERC KIJOWSKI KISEVIC KIJSCH KIZNY KLEJNOCKI KLOTT KŁOCZOWSKI  
JA.KOBIERSKI R.KOBIERSKI KOHLER KOLBE KOLTES KOŁACKA KONWICKI KOVILOVSKI JULIAN KORNHAUSER  
JAKUB KORNHAUSER KORZENIOWSKI KOSIŃSKA KOŚCIAŁKOWSKA KOTAŃSKI KOTLARCZYK KOZIOŁ  
KOZMIŃSKI KRAL KRASIŃSKI KRAUSS KREMER KRÓL KRYNICKI KRYSZAK KRZYŻAN KUBIAK KUCIAK  
KURAŚ KUREK KURYLAK KURYLUK KUŚ KUŻMIŃSKI KÜSTER KWIATKOWSKI LALIĆ LASECKI LASKER-  
-SCHÜLER LATAWIEC LE CLÉZIO LEFCOWITZ LEKSZYCKI LEM LEMPP LENOIR LEŃCIAK LESZKOWICZ  
LEWANDOWSKI LEVERTOV LEVINE LIBERA LIGEŻA LINDON LIPKA LIPSKA LIPSKI LIRA-ŚLIWA  
LISOWSKI LORD LOVELL LUBIŃSKA LUDWIKOWSKA LUKIĆ LUPA LUKASIEWICZ LUKASZEWICZ MACCAIG  
MACIERZYŃSKI MACKIEWICZ MADEJSKI MAJ MAJERSKI MAKOWI MALISZEWSKI MARCZEWSKI MAGEN  
MARCZEWSKI MARJAŃSKA MASIANIS MASON MATUSZEWSKI MATYWIECKI MAUVIGNIER MACCAIG MCMULLAN  
MELBECHOWSKA-LUTY MELECKI MENASSE MESCHONNIC MICHAŁ ANIOŁ MICHAŁOWSKI MIELHORSKI  
MIESZKO MIEDZYRZECKI MIKOŁAJCZAK MIKOŁAJEWSKI MIŁOSŁAWSKI MIŁOSZ MISIAK MITTERMAYER  
MITZNER MIZERKIEWICZ MLADENOSKI MOCARSKA-TYCOWA MOCZKODAN MOCZULSKI MORAWIEC MOŚCICKI  
MOYER MÜLLER-FREIENFELS MUSIAŁ MUSZYŃSKI MYSZKOWSKI NAPIÓRKOWSKI NASIŁOWSKA NDIAYE  
NIEMIEC NIXON NOWACKI NOWAKOWSKA NOWICKI NOWOSIELSKI OLEK OLEJDZKA-FRYBESOWA ONDAATJE  
OPALIŃSKA ORDAN ORŁOŚ ORSKI OŚTER OSTI OSZAJCA ÖZKÖK PACHOCKI PACHOLSKI PANCCENKO  
PANKOWSKI PAWLUŚ PAWŁOWSKA PAZNIEWSKI PENDERECKI PETRESKI PIASZCZYŃSKI PIECHOCKA  
PIECHOWICZ PIECZYŃSKI PIETRYK PILCH PINGET PINTER PINTILIE PIRIE PIWKOWSKA PIJCUCH  
PLATH PLUTOWICZ POLKOWSKI POLLAKÓWNA POMORSKI POTOKAR POUND PRAŻMÓ PROCKI PRUSS  
PRZYBYŁAK PRZYBYŚLAWSKI PUCLATA QUADFLIEG RABINOVICI RADZIEJOWSKI RAWIKOWICZ RENOARD  
REŠICKI REUBNER REVERDY REXROTH RIEGEL RIEGER ROBBE-GRILLET ROBERTS RODOWSKA ROGUSKI  
ROMANOW ROSENTHAL ROSSET ROTH ROTHMANN ROUAUD J. RÓŻEWICZ ST. RÓŻEWICZ T. RÓŻEWICZ  
RÓŻYCKI RUBINSTEIN RUTKOWSKI J.MRYMKIEWICZ RZĘDZIAN SACHS SADECKI SALAMUN SALMONOWICZ  
SALSKA SARAJLIĆ SARNA SARRAUTE SARTRE SCHILLER SCHEIDEGGER SCHNEIDER SCHUBERT SEIFERT  
SEJFAS SENKTAS SEXTON ŠILJEN SIGEL SIEMASZKO SIENKIEWICZ SIMIĆ SIMON SINGER SIWCZYK  
SIWIEC SKRENDO SKUCZYŃSKI SKWARŃICKI SŁAWIŃSKA SŁAWNIKOWSKI ŚMALCERZ ŚMOLKA SNYDER  
SOBKOWIAK SOBOLCZYK SOBOLEWSKI SOCHOŃ SOKOŁOWSKI SOLIŃSKI SOMMER SONNENBERG STACHURA  
STANIŁKO STANKOWSKA STARCZAK-KOZŁOWSKA STASIUK STASKIEWICZ STEFKO STERN STERNA-WACHOWIAK  
STOJIC STREERWITZ STROIŃSKI STRUMILLO-MIŁOSZ STRUMYK STYCZEN SULEJMAN SUSLIN SYLVESTER  
SYNDER SYNORADZKA SZAFRANIEC SZARMACH SZARUGA JJSZCZEPAŃSKI SZEWC SZKŁOWSKI SZŁOSAREK  
SZUBA SZUBER SZWALBE A.SZYMAŃSKA B.SZYMAŃSKA I.SZYMAŃSKA SZYMANOWSKI SZYMBORSKA ŚMIEJA  
TABORSKI TAŃSKI TERC THOMAS TISCHNER TKACZYŃSKA-DYCKI TOCINOVSKI TOMASIK TOUSSAINT  
TRAKI TRIEHEL TRZEĆIAKOWSKI TUNNER TUSZYŃSKA TWARDOWSKI TYRANKIEWICZ VARGA VIEL  
VODUSEK WAJDA WALC WALSER WANIEK WANTUCH WARTA WEBER WELTER WENCEL WENDORFF  
WHIETELAW WHITMAN WIECZOREK WILDE WILLIAMS WINIARSKI WIRPSZA WIŚNIEWSKI WTKOWSKI  
WOHN WOJCIECHOWSKA WOJCIECHOWSKI WOLSKI WOŁOSZYN WOROSZYLSKI WÓJCIK WRÓBLEWSKI  
K.WYKA M.WYKA WYCZÓLKOWSKA YEATS ZACH ZADURA ZAGAJEWSKI ZAJC ZAMARA ZAREBIANKA  
ZAWADA ZAWISTOWSKI ZEGARLIŃSKI ZETTINGER ZIELENKIEWICZ ZIEMIŃSKI ŻAKIEWICZ ŻYŁKO ŻAGAR

#### ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, [Jan Błoński](#), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,  
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

#### REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny  
Paweł Tański – sekretarz redakcji  
Barbara Dąbrowa – biuro redakcji

CZESŁAW MIŁOSZ	4	Do leszczyny
	5	Druga przestrzeń
WISŁAWA SZYMBORSKA	7	Pierwsza miłość
ZBIGNIEW HERBERT	9	Brewiarz
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	11	Dwadzieścia lat literatury
CZESŁAW MIŁOSZ	15	Życzenia dla „Kwartalnika Artystycznego”

## GŁOSY I GLOSY NA 20-LECIE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

17 JULIA HARTWIG, KAZIMIERZ BRAKONIECKI, STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT, MICHAŁ GŁOWIŃSKI, RENATA GORCZYŃSKA, MAREK KĘDZIERSKI, BOGUSŁAW KIERC, JAKUB KORNHAUSER, KRZYSZTOF LISOWSKI, PIOTR MATYWIECKI, ANNA NASIŁOWSKA, MAREK SKWARNICKI, LESZEK SZARUGA, JANUSZ SZUBER

JULIA HARTWIG	49	Wychodzi na światło
	50	Kim jesteś

## ANKIETA

### Po co literatura?

JULIA HARTWIG	52	***
TADEUSZ RÓŻEWICZ	55	Jak szybko zmienia się człowiek
SAMUEL BECKETT	61	Nienazywalne (dwa fragmenty)
ASJA SZAFRANIEC	76	Nienazywalny podmiot u Becketta
PAUL CELAN	91	Białe i lekkie
	93	Wytrawiona przez
	94	Mulista, potem zielna
	95	Wieczności, nad tobą
	96	Blisko, w łuku aorty
	97	Z niezapisanych
	98	Coś, jak noc, bardziej...
	99	I siła, i ból
	100	W moim roztrzaskanym kolanie

THOMAS BERNHARD	101	Korekta (dwa fragmenty)
JANUSZ SZUBER	113	Byle bez
MAREK KĘDZIERSKI	115	Interludia (2)
BOGUSŁAW KIERC	131	Niebo nie
	132	Na jednej nodze
	133	Z Memlinga
MAREK WENDORFF	135	Kolaże, montaże i różne inne awantaże, czyli papremiery polskie 2012
RENATA SENKTAS	142	Czwartek, piątek
	143	Dwie fotki z Otwocka
ALEKSANDRA OPALIŃSKA	144	Oczekiwanie // Słowa
	145	Nadzieja

#### **VARIA**

STEFAN CHWIN	153	Dawne słowa
MICHAŁ GŁOWIŃSKI	157	Pani nie ma w domu
KRZYSZTOF MYŚKOWSKI	164	Addenda (27)
MAREK SKWARNICKI	167	Hejnał mariacki (14)
LESZEK SZARUGA	172	Jazda (24)
PIOTR SZEWC	177	Z powodu i bez powodu (29)

#### **RECENZJE**

PAWEŁ MACKIEWICZ	181	Pięć orzechów włoskich i celesta
JERZY MADEJSKI	184	Pożytki z czytania listów
LESZEK SZARUGA	189	Osnowa
NOTY O AUTORACH	193	
NOTY O KSIĄŻKACH	195	
NOWE KSIĄŻKI	214	





# CZESŁAW MIŁOSZ

## Do leszczyny

Nie poznajesz mnie, ale to ja, ten sam,  
Który wycinał na łuki twoje brunatne pręty,  
Takie proste i śmigłe w biegnięciu do słońca.  
Rozrosłaś się, ogromny twój cień, hodujesz pędy nowe.  
Szkoda, że tamtym chłopcem już nie jestem.  
Chyba kij sobie bym wyciął, bo widzisz, chodzę o lasce.

Kochałem twoją korę, brązową z białym nalotem,  
Koloru najzupełniej leszczynowego.  
Radują mnie te, co przetrwały, dęby i jesiony,  
Ale ty ucieszyłaś mnie najbardziej,  
Jak zawsze czarodziejska, z perłami twoich orzechów,  
Z pokoleniami wiewiórek, które w tobie tańczyły.

Jest coś z heraklitejskiej zadumy, kiedy tutaj stoję,  
Pamiętając siebie minionego  
I życie, jakie było, a też jakie być mogło.  
Nic nie trwa, ale trwa wszystko: ogromna stałość.  
I próbuję w niej umieścić moje przeznaczenie,  
Którego, tak naprawdę, przyjąć nie chciałem.  
Byłem szczęśliwy z moim łukiem, skradając się brzegiem baśni.  
Co stało się ze mną później, zasługuje na wzruszenie ramion.  
I jest tylko biografią, to znaczy zmyśleniem.

### POST SCRIPTUM

Biografia, czyli zmyślenie albo wielki sen.  
Obłoki ułożone warstwowo na skrawku nieba między jasnością brzoź.  
Żółte i rdzawe winnice pod wieczór.  
Na krótko byłem sługą i wędrowcem.  
Odpuszczony, wracam drogą niebyłą.

*Szetejnie – Napa Valley, jesień 1997*

---

„Kwartalnik Artystyczny” nr 2/1998 (18)

## Druga przestrzeń

Jakie przestronne niebiańskie pokoje!  
Wstępowanie do nich po stopniach z powietrza.  
Nad obłokami rajske wiszące ogrody.

Dusza odrywa się od ciała i szybuje,  
Pamięta, że jest wysokość  
I jest niskość.

Czy naprawdę zgubiliśmy wiarę w drugą przestrzeń?  
I znikło, przepadło i Niebo, i Piekło?

Bez łąk pozaziemskich jak spotkać Zbawienie?  
Gdzie znajdzie sobie siedzibę związek potępionych?

Płaczmy, lametujmy po wielkiej utracie.  
Porysujmy węglem twarze, rozpuszczajmy włosy.

Błagajmy, niech nam będzie wrócona  
Druga przestrzeń.





WISŁAWA SZYMBORSKA

## Pierwsza miłość

Mówią,  
że pierwsza miłość najważniejsza.  
To bardzo romantyczny,  
ale nie mój przypadek.

Coś między nami było i nie było,  
działo się i podziało.

Nie drżą mi ręce,  
kiedy natrafiam na drobne pamiątki  
i zwitek listów przewiązanych sznurkiem  
– żeby chociaż wstążeczką.

Nasze jedyne spotkanie po latach  
to rozmowa dwóch krzesel  
przy zimnym stoliku.

Inne miłości  
głęboko do tej pory oddychają we mnie.  
Tej brak tchu, żeby westchnąć.

A jednak właśnie taka, jaka jest,  
potrafi, czego tamte nie potrafią jeszcze:  
niepamiętana,  
nie śniąca się nawet,  
oswaja mnie ze śmiercią.

---

„Kwartalnik Artystyczny” nr 4/2000 (28)



## ZBIGNIEW HERBERT

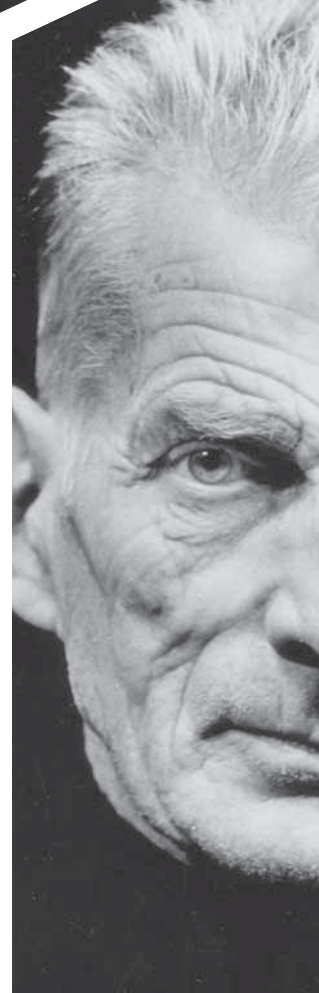
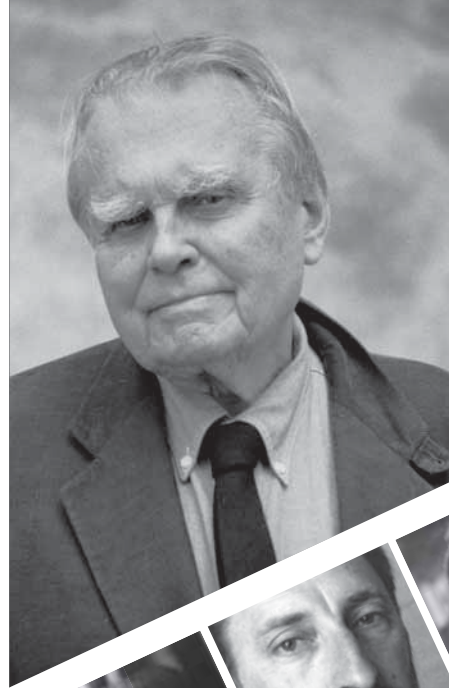
### Brewiarz

Panie,  
dzięki Ci składam za cały ten kram życia w  
którym tonę od niepamiętnych czasów bez ratun-  
ku, śmiertelnie skupiony na ciągłym poszukiwa-  
niu drobiazgow.

Bądź pochwalony, że dałeś mi niepozorne guziki szpilki  
szelki, okulary, strugi atramentu, zawsze gotowe  
karty papieru, przezroczyste koszulki, teczki cierp-  
liwe, czekające.

Panie, dzięki Ci składam za strzykawkę z grubą i  
cienką jak włos igłą, bandaże, wszelki przyłepiec  
pokorny kompres, dzięki za kroplówkę sole mineralne  
wenflony, a nade wszystko za pigułki na sen  
o nazwach dźwięcznych jak rzymskie nimfy.

które są dobre, bo proszą, przypominają  
zastępują śmierć





KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

## Dwadzieścia lat literatury

Siedemdziesiąt sześć numerów, ponad trzynaście tysięcy stron: wiersze, proza i eseje, dzienniki, listy, rozmowy, głosy i glosy, dziesiątki numerów monograficznych i tematycznych, pięć ankiet, około tysiąc pięćset recenzji i not o książkach, setki czarnobiałych i kolorowych fotografii, reprodukcji i faksymiliów.

Dwadzieścia lat doświadczenia daru i jednocześnie służenie innym, pomaganie i podtrzymywanie na duchu, inspirowanie, przygotowywanie i dawanie miejsca, szukanie dróg, pokazywanie, jakie są i co z poruszania się po nich wynika.

Wskazywanie, że jest pion i poziom, że są formy i jest dążenie, trwałość i rdzeń, przemiany, bieguny i wynikające z nich napięcia.

Przekonanie, że trzeba mówić, za czym się jest i przeciw czemu, ale nie atakować ludzi i tego starałem się trzymać.

Początek i pierwszych dziesięć lat „Kwartalnika Artystycznego” są pod znakiem Czesława Miłosza: można powiedzieć, że od naszej rozmowy, opublikowanej w numerze 3 z 1994 roku, zaczął się „Kwartalnik” i był redagowany w związku z nim. Drugą, jakby z przeciwnego bieguna postacią, jest obecny też od początku, bo mój tekst o nim znalazł się w numerze zerowym z 1993 roku, Samuel Beckett. W roku 1996 ukazał się pierwszy numer monograficzny jemu poświęcony i do tej pory powstało ich sześć, tyle samo co poświęconych Miłoszowi. Wielką rolę w prezentacji Becketta gra Marek Kędzierski, jego wierny tłumacz, reżyser i monografista.

Zwornikami pisma byli i są obok nich: Wisława Szymborska i Julia Hartwig, Tadeusz Różewicz i Ryszard Krynicki, Jan Błoński i Michał Głowiński, Julian Kornhauser i Stefan Chwin.

W tych numerach „Kwartalnika” obecni są prawie wszyscy najwybitniejsi i wybitni poeci, prozaicy, eseści, krytycy i tłumacze od najstarszych do najmłodszych pokoleń, m.in. Zbigniew Herbert i Artur Międzyrzeczki, ks. Jan Twar-

dowski i Zygmunt Kubiak, Ryszard Kapuściński i Kazimierz Hoffman, Jan Józef Szczepański i Gustaw Herling-Grudziński, Paweł Hertz i Jerzy Giedroyc, Stanisław Lem i Zbigniew Żakiewicz, Joanna Pollakówna i Ludmiła Marjańska, Wacław Iwaniuk i Bogdan Czaykowski, Irena Sławińska i Maria Danilewicz-Zielińska, Aleksandra Olędzka-Frybesowa i Janina Kościalkowska, Marian Czuchnowski i Marian Pankowski, o. Jacek Bolewski SJ i Bolesław Taborski, Andrzej Stasiuk i Maciej Niemiec, Małgorzata Baranowska i Maria Kalota-Szymańska, Krzysztof Nowicki i Krzysztof Soliński, Tadeusz Konwicki i Jacek Bocheński, Jarosław Marek Rymkiewicz i Henryk Grynberg, Andrzej Busza i Andrzej Zawada, Piotr Matywiecki i Kazimierz Nowosielski, Marek Skwarnicki i s. Małgorzata Borkowska OSB, Wojciech Ligęza i Aleksander Jurewicz, Jacek Łukasiewicz i Edward Balcerzan, Jan Polkowski i Bronisław Maj, Adam Zagajewski i Piotr Sommer, Włodzimierz Bolecki i Tomasz Burek, Kazimierz Orłoś i Piotr Wojciechowski, Ewa Lipska i Ewa Kuryluk, Grzegorz Musiał i Krzysztof Myszkowski, Urszula Kozioł i Krystyna Rodowska, Józef Baran i Leszek A. Moczulski, Natasza Goerke i Iwona Smolka, Mieczysław Orski i Dariusz Nowacki, Aleksander Fiut i Jerzy Jarzębski, Antoni Libera i Marek Kędzierski, ks. Janusz A. Kobierski i o. Wacław Oszajca SJ, Leszek Szaruga i Piotr Szewc, Tomasz Jastrun i Ryszard Matuszewski, Urszula M. Benka i Anna Janko, Janusz Szuber i Krzysztof Lisowski, Włodzimierz Paźniewski i Robert Mielhorski, Renata Górczyńska i Anna Nasiłowska, Jerzy Pilch i Krzysztof Varga, Janusz Kryszak i Wojciech Gutowski, Adriana Szymańska i Zbigniew Bieńkowski, Piotr Kłoczowski i Ewa Bieńkowska, Anna Bolecka i Bogusława Latawiec, Jacek Gutorow i Jerzy Jarniewicz, Piotr Mitzner i Jerzy Gizella, Adam Pomorski i Andrzej Szuba, Andrzej Sobol-Jurczykowski i Leszek Engelking, Bohdan Zadura i Tomasz Korzeniowski, Bogusław Kierc i Janusz Styczeń, Zbigniew Jankowski i Krzysztof Karasek, Kazimierz Brakoniecki i Jarosław Klejnocki, Jarosław Mikołajewski i Andrzej Franaszek, Anna Piwkowska i Teresa Ferenc, Stanisław Dłuski i Jacek Napiórkowski, Florian Śmieja i Tadeusz Sobolewski, Wiktor Woroszyński i Janusz Anderman, ks. Jan Sochoń i Sergiusz Sterna-Wachowiak, Wacław Lewandowski i Grzegorz Kalinowski, Tomasz Różycki i Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Artur Szlosarek i Krzysztof Siwczyk, Jacek Dehnel i Marzanna B. Kielar, Agnieszka Kuciak i Marzena Broda, Jolanta Stefko i Renata Senktas, Jacek Baczak i Wojciech Wencel, Ewa Sonnenberg i Krystyna Dąbrowska, Tadeusz Dąbrowski i Piotr Sobolczyk, Mirosław Dzień i Arkadiusz Pachocki, Andrzej Skrendo i Paweł Tański, Zofia Król i Radosław Kobierski, Mariusz Grzebalski i Tomasz Hrynac, a przez publikację ich wcześniej niedrukowanych tekstów, m.in. Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Wyka, Andrzej Bobkowski, Leo Lipski, Witold Wirpsza, Miron Białoszewski i Edward Stachura.

Z literatury światowej w prezentacjach przedstawieni zostali m.in. Jehuda Amichaj, Emily Dickinson, Paul Celan, Eugène Ionesco, Robert Pinget, Allen Ginsberg, Thomas Stearns Eliot, Louis-Ferdinand Céline, Jorge Luis Borges, Ezra Pound, Harold Pinter, Robert Pinget, Thomas Bernhard, Marguerite Duras. Zaprezentowane były panoramy literatur: amerykańskiej, izraelskiej, rosyjskiej, czeskiej, niemieckiej, francuskiej, słoweńskiej, serbskiej, sarajewskiej, macedońskiej i chorwackiej.

Daje to pojęcie o skali i pojemności „Kwartalnika”, który z perspektywy lat jawi się jak arka, która miotana falami trzyma się kursu lub stara się go trzymać.

Co dla mnie jest najważniejsze? Wszystkie monograficzne i tematyczne bloki poświęcone Miłoszowi i Beckettowi, wszystkie premierowe wiersze, proza, wypowiedzi i przekłady Miłosa, w tym jego listy, pierwodruk *Czeladnika* i ostatni wiersz, jaki dał do druku – *W garnizonowym mieście*, nowe przekłady prozy i wierszy Becketta, premierowe wiersze Zbigniewa Herberta, Wisławy Szymborskiej, Julii Hartwig i Tadeusza Różewicza, w tym jego rozważania o Norwidge, nowe wiersze i przekłady Ryszarda Krynickiego, druk fragmentów *Dziennika paryskiego* Jerzego Andrzejewskiego, numer poświęcony Pinterowi na kilka miesięcy przed Nagrodą Nobla, eseje Jana Błońskiego o Witkacym, szkice Michała Głowińskiego o języku propagandy, zapisy Stefana Chwina i obszernie ilustrowane, przygotowane przez Marka Kędzierskiego, numery poświęcone Alberto Giacomettiemu i Francisowi Baconowi, kolejne rozmowy, pożegnania, głosy i glosy, ankiety.

Z „Kwartalnikiem” wiążą się najważniejsze dla mnie przyjaźnie, także ważne rozejścia. Jest to też związek bliskich dla mnie miast – Torunia i Bydgoszczy i zbliżenie ich z Warszawą i Krakowem, Gdańskiem, Berkeley i Paryżem, łączenie literatury polskiej z literaturą europejską i światową.

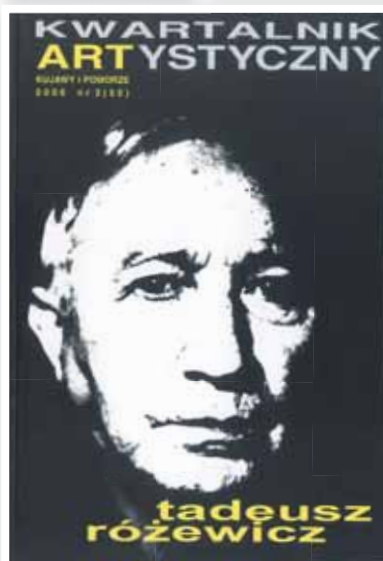
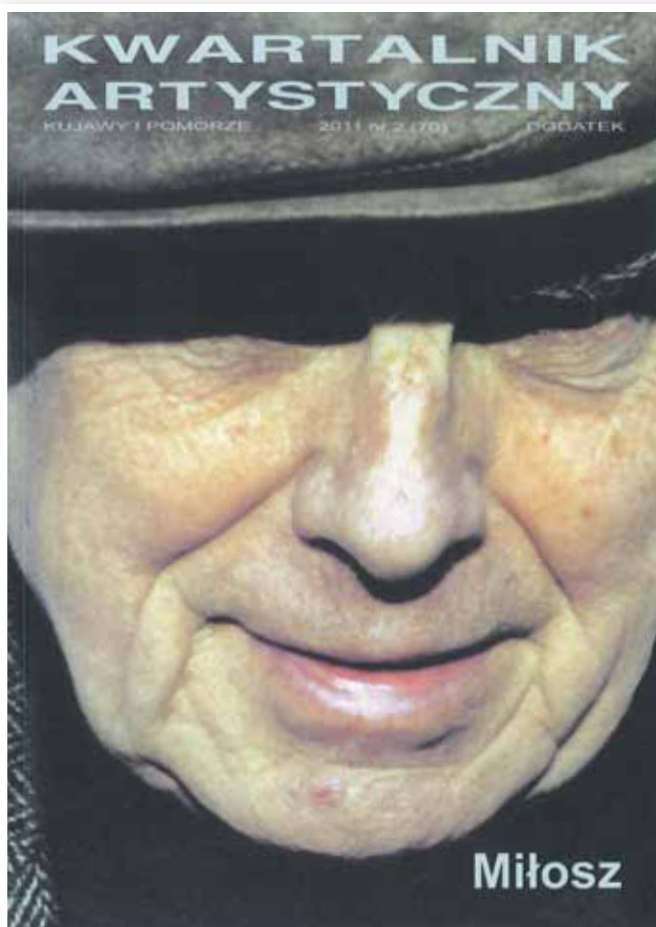
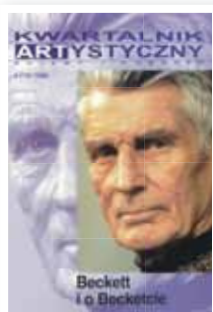
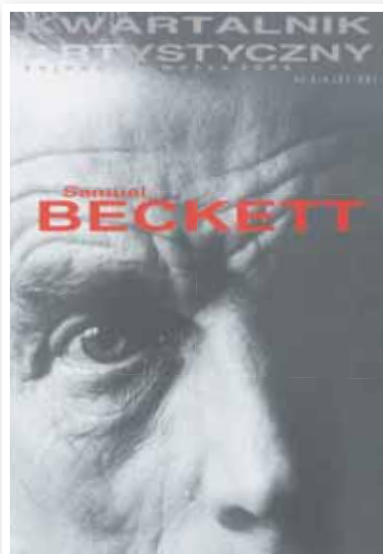
To jest droga.

Za nami dwadzieścia lat.

Ile przed nami?

Jaka jest i jaka będzie literatura polska po odejściu największych? Robi się coraz bardziej pusto i widzimy, co się dzieje. Jesteśmy odpowiedzialni za gospodarstwo polskiej literatury. To sprawa duszy i sumienia.

Nawet na niewielkim polu można dawać przykład i wzór, gdy wokół tyle leży odłogiem.





CZESŁAW MIŁOSZ

## Życzenia dla „Kwartalnika Artystycznego”

W ciągu pięciu lat „Kwartalnik Artystyczny” wybił się na jedno z pierwszych miejsc wśród periodyków zajmujących się kulturą. Zawdzięczamy mu cenne inicjatywy, na przykład ankietę „Po co piszę?” i ankietę o najlepszych polskich wierszach dwudziestego wieku. Jego zaletą jest żywość i pomysłowość. Życzę mu następnych lat pięciu, a później pięćdziesięciu.

---

*„Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 3 (19)*

## Toaścik

Zdawałoby się, że zmiana ustroju w Polsce w 1989 roku powinna stanowić jakieś zasadnicze cięcie na rynku ukazujących się czasopism. Tak jednak się nie stało i mamy do czynienia z sytuacjami hybrydalnymi. Z jednej strony nadal ukazują się periodyki dotowane przez państwo jeszcze za czasów PRL-u, egzystujące często jedynie siłą inercji, z drugiej strony powstały nowe kwartalniki i miesięczniki z trudem utrzymujące się na powierzchni dzięki wysiłkom ich redaktorów. Do takich pism należy prowadzony przez Krzysztofa Myszkowskiego „Kwartalnik Artystyczny”, który narodził się dziesięć lat temu i pięknie się rozwija.

Ponieważ przyglądałem się cudotwórczym działaniom Jerzego Giedroycia, mam słabość do pism trwających wbrew prawdopodobieństwu. Chciałbym, żeby „Kwartalnik Artystyczny” nadal urągał prawu zanikania pism elitarnych i łącznie z paroma innymi periodykami tego typu zwycięsko opierał się naciskom kultury masowej.

To zjawisko wyseppek na morzu powszedniości obserwowałem w Ameryce, gdzie bywałem współpracownikiem pism o nieraz niewiele mówiących tytułach, ale za to reprezentujących wszystko, co najlepsze w amerykańskiej poezji i prozie. Ten fakt przekonał mnie, że nie jesteśmy nieodwołanie skazani na magazyny o kolorowych okładkach.

Wznoszę toast na zdrowie „Kwartalnika Artystycznego” i dalsze dziesięciolecie jego bogatej egzystencji.

---

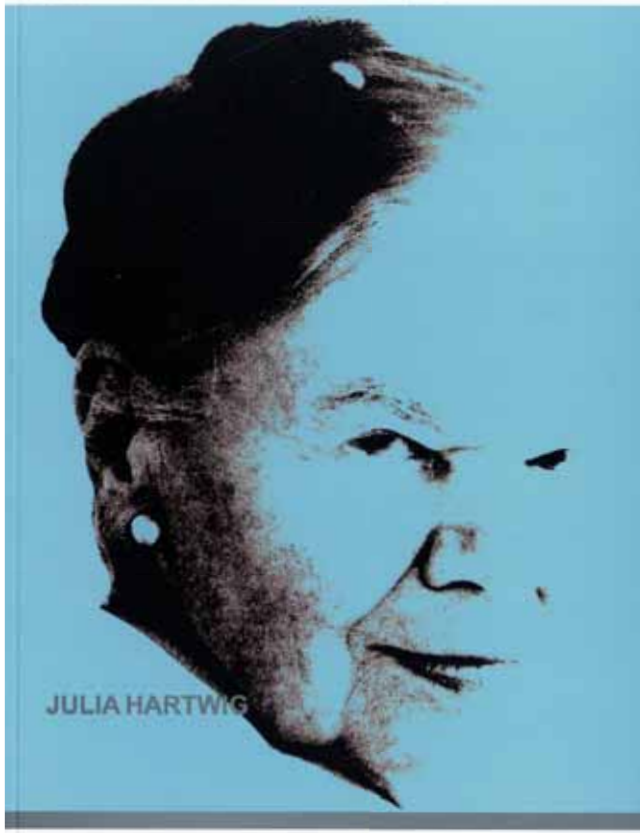
*„Kwartalnik Artystyczny” 2003 nr 4 (40)*

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

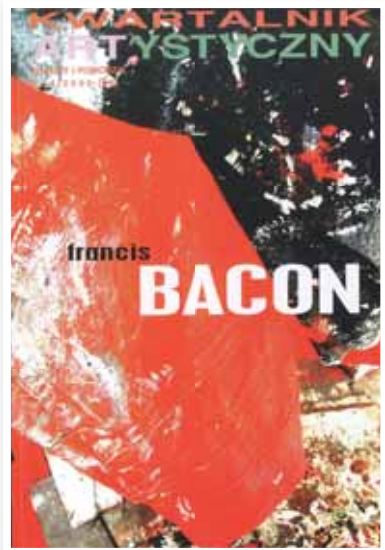
KUJAWY I POMORZE

2011 nr 3 (71)

Rok XVIII

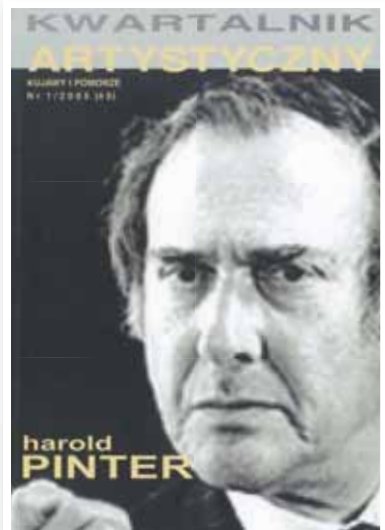


JULIA HARTWIG



francis

BACON



harold

PINTER



GIACOMETTI



NORWID W KWARTALNIKU ARTYSTYCZNYM  
NOWE WERSZE SZYMORSKIEJ I MIŁOŻA

# na 20-lecie

„K W A R T A L N I K A A R T Y S T Y C Z N E G O ”

JULIA HARTWIG

## Dwudziestolecie

„Kwartalnik Artystyczny” obchodzi swoje dwudziestolecie. Podczas tych dwudziestu lat liczba czasopism zajmujących się literaturą i sztuką znacznie się przerzedziła, jedne umierały śmiercią naturalną, zaniedbane przez czytelników, inne ginęły wskutek utraty dotacji, z której mogłyby się utrzymać. Kiedy dochodzi do cięć w funduszach publicznych, pierwsze padają ofiarą instytucje i czasopisma poświęcone sztuce. Wynika to zapewne z faktu, że szkody wyrządzone kulturze odczuwamy dopiero po upływie pewnego czasu, a kiedy już się pojawiają, zazwyczaj są nie do odrobienia.

„Kwartalnik Artystyczny” jak dotąd dwukrotnie zagrożony był likwidacją w ramach przeprowadzanych oszczędności budżetowych. Czy wynikało to z lekceważenia jego wkładu w rozwój naszej kultury? W momencie pierwszego zagrożenia, w roku 1999, wystąpił w jego obronie współpracujący z „Kwartalnikiem”, w którym wielokrotnie drukował swoje wiersze, Czesław Miłosz i batalię o jego zachowanie wygrał. Po raz drugi ważył się los „Kwartalnika” w roku 2010, po zlikwidowaniu „Kresów”, najpoważniejszego pisma literackiego we wschodniej Polsce. Odmówiono wówczas „Kwartalnikowi” dotacji ministerialnej, co byłoby

równoznaczne ze skazaniem pisma na nieistnienie. Zaprotestowali wypowiadający się na jego łamach poeci i pisarze powszechnie znani, których nazwiska pojawiały się w „Kwartalniku”. Wśród protestujących znalazła się Wisława Szymborska, rzadko mieszająca się w sprawy publiczne. Na łamach „Kwartalnika” ukazywały się nazwiska wielu poetów znakomitych, był wśród nich Tadeusz Różewicz, Zbigniew Herbert i Ryszard Krynicki, był Kazimierz Hoffman, Julian Kornhauser, Piotr Sommer, Janusz Szuber, Janusz Styczeń, Bogusław Kierc, Krzysztof Lisowski, Leszek A. Moczulski, a przecież nie jest to jeszcze pełna lista. W „Kwartalniku” pisywał jeden z najznakomitszych znawców literatury polskiej Jan Błoński, do dziś prozą i krytyką dzieli się z nami Michał Głowiński, nie rzadko zabiera głos Anna Nasiłowska, krytyk wrażliwy i swobodnie poruszający się w strefie literatury, pojawiają się też nazwiska Jacka Łukasiewicza, Stefana Chwina, Aleksandra Fiuta i Jacka Gutorowa.

W każdym numerze ukazuje się stały esej Leszka Szarugi, świetnego obserwatora życia literackiego, który omawia je na szerszym tle aktualnych wydarzeń.

Liczne numery „Kwartalnika” ukazały się w formie bezcennych monografii, z których każda poświęcona jest twórczości jednego wybranego pisarza. Znalazli się tam nie tylko twórcy polscy, tacy jak Czesław Miłosz (kilka numerów), Wisława Szymborska, Ryszard Kapuściński, Artur Międzyrzecki, czy Jerzy Andrzejewski, ale także pisarze i artyści cudzoziemscy, wśród nich Francis Bacon, Thomas Bernhard, Alberto Giacometti, Samuel Beckett. Szczególną uwagę otoczeni są przez „Kwartalnik” poeta i dramatopisarz angielski Samuel Beckett i Thomas Bernhard, prozaik i dramatopisarz austriacki. Nie można nie zauważyć, że szeroki dopływ wiedzy o tych właśnie wymienionych dwóch pisarzach, wynika z podziwu, jakim darzą ich Marek Kędzierski i Krzysztof Myszkowski, Redaktor „Kwartalnika”. Osobiście podzielam ten podziw, zwłaszcza, kiedy mowa jest o Beckettie. Mogę więc tylko być wdzięczna, że w kolejnych numerach obecność tego pisarza zarysowuje się coraz wyraźniej, dzięki publikowanym listom, opisom inscenizacji jego sztuk teatralnych, a także dzięki wypowiedziom znakomitych krytyków i świadków jego życia. Gdybym miała ocenić miejsce Becketta w dotychczas wydanych numerach „Kwartalnika”, powiedziałabym, że podziw dla niego i okazywaną mu uwagę porównać można tylko z podziwem wyrażanym dla Czesława Miłosza.

Jednym z pierwszych, którzy przeżyli u nas olśnienie Beckettem był Antoni Libera, który tłumaczył go, reżyserował jego sztuki i prozę i miał szczęście spotkać się w Paryżu ze swoim mistrzem. Wiele jego cennych wypowiedzi na temat tego pisarza ukazało się w „Kwartalniku”.



Niech mi wolno będzie na koniec powiedzieć coś osobistego: przygotowując się do wypowiedzi z okazji dwudziestolecia „Kwartalnika Artystycznego” wyjęłam z półki kilkanaście numerów tego pisma, dla odświeżenia pamięci przed pisanem. Do dziś nie odłożyłam tych numerów na półkę, zatopiłam się w lekturze, tyle tam znalazłam rzeczy kiedyś niedoczytanych, a wciąż ogromnie ważnych i ciekawych. Jestem przekonana, że nie ja jedna będę do tej lektury powracać.

## KAZIMIERZ BRAKONIECKI

### Na jubileusz i na potem

Kiedy w heroicznych latach dziewięćdziesiątych redagowałem olsztyńską „Borussię” poświęconą kulturze, historii i literaturze Warmii i Mazur preferowałem sterowanie ręczne (autorskie), gdyż – poza innymi powodami – uważałem, że redagowanie to tworzenie indywidualnie nacechowanego programu ideowego, który uzurpowałem w sobie samym w stanie czystym. W ówczesnej dekadzie historycznych przemian w Polsce redakcyjna praca literacko-kulturalna w kręgu konformistycznej rzeczywistości Olsztyna i województwa („Borussia” nie była tylko pismem, ale nowatorską, niechętnie słuchaną głosicielką opinii inteligentkiego, krytycznego pokolenia Warmii i Mazur) wymagała nie tyle technicznych umiejętności redakcyjnych, co osobowościowych i charakterologicznych: pasji do przełamywania tematów tabu i stereotypów poznawczych, krytycznego umysłu, ciekawości świata i ludzi oraz pełnego uczestnictwa w proponowanych analizach i propozycjach kulturalno-społecznych. Tak więc „Borussia” była zarazem ściśle regionalna i uniwersalna stosownie do obowiązującego nas hasła „Myśl uniwersalnie, działaj lokalnie”. Zrezygnowałem z redagowania, kiedy doprowadziłem do końca autorski program redakcyjny zwany odkrywaniem Atlantydy Północy, kiedy uznałem, że dalsza praca będzie miała charakter mniej twórczy i inspirujący dla mnie samego jako poety i animatora kultury. Egotyzm artystyczny na krótko, ale właściwie, związał się z altruizmem.

Piszę o tym, bo w pełni rozumiem i doceniam postawę Krzysztofa Myszkowskiego jako autorskiego, silnie zindywidualizowanego redaktora, twórcy i symbolu „Kwartalnika Artystycznego. Kujawy i Pomorze”, któremu po dwudziestu latach mogę szczerze i w pełni zasadnie pogratulować sukcesu założeń

nia, utrzymania i wypromowania na scenie ogólnopolskiej literacko-artystycznego czasopisma o długim trwaniu. Powstałe mniej więcej w tej samej epoce decentralizacji kultury lubelskie „Kresy”, sejneńska „Krasnogruda”, białostockie „Kartki”, szczecińskie „Pogranicza”, gdański „Tytuł” – zniknęły. Trwa „Borussia”, wychodzi zmieniony poznański „Czas Kultury”.

„Kwartalnik Artystyczny” – takie są główne znane mi zarzuty – nie ma nic (lub niewiele) wspólnego z popularyzacją współczesnej literatury Kujaw i Pomorza. A przecież wychodzi w Bydgoszczy i jest dotowany przez urzędy miasta w Bydgoszczy i Toruniu! Podobne zarzuty stawiano ostrołęckiej, świetnej „Pracowni” kierowanej przez nieżyjącego niestety od prawie dziesięciu lat Wojciecha Woźniaka. Najczęściej stawiali je autorzy, którym nie udało się zaistnieć poza sceną lokalną. Problem odwieczny. W sztuce i literaturze nie ma demokracji. Jak pogodzić regionalizm z uniwersalizmem, na czym ma polegać edukacja literacka? Kogo drukować? Kto będzie kupował i czytał pismo? Czyim głosem przemówić i do kogo? Jak decydować: zespołowo czy autorytarnie? Skąd wziąć pieniądze? Czy miejsce wydawania pisma ma decydować o jego zawartości? W Toruniu – pomimo prestiżowego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika – nie ma wybitnego (a obecnie nawet interesującego) środowiska literackiego. To dziwne, ale prawdziwe. W Bydgoszczy tworzył oryginalny poeta Kazimierz Hoffman, aktywny jest nadal Grzegorz Musiał, moim zdaniem jeden z najlepszych pisarzy i poetów swojego pokolenia (szkoda, że zrezygnował z pracy redakcyjnej, ale chyba to wynik trudnych debat wewnętrznych). W mieście nad Brdą wychodzi ponadto ogólnopolski miesięcznik literacki „Akcent”, który publikuje chmary poetów z całego kraju i regionu. Zdaniem dziennikarzy kulturalna Bydgoszcz góruje nad Toruniem, ale wadą redakcji kwartalnika „jest to, że katalog autorów od lat się nie zmienia” (Grzegorz Giedrys z Torunia). Według mnie redagowanie pisma literackiego na prowincji – poza Śląskiem, Pomorzem Gdańskim (Krakowa niestety nie mogę zaliczyć do prowincji) – przy pomocy lokalnych autorów skazane jest na uzależnienie od (różnych) decyzji lokalnej władzy oraz od gustów, ambicji, urazów (najczęściej skłóconego) środowiska.

I tak z biegiem lat Krzysztof Myszkowski świadomie nakierowywał pismo w stronę twórczości uznanych, i to bardzo, autorów: na Miłosza, Szymborską, Różewicza, Herberta, Hartwig, Głowińskiego. Było to rozwiązanie teoretycznie najlepsze, bo prezentacja uznanego kanonu literackiego nie była kontrowersyjna i nie powodowała, jak przypuszczam, antagonizmów wśród donatorów, którzy mogliby podważyć sensowność takiej rozważnej praktyki redakcyjnej. Jednak ci klasyczni autorzy literatury współczesnej albo umarli, albo przygotowu-

ją się do odejścia na literacką górę Olimp. Kto następny mógłby zmieścić się na liście tego bezkonfliktowego i jeszcze twórczego Panteonu? Czy zmiennikami mogą być tacy znani autorzy publikowani w czasopiśmie, jak Chwin, Matywiecki, Kornhauser, Szuber, Szaruga, Lisowski, Kierc, Szewc, Myszkowski? To twórcy sześćdziesięcioletni i więcej lat liczący. Miło mi bardzo, że redaktor naczelny chce drukować moje utwory (też już jestem wiekowy) i że należę w ten sposób do (umownej, ale jednak) stałej elity autorów „Kwartalnika Artystycznego”. Nieustannie przy tym myślę o niewykorzystanym potencjale twórczym pisarzy i poetów, krytyków i tłumaczy urodzonych w żyznych latach pięćdziesiątych minionego wieku, którzy mogliby się stać oryginalnym, kreatywnym wizerunkiem bydgoskiego kwartalnika. Myślę też o efektywnej pracowni literackiej środowiska wielkopolsko-lubuskiego, pomorskiego, warmińsko-mazurskiego i kujawsko-pomorskiego. „Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze” jako artystyczna wizytówka Polski północnej? Czemu nie, bo jestem przekonany, że formuła autorskiego pisma literackiego (które się sprawdziło w tych warunkach podczas tych kilkunastu owocnych lat) wyczerpuje się właśnie na naszych oczach.

Powtórzę: „Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze” położył wielkie i autentyczne zasługi dla popularyzowania i prezentowania literatury rangi ogólnopolskiej i europejskiej. Stał się pismem autorskim z wszelkimi pozytywami i negatywami tego stanu rzeczy (konkurencyjne „Zeszyty Literackie” zresztą podobnie, ale te ostatnie są uważane z natury rzeczy za bardziej prestiżowe, centralne, opiniotwórcze i w całości sponsorowane przez bogatą fundację; czasopismo to ostatnio bardziej otworzyło się na innych i to młodszych autorów). Druk w „Kwartalniku Artystycznym” nie nobilituje tak, jak publikacja w „Zeszytach Literackich”, ale jest wymierną oceną przynależności autora do kanonu i kręgu (mniej lub bardziej uznanych) osobowości literackich. Przewidywalność i tradycjonalizm wyborów redaktora, ta sama lista autorów i idolów literackich, jednoosobowe kierowanie pismem mają swoich zwolenników i przeciwników. Kwestię tę zostawiam otwartą, ale dostrzegam wyczerpanie się tej formuły i potrzebę zmiany wizerunku pisma, czyli postulowane otwarcie na nowych (ale jakich?) autorów, nowe wydarzenia, nowe wartości. Niełatwe to zadanie. Nie jestem przeciwko wysokim wartościom i popularyzowaniu ustalonego kanonu. Co zrobić, aby nie drukować tych samych autorów, którzy królują w każdym innym podobnie redagowanym „wysoko i autorsko” czasopiśmie? Skąd brać fundusze na takie, a nie inne redagowanie i programowanie pisma literackiego, kiedy coraz mniej ludzi w ogóle czyta takie pisma? To nie są pytania retoryczne, to walka o przetrwanie i budowanie kolejnego, żywego przekazu.

A w ogóle to serdecznie gratuluję Krzysztofowi Myszkowskiemu i jego byłej i obecnej ekipie długiego trwania, licznych ciekawych i monograficznych numerów: dwadzieścia lat, to już historia, to trud warty zauważenia, docenienia i kontynuacji. Jakiej? Próbowałem to jakoś wyrazić. Mam nadzieję, że będę dalej towarzyszem drogi Redakcji. Dzięki i powodzenia!

## STEFAN CHWIN

„Kwartalnik Artystyczny” wpisal się trwale w krajobraz życia intelektualnego w Polsce, co nie udaje się wielu podobnym inicjatywom. Jest to pismo dbające o wysoki poziom publikowanych tekstów, stroniące raczej od gwaru bieżących sporów i kłótni polskich, zamiast tego stawiające sobie za cel nie tylko podtrzymywanie zainteresowania literaturą, ale też dające mocną podstawę dla poważnej i głębokiej refleksji o sprawach podstawowych. Polityka redakcji jest w jednym punkcie nieubłagana: strzeże hierarchii wartości i nie idzie na żadną taryfę ulgową. Jest to pismo, które ma wyraźną linię programową, skupia swoje zainteresowania wokół wybitnych osobowości, otwiera się także na literaturę obcą, rozumie znaczenie dobrych przekładów dla formowania się opinii literackiej w Polsce. Potrafiło przekroczyć granice terytorialne regionu, jest obecne na arenie ogólnopolskiej jako ważna propozycja intelektualna. Można tylko pogratulować takiej pozycji grupie ludzi tworzących „Kwartalnik”, a przede wszystkim niestrudzonemu talentowi organizacyjnemu Redaktora Naczelnego, którego uzdolnienia interakcyjne sprawiły, że na łamach „Kwartalnika” chętnie drukowali swoje nowe utwory artyści tej miary co Wisława Szymborska, Julia Hartwig, Tadeusz Różewicz czy Czesław Miłosz. Życzę zatem „Kwartalniki” choćby tylko jednego: niech pozostanie sobą, nie traci swojego charakteru, idzie własną drogą ku satysfakcji czytelników, którzy wierzą, że poważne myślenie o literaturze ma przyszłość. Powodzenia na następne lata!

## ALEKSANDER FIUT

W obchodzeniu jubileuszy kryje się zawsze sens nieco dwuznaczny. Bo dlaczego niby celebrować samo trwanie dla samego trwania czy przetrwania? Nieraz zresztą bez żadnych większych zasług. W tym przypadku i trwanie i zasługi są trudne do przecenienia. „Kwartalnik Artystyczny” nie tylko przetrwał już dwadzieścia lat, ale skupił wokół siebie takie znakomitości jak Czesław Miłosz, Wisława Szymborska, Tadeusz Różewicz, Julia Hartwig oraz stał się pismem zawsze zachowującym – co coraz rzadsze – wysoki poziom merytoryczny i artystyczny – pismem o tym poziomie i charakterze bez precedensu. Jest to głównie zasługą Redaktora Krzysztofa Myszkowskiego. Czuję się ogromnie zaszczycony, że zaprosił mnie kiedyś do Zespołu „Kwartalnika”. Życzę mu zatem, by swój okręt nadal dzielnie wiodł pomiędzy Scyllą urzędniczej arogancji i Charybđą nonszalancji decydentów.

## MICHAŁ GŁOWIŃSKI

### Mija dwadzieścia lat

Po nadejściu listu Krzysia Myszkowskiego, zapraszającego do udziału w jubileuszowym wydaniu, uświadomiłem sobie nie bez zdziwienia, że mija dwadzieścia lat od momentu, w którym ukazał się pierwszy numer „Kwartalnika Artystycznego”. Zostałem jego współpracownikiem niemal od samego początku – i nie tylko bardzo to sobie chwale, ale też nie mogę się powstrzymać od wyrażenia słów wdzięczności. W żadnym czasopiśmie nie ogłosiłem tylu tekstów co w „Kwartalniku”. Powiem więcej, gdyby nie „Kwartalnik”, wiele moich prac o charakterze literackim czy pół-literackim nigdy by nie powstało, pewność, że jest on dla mnie otwarty, pobudzała do pisania, a zaproszenia stanowiły (i stanowią) zachętę. Jestem wdzięczny także za serię szkiców, jakie „Kwartalnik” opublikował o mojej książce *Kręgi obcości*. Tym większa to dla mnie przyjemność, iż jest to współpraca z pismem, które niezmiennie od swych pierwszych zeszytów trzyma imponująco wysoki poziom. I tak działaj dalej, Drogi Krzysztofie!

Warszawa, 16 października 2012



## RENATA GORCZYŃSKA

Z okazji dwudziestolecia „Kwartalnika Artystycznego” zamyślam się w pierwszym rzędzie nad potrzebą ciągłości („O, jak potrzebujemy trwałości”, napisał Poeta). Prowadzenie w dzisiejszych czasach pisma literackiego wymaga nie lada determinacji i umiejętności zabiegania o fundusze ze źródeł publicznych i prywatnych. Właściwie większość codziennego wysiłku redaktora musi – z konieczności – iść na zabezpieczenie materialnej egzystencji jego periodyku, choć powinien *gros* tego czasu poświęcić na lektury, kontakty ze współpracownikami, ustalanie hierarchii ważności przejawów życia kulturalnego. Ale gdy zabarykadowani za swymi biurkami urzędnicy skreślają dany tytuł z listy pism subsydiowanych z naszych podatków, jest to równoznaczne z jego anihilacją.

Znika pojęcie „kawiarnia literacka”, domy pracy twórczej niemal już nie istnieją. Tym większą rolę odgrywa to forum, na którego stronach spotykają się wybitni twórcy i debiutanci, autorzy całych bibliotek i poeci cienkich tomików poetyckich. Statystyczny Polak czyta mniej niż jedną książkę rocznie, mając o sobie wyobrażenie jako o dziedzicu Kultury i Dziedzictwa (Narodowego, rzecz jasna). Odbiorca, znużony skandalami, pseudonewsami, zbrutalizowaniem języka, może w zaciszu „Kwartalnika Artystycznego” odetchnąć od zgiełku mass mediów i zająć się medytacją nad prawdziwą literaturą, prawdziwą sztuką.

A więc z życzeniami ciągłości kłania się Renata Gorczyńska.

## MAREK KĘDZIERSKI

### W drodze

1. Dwadzieścia lat? Dziewiętnaście. Moje peregrynacje z „Kwartalnikiem Artystycznym”, zwanym w tym tekście Kwartalnikiem, zaczynają się we wrześniu 1993 roku. To dla mnie pierwsza od wielu lat wizyta w Bydgoszczy. Przyjeżdżam na zaproszenie Krzysztofa Solińskiego, który, przeczytawszy „grubą” monografię Samuela Becketta, zdobył gdzieś mój zagraniczny adres i w entuzjastycznym liście zachęcał mnie do wciągnięcia irlandzkiego noblisty na listę autorów wydawnictwa Pomorze, którym kierował. Do tej pierwszej korespondencji dołą-

czona była paczka, zawierająca m.in. powieść Marcelego (tak go spolszczono na okładce!) Prousta *Jean Santeuil* oraz *Ulissessa* Jamesa Joyce'a. Jeżeli wybieram się do kraju, pisał Soliński, powinienem zajrzeć do Bydgoszczy, gdzie, jako gość wydawnictwa, będę miał okazję obejrzeć także jego kolekcję fajek. Korzystam z zaproszenia, tym chętniej, że tym razem nie muszę już wymieniać czterestu dolarów dziennie – choć wciąż „legitymuję się” paszportem konsularnym, przestałem być cudzoziemcem dewizowym.

Podjeżdżam na pusty parking Hotelu Oficerskiego i wyjmuję z bagażnika samochodu wypożyczony od rodziny w Warszawie tak zwany składak – na śnieżnobiałej ramie zagadkowe słowo ROMET. Sokół lub Wigry. Przez dwa dni jeżdżę nim po stolicy Kujaw, unikając w miarę możliwości wożenia przez Redaktora, niebezpiecznym, moim – wówczas – zdaniem, malutkim fiacikiem lub skodą, w dodatku jeszcze bardziej niż jego gabinet pachnącym tytoniem. Te kilka dni zaowocowały już po kilku miesiącach polskim przekładem *Watta*, powieści bardzo szczególnej – dzisiaj na pewno dobrze by się nie sprzedawała i pewnie przepadałaby w rankingach. Ale wtedy, w tych, również z literackiego punktu widzenia, czasach burzy i naporu, trudno było oprzeć się nastrojowi jakiegoś nowego literackiego otwarcia. Pod koniec pobytu nieskazatelnie biały lakier nie razi już oczu całą swą jaskrawością, pokrywa go warstwa miejscowego kurzu. Romet dzielnie trwa na posterunku, zaparkowany na ulicy lub w holu oficerskiego hotelu, o każdej porze dnia i nocy gotowy wozić mnie po całej Bydgoszczy. Ani razu nie musiałem go składać, składanie to był żmudny i nie pozbawiony ryzyka proces, ciągle coś do czegoś lub do siebie nie pasowało. To nie w czasie jazdy, tylko składania i rozkładania spadał łańcuch, puszczały hamulce, opadało siodełko, siadał dzwonek, luzowała się kierownica.

Wczesna wiosna 1994 roku. Z pachnącym farbą drukarską egzemplarzem przekładu *Watta* wspinam się po niebezpiecznie wąskich i stromych schodach przy rue Bernard Palissy, wiodących do gabinetu Jérôme'a Lindona, legendarnego wydawcy, który w 1951 roku miał odwagę przyjąć do druku odrzucone przez tytuł innych teksty trylogii powieściowej Becketta oraz *Czekając na Godota*, a po śmierci autora, jako wykonawca testamentu, posiadał absolutną władzę w każdej kwestii choć w najmniejszym stopniu wybiegającej poza najbardziej rutynowe operacje. Monsieur Lindon zgodził się wprawdzie ze mną porozmawiać, jednakże po to wyłącznie, aby osobiście powtórzyć mi to, co już napisał w liście. W odróżnieniu od pisarza, jemu bowiem nie wolno robić wyjątków. Więc po tych niebezpiecznych schodach wspinam się w całkowitym stresie, prosto ku najgorszemu, *worstward ho!* Lindon na pewno nie pozwoli mi pokazać na scenie utworu prozą

Becketta, zwłaszcza takiego jak *Watt*. Nie zgodzi się też na zaprezentowanie go na falach – niemieckiego – eteru. Wykonawca testamentu bierze jednak do ręki ofiarowany mu przeze mnie zaraz po wejściu do schludnego gabinetu egzemplarz książki z Bydgoszczy, przygląda się mu, waży w dłoniach, obraca, otwiera, zamyka, podnosi pod światło, podejrzewam też, że dyskretnie sprawdza zapach. Co – *contre tout espoir* – daje mi jednak iskierkę nadziei. I rzeczywiście, jego surowa twarz rozpogadza się nagle, wręcz rozpromienia: *Quelle couverture! Phénoménale, félicitations!* Ta czarno-szaro-biała okładka, trzeźwa aż do bólu. Prawdziwy bibliofil. Z ust pedantycznego, mającego opinię surowego, wydawniczego olbrzyma wydobywają się zdumiewająco ciepłe i życzliwe słowa.

Niemal w stanie nieważkości wychodzę z domu o wąskiej fasadzie z tuzinem uprzednio dla mnie przygotowanych książek Editions de Minuit. Wciąż pod wrażeniem łatwego sukcesu, którego nie potrafię sobie, tak *ad hoc*, wytłumaczyć, idę w stronę *Le petit suisse*, pięćset kroków dalej, próbując dojść do siebie, a jednocześnie, niczego nie uroniwszy, zachować w pamięci przebieg całej tej rozmowy. Niedaleko Muzeum Luksemburskiego moje oczy zatrzymują się na budce telefonicznej po drugiej stronie ulicy, przypominam sobie, że powinienem zadzwonić i podzielić się dobrą nowiną. Wchodzę na pasy, no, może parę metrów od nich, w każdym razie bez namysłu, i raptem torba z nadrukiem Editions de Minuit, brutalnie wyrwana mi z dłoni, szybuje w kierunku, w którym, jak widzę, zmierza hamujący z przerażeniem w oczach rowerzysta. Młody człowiek pomaga mi podnieść rozsypane na jezdni tomy młodszych autorów Minuit, tak zwanych niepokornych. Nic mi się nie stało? Mnie nie, tylko książki ucierpiały, ale z niewielkim wpływem na treść. Muszę go oczywiście przeprosić, to moja wina. Przepraszam. Nie powinienem przechodzić przez ulicę, nie upewniwszy się, że nie jestem na niej sam.

Z lektury ocalałej w katastrofie prozy autorów Editions de Minuit powstały dwa numery Kwartalnika, w 2000 i 2001 roku. O pierwszym miałem jeszcze okazję porozmawiać z Jérômeem Lindonem. Drugi oglądała już tylko, niestety, nowa dyrektor wydawnictwa, jego córka Irène. Pierwszy numer monograficzny zawierał teksty dawnych mistrzów – Becketta, Duras, Sarraute, Robbe-Grilleta, Simona. Drugi młodszego pokolenia: Echenoza, Toussainta, Oстера, Mauvigniera.

Podobny tom monograficzny Kwartalnika, poświęcony autorom Suhrkamp Verlag ukazał się już w 1998 roku, ale, jeśli nie myli mnie pamięć, nie jeździłem po ulicach Frankfurtu rowerem. Kilkukilometrowy dystans między dworcem głównym a siedzibą przy Lindenstrasse pokonywałem zazwyczaj pieszo, kilkakrotnie z współautorem numeru, profesorem Piotrem Roguskim.

Nie wiem, czy Krzysztof Myszkowski widział mnie, kiedy w 1993 roku jeździłem rometem po mieście, ale to w te jesienne bydgoskie dni skrzyżowały się nasze drogi, w gabinecie z imponującą kolekcją fajek redaktora Solińskiego. Odbyliśmy dość długą rozmowę, *perfect strangers*, ale połączeni lekturami Becketta. O mojej obecności w Kwartalniku zdecydował zapewne horoskop światłego Ramaswami Krishnaswami Narayanaswami Suka z trzeciego rozdziału powieści *Murphy*. Jednakże to nie Krzysztof Myszkowski przysłał mi pierwszy numer pisma, a właściwie zerowy, bo na (bardzo) błyszczącej, ciemnoniebieskiej okładce z graficznym portretem artysty według kompozycji Krzysztofa Candra, widniało nieco kuriozalne 0/93. W spisie treści znajdowało się również moje nazwisko, obok tekstu pod tytułem *Home Sweet Home*. Sweet home?

Rok 1995 chyba. Warszawskie spotkanie z Krzysztofem Myszkowskim. Zanim „rozjedziemy się” w przeciwnych kierunkach, on do Bydgoszczy, ja do Krakowa, wędrujemy z Dworca Centralnego nad Wisłę. Na stromej Oboźnej przypominam sobie, że w zamierzczłych czasach, piętnaście lat wcześniej, zjeżdżałem po tym nierównym bruku, od Harendy na sam dół, do skrzyżowania z Browarną, na pozbawionym łańcucha rowerze marki Sport albo Favorit, bez hamulców, ze scenografem Łukaszem Burnatem, który rozważał wykorzystanie tego roweru jako rekwizytu w reżyserowanych przez Macieja Prusa *Szewcach*. Rower nie zmieścił się jednak na scenie wypełnionej od podłogi do sufitu wszelkiego rodzaju staromodnym obuwiem. To w czasie tego schodzenia z nadwiślańskiej skarpy, pod pałacem Kazimierzowskim, zrodziła się idea numeru poświęconego Samuelowi Beckettowi.

Rok później kupiony dziesięć lat wcześniej rower marki Kettler. Jeden z pierwszych określanych wówczas jako *mountain bike*, ale nie terenowy, tylko miejski. Kupiony w Niemczech, do dziś pewnie jeździ, choć już nie ze mną, od czasu, gdy go mi przewrotnie skradziono. Mieszkałem wówczas przy Place de la Bourse w mieście witającym przyjezdnych tablicami: *Strasbourg, le carrefour de l'Europe* – co w dosłownym tłumaczeniu oznacza skrzyżowanie Europy. Zaletą rezydowania na tym rozdrożu było to, że jedną nogą było się w Alzacji, to znaczy we Francji, drugą – za granicą, zaledwie pięć kilometrów od miasteczka Kehl, którego nazwa dosłownie oznacza gardło. Przynajmniej w sensie komunikacyjnym jest to do dzisiaj wąskie gardło w drodze z Badenii do Alzacji, z powodu brakujących wciąż ośmiu, dziewięciu kilometrów autostrady. Od 1870 roku do 1939, przed kolejnymi wojnami, mieszkańcy Kehl i Strasbourga patrzyli na przeciwległy brzeg z uczuciem nieufności i poczuciem zagrożenia. Ale w czasie budowania Europy, kiedy Francja otwierała się na Niemcy, a trwało to przez

co najmniej trzy dziesięciolecia, zdaniem niektórych nawet sześć, i trwa do dzisiaj, znoszono kolejne przeszkody. Kiedy znikły kontrole na granicy niemiecko-francuskiej, most między Kehl a Strasbourgiem nazywał się już Pont d'Europe, Europabrücke. Brak kontroli pozwalał na płynny przejazd (na zakupy) do Niemiec w czasie świąt obchodzonych tylko w zwycięskiej Francji, takich jak 8 maja i 11 listopada. Most Europy można było łatwo wykorzystać do różnych strajków. I w dniu ukończenia przeze mnie pracy nad numerem Beckettowskim strajkujący kierowcy ciężarówek z Francji postanowili go zablokować.

Przez dobrych kilka miesięcy (dobrych miesięcy) zbierałem materiały, Lindon dał mi kopię listu autora na temat Godota, do prezydenta Havla przyszło pozwolenie na druk odręcznie napisanego listu do Becketta z 1981 roku, fotograf ze Stuttgartu Hugo Jehle przekazał mi niepublikowane zdjęcia Becketta z czasów jego realizacji w Süddeutscher Rundfunk. No i dwieście stron materiałów, które musiałem wysyłać do kraju pocztą, na papierze, co oznaczało w porównaniu z dzisiejszym stanem techniki, olbrzymi wysiłek i nakład czasu. W ostatniej chwili, jak zwykle, z kilkusetstronicową paczką, włączając ilustracje na CD, nie mogąc liczyć na pocztę francuską, stawiam na Europę i postanawiam pojechać do Kehl, ale jak? Samochodem nie przejadę, a autobusy linii 21 też przepuszczane są sporadycznie, jeden na trzy, cztery. W słotę wsiałam na rower, mój solidny Kettler, do solidnego bagażnika z tyłu wkładam całość materiałów, okrywając troskliwie plastikiem chroniącym przed deszczem i wiatrem i przystępuję do... forsowania blokady. Jadę chodnikiem mostu Europy, chodnikiem dla pieszych, pośród tłumu Europejczyków, pieszo przekraczającego europejską granicę. Po wyjściu z Bundespost spoglądam na przywiązany do słupka rower, ocalił mi życie, no, w każdym razie dzięki niemu dotrzymałem przysięgi złożonej na honor. Numer Beckettowski ukazał się z nieznacznym tylko opóźnieniem. Pierwszy z co najmniej czterech numerów monograficznych poświęconych temu autorowi, nie licząc bloków Beckettowskich w kilku kolejnych. Tysiąc stron, lekką ręką, w sumie. W żadnym piśmie w Polsce nie ukazało się tyle materiałów o nim.

Jesień 2002. Finisz pracy nad numerem Giacomettiego, pierwszym w Polsce, i jak dotychczas jedynym. Od przyjaciela w Zurychu wypożyczam rower szwajcarskiej poczty, antyk, żółty jak skrzynki pocztowe, ciężki, masywny, solidny jak szwajcarski zegarek. Jeżdżę nim głównie do Kunsthaus, w którym ma siedzibę Fundacja Giacomettiego. Jej przewodniczący, doktor Christian Klemm jest dla mnie nadzwyczaj życzliwy i hojny. Ponieważ chcę obejrzeć „w spokoju” rysunki Giacomettiego, ustala z bibliotekarką, że ta, w drodze wyjątku, udostępni mi



prace w sobotnie południe, bezpośrednio przed moją planowaną wyprawą w rodzinne strony artysty w dolinie Bregalii, po drugiej stronie Alp. Od przyjaciela Giacomettiego, Ernsta Scheideggera, dostaję błogosławieństwo i listy polecające do ostatniej, żyjącej jeszcze krewnej artysty, która mieszka niedaleko jego rodzinnego miasteczka Stampa.

Stawiam się w bibliotece punktualnie. Bibliotekarka prowadzi mnie do stołu, na którym umieściła już, licząc tak na oko, czterdzieści rysunków mistrza. Pyta, ile potrzebuję czasu. Patrzą na plik, patrzą na zegarek, myślę o czekającej mnie podróży. Półtorej godziny. Dobrze, mówi bibliotekarka. Wrócę za godzinę, w razie czego jestem w kawiarni Kunsthaus. I wychodzi drzwiami, którymi przed chwilą ja wszedłem, z małym wichajstrem, lekki ruch palcem sprawia, że zamknięte od zewnątrz drzwi, można otworzyć od wewnątrz. Na pierwsze



prace patrzę, muszę przyznać, z namaszczeniem. To niesamowite, większość rysunków znam z reprodukcji, a teraz mogę sobie w nich przebierać, według własnego widzimisię, tak jak pośród plakatów w tzw. bookshope Kunsthauus. Z tym, że każdy z moich jest warty tysiące dolarów, jeśli nie setki tysięcy. Ostatnio na Art-Basel sprzedano kilkucentymetrową figurkę Giacomettiego za trzysta tysięcy euro. Czy inni też mają podobne przywileje? Rozglądam się po sali. Ale na sali nie ma innych. Jestem sam. Za oknem przechodzą sobie zwykli ludzie. Tylko przeszklone drzwi, zamknięte od zewnątrz, ale od wewnątrz otwierane wspomnianym wichajstrem, dzielą mnie od świata, w którym panują prawa rynku. A może tak, w wiszące na prasowym wieszaku „Neue Zürcher Zeitung”, a jeszcze lepiej „Frankfurter Allgemeine”, bo drukowanej na papierze większego formatu, zapakować, powiedzmy tuzin rysunków, tak po prostu, spontanicznie, i wyjść przez te drzwi, wmieszać się pośród zwykłych ludzi, wsiąść w pierwszy samolot do Montevideo lub Quito i zacząć nową egzystencję, już na zdecydowanie wyższej stopie życiowej? Pół godziny później (gdybym był bardziej zdecydowany, mógłbym już sobie spokojnie chodzić po terminalu portu lotniczego z Giacomettim w bagażu podręcznym) wraca pani bibliotekarka, pół godziny po jej powrocie serdecznie dziękuję jej za udostępnienie prac. Mam jeszcze jedną prośbę. Czy mógłbym pożyczyć na *week-end* książkę *I Giacometti, la valle, il mondo*? Pani patrzy na mnie ze zdziwieniem. O tym nie było mowy. Tak, wiem, dopiero teraz, przygotowując się do dzisiejszej podróży, o tym pomyślałem. Zwrócę w poniedziałek. Bibliotekarka niezbyt jest pewna, co ma uczynić. Przypomina mi się argument wujka, a może dziadka, przed wojną, i po wojnie, którym zazwyczaj przekonywał kelnera, kiedy nie miał już w kieszeni ani grosza na strzebiennego. Zdejmuję z przegubu zegarek i tak lekko, jak tylko potrafię, proponuję zostawienie zegarka jako zabezpieczenia. Prosi, żebym powtórzył. Najwidoczniej to argument, z którym nie spotyka się co tydzień. Chyba zrozumiała, bo bierze ode mnie Tissota i przygląda się uważnie. *Swiss made*, mówię. Kiwa głową. Trafiło jej do przekonania. Miałem w rękach grafiki Giacomettiego, warte miliony, ale żeby pożyczyć książkę muszę zostawić w zastaw zegarek, szwajcarski na szczęście. Z książką pod pachą unoszę delikatnie dźwigienkę na drzwiach. Otwierają się niemal bezszelestnie. Książka o Giacomettich ląduje w koszu żółtego roweru. Na prezentację numeru w krakowskim Bunkrze Sztuki przyjeżdża z Zurychu wspomniany Scheidegger, z Paryża amerykański biograf artysty, z Warszawy helwecki ambasador. Prezentacja zbiega się w czasie z wernisażem pierwszej wystawy mistrza w Galerii Starmach. Na razie grafika, ale uzbrojmy się nieco w cierpliwość, wszystko we właściwym czasie.

Dwa, trzy lata później Francis Bacon, inny wielki artysta XX wieku. Luty 2006, Europa w okowach zimy stulecia, ale, może z tego powodu, Atlanta wita mnie wiosenną pogodą. Z mieszkania mam jeździć na próby pickupem dyrektora. Oddał mi go do dyspozycji, ponieważ w tej części miasta nie ma transportu zbiorowego. Kiedy pierwszego wieczora bez przeszkód docieram do teatru, ale nie mogę znaleźć hamulca ręcznego, kładę to na karb zmęczenia i/lub *jetlag*. Ale nie. Nie ma ręcznego, wyjaśnia mi dyrektor teatru, stawiaj na biegu. Po kilku dniach decyduję się jednak dojeżdżać te trzy mile rowerem, do czego wcale nie zniechęcają wysokie temperatury.

Jedną z prób przerywa posłaniec z DHL, który wręcza mi przesyłkę *from Poland*. Stempel pocztowy Bydgoszczy, a wewnątrz pachnący farbą drukarską numer Baconowski. Rozmawiam ze scenografem, proponuję, żeby fotel Hamma nawiązywał do ducha foteli Innocentego z obrazów Bacona. A kiedy fotel jest gotowy, i Hamm, w stroju, którego podobieństwo do baconowskiego Papięza nie jest sprawą czystego przypadku, w czasie próby przychodzi mi do głowy, żeby w scenie, w której Hamm dowiaduje się, że nie dostanie już od Clova środka uśmierającego, jego reakcją był krzyk. Proszę go, by ten krzyk, niemy jak na obrazie, trwał co najmniej dziesięć sekund, nawet dłużej. Na scenie, na której nic się nie dzieje, wszystko zamiera, otwarte usta i wykrzywiona grymasem twarz przez piętnaście sekund to cała wieczność. Numer Kwartalnika z tak zwaną wkładką z reprodukcjami towarzyszy nam w codziennych próbach.

Półtora roku później piętnastolecie Kwartalnika w Bydgoszczy i w Toruniu. Docieram do Torunia późnym wieczorem spóźnionym już w Warszawie pociągami. Na dworcu kolejowym kolejka na postój taksówek, ale nie kolejka taksówek na postój. Gdybym tylko miał rower! Choć nie wiadomo, czy przeżyłbym, w takie mrozy. Następnego dnia już oficjalnie do Bydgoszczy. Goście sympatycznych spotkań z okazji piętnastolecia zakwaterowani są w Hotelu pod Orłem. Po uroczystej kolacji jeszcze wieczorne rozmowy. Nazajutrz rano, po tych wszystkich obfitych posiłkach przy różnych stołach zrozumiała potrzeba ruchu, ale pogoda pod psem, więc postanawiam skorzystać z mocno reklamowanego – w położonym między telewizorem a miękkim fotelem folderze – fitness studio. Nalewam do kubka z Kopernikiem kujawiankę i idę z nimi pod wskazany w reklamie adres. Hotel, wspaniałe witraże w oknach, hol, który na fotografii zakasowałby wiele lepszych hoteli. Fitness studio samoobsługowe, w dwóch małych pokojach. Sprzęt, na pierwszy rzut oka, od dawna lub nigdy nie używany. Jest rower. Stawiam wodę mineralną na tacy obok, zdejmuję sweter i z uczuciem ulgi wprawiam w ruch pedały. *Chcę wprawić w ruch*. Ale nie tylko rower

się nie porusza – to byłoby zrozumiałe – pedały też stoją w miejscu. Wracam do swego pokoju i siadam przed wielkim telewizorem. Pogoda wciąż bez zmian.

Czerwiec 2008 roku. Jestem w Gmunden nad malowniczym jeziorem Traun, w którego tafli, w bezwietrzny dzień, odbija się góra Traun. Chyba od góry wzięło nazwę jezioro, jeśli nie odwrotnie. Albo od rzeki Traun. Góra przypomina nieco Giewont. W tym miasteczku spędził ostatnie lata życia Thomas Bernhard. Peter Fabjan, brat przyrodni, i (kolejny w pracach zleconych mi przez Kwartalnik) wykonawca testamentu, ujmująco wyrozumiały i uprzejmy – wobec wszystkich, w odróżnieniu od samego pisarza – oddaje mi do dyspozycji rower, którym mógł śmiało jeździć Thomas Bernhard (ale ponieważ był słabego zdrowia, rzadko korzystał z tego środka lokomocji, choć na jednej z często reprodukowanych fotografii jeździ nim w pokoju, a właściwie przedsiionku swojego wielkiego domu w Nathal, parę kilometrów od Gmunden). Tym ciemnozielonym rowerem poruszam się przez kilka dni lata, lata przynajmniej w kalendarzu. Między archiwum, gdzie tym razem przygotowano dla mnie pokój gościnny, a mieszkaniem Fabjana bliżej centrum miasta. Od czasu dramatycznego wypadku w luksusowym aucie terenowym Fabjana wolę rower od auta, nawet kiedy pada. W deszczowy wieczór z nieustraszoną badaczką tekstów Bernharda, Agatą Barełkowską, długie godziny mijają nam nad projektem, z którego niestety nic się nie narodziło. Przed północą rozpętuje się wielka burza z piorunami. Potem burza już bez piorunów, ale ulewa nie ustaje. Barełkowska decyduje się w końcu wracać do siebie na rowerze Fabjana, nie czekając aż minie wysokogórska ulewa. Kiedy dociera do mnie jej sms z informacją, że szczęśliwie dojechała, za oknem jest już jasno. Na międzynarodowy festiwal Bernharda w Krakowie zabrakło pieniędzy, ale płodem naszej nocy były dwa numery Kwartalnika, które ukazały się niespełna rok później.

Wrzesień 2011. Po kilku sesjach z Ulfem Küsterem, kustoszem wystawy Louise Bourgeois w bazylejskiej Fondation Beyeler, stercząc w korku w drodze do Fryburga Bryzgowijskiego (Badeńskiego), obiecuję sobie, że jeżeli jeszcze tego dnia dojadę na miejsce, to aby powetować sobie dwie godziny zamknięcia w ciasnym aucie, natychmiast ruszę na półgodzinną przejażdżkę rowerem. Tak też się staje, w krótkich spodniach i t-shircie wsiadam na rower. Niezgrabny Fischer 08/15 rozpędza się powoli, ale już rozpędzony, statecznie pędzi wałem przeciwpowodziowym wzdłuż brzegu rzeki Dreisam. Znam tę trasę dość dobrze. Przed jednym z mostów ścieżka rowerowa na wale łączy się z asfaltową ulicą, używaną przez mieszkańców kilku położonych tu domów. Dokładnie w tym miejscu stoi zaparkowany volkswagen bus, omijam go i raptem wprost przede

mną wyrasta znikąd jakiś srebrny pojazd. Nie myślę o hamowaniu, to znaczy zanim pomyślałem o hamowaniu, w zwolnionym tempie, jak na filmie, moje dłonie puszczają kierownicę, kolana ślizgają się po jakiejś ukośnej płaszczyźnie, na udzie w szortach i boku w koszulce czuję ciepło rozgrzanej blachy, prawa ręka sięga gdzieś do nieba. Pewnie chce się za mną wstawić. I chyba jej się to udaje, bo lewa ręka, od łokcia do dłoni miękko dotyka ukośnej szyby przedniej, tak że głowa zatrzymuje się kilka centymetrów od szyby. Dopiero teraz dociera do mnie krótki pisk opon samochodowych. Jak kaskader zeskakuję na twardą ziemię, głupio mi się robi, podnoszę rower, chcę na niego od razu wsiąść i odjechać. Ale rower jest wygięty do tego stopnia, że nie ujedzie nawet metra. A kierowca, który wyszedł już ze swego bmw, mówi coś do mnie podniesionym głosem i ogląda zadrapania... na lakierze. Przyjeżdża policja. Zanim zabierze mnie solidny ambulans – spokojnie, tylko na badania – odzywa się telefon komórkowy, któremu też nic się nie stało. Ulf Küster informuje mnie, że zostawiłem u niego zasilacz do dyktafonu. Blok o twórczości Louise Bourgeois ukaże się trzy miesiące później. Ale Fischer 08/15 jest już nie do naprawy.

Październik 2012. Mój nowy rower nazywa się tern. Tern to mały ptak, rybołówka. Mały, lekki i wytrzymały, w czasie z reguły długiego życia potrafi pokonać dystans wielu tysięcy kilometrów. Miejmy nadzieję. Małymi kroczkami wielkie dystansy. Dewiza całkiem do zaakceptowania. Zaprojektował go w Kalifornii syn Davida Hona, producenta niemal już legendarnej marki dahon, uważanej za jedną z lepszych na świecie, w kategorii rowerów składanych, obok angielskiej firmy Brompton, wyjaśniał mi przed zakupem właściciel sklepu RADieschen, którego namowom po pewnym czasie uległem. Tern jest jeszcze lepszy niż dahon. Po kilku próbach jestem w stanie w ciągu 10–15 sekund złożyć go tak, by mieścił się w walizce. Rozkładanie trwa jeszcze krócej. Paryska premiera przywiezionego przeze mnie z Niemiec egzemplarza odbyła się na trasie Porte St. Denis – Nogent-sur-Marne. Wracam porządnie zestresowany kierowcami aut, skręcającymi, zwłaszcza w prawo, nie upewniwszy się, oględnie mówiąc, że po prawej stronie nie jedzie jadący prosto rowerzysta. W tym mieście zmrok zapada, bez wyjątku, półtorej godziny później niż w Warszawie. To znaczy, że nawet w październiku spektakle teatralne często zaczynają się przed zapadnięciem zmroku. Jeszcze za dnia zatem jadę z Nogent prosto na Montmartre, aby obejrzeć spektakl *Ostatniej taśmy Krappa* z Sergem Merlinem. Jeszcze za dnia grubym metalowym łańcuchem przykuwam mego dwukołowego ról-royce'a do Théâtre de l'Oeuvre, z nadzieją, że po zapadnięciu ciemności będzie na mnie czekał przed teatrem i że nikomu nie przyjdzie do głowy, by go



od niego oddzielić. Piękny budynek, subtelna elegancja, nienaganne maniery personelu, wyrafinowane propozycje drinków w położonej pod widownią sali klubowo-bufetowej – wszystko przygotowane na spektakl w reżyserii bardzo cenionego Alaina Françon. Na widowni ludzie z dystynkcją wyluzowani, Beckett nasz chleb powszedni, tak to wygląda. Spektakl zaczyna się dziesięć minut później, gdy tylko na zarezerwowanym miejscu siada spóźniony nestor sceny i filmu. Gasną światła i w świetle reflektorów pojawia się zarys barokowej głowy manierystycznego aktora, jednego z najwybitniejszych na francuskiej scenie. Jego Lear, nawiedzony *Wyludniacz* w Odeonie i niektóre inscenizacje Bernharda to wielkie kreacje. Szerszej publiczności znany jest w roli idiosynkratycznego malarza w filmie *Amélie*. W Polsce także z *Samsona* Wajdy.

Tym razem w ciągu długiej godziny Serge Merlin, przynajmniej dla mnie, skutecznie niszczy Becketta. Gdy słania się przy ukłonach, już nie musi udawać. Po zapadnięciu zmroku, z ulgą wychodzę z budynku Théâtre de l'Oeuvre. Tern, moja niezawodna jak dotąd rybołówka wciąż na mnie czeka. Dostrzegam mokrą plamę w jego bezpośredniej bliskości, nie będę wnikał w jej genezę. W tym pięknym mieście to niestety również chleb powszedni. Z uczuciem ulgi odjeżdżamy. Nie, o tej inscenizacji nie będę pisał do Kwartalnika, w dwudziestolecie powstania.

BOGUSŁAW KIERC

## Wykwintne i wybredne

Wykwintne i wybredne. Takie wrażenie wywarło na mnie to pismo, kiedy pierwszy raz miałem je w rękach, spostrzegłszy wśród książek na ladzie Księgarni Dolnośląskiej we Wrocławiu. Zarówno format jak i okładka „Kwartalnika Artystycznego” (z wyodrębnionym „Art” w liternictwie tytułu) przywabiły mnie tak mocno, że natychmiast zacząłem przelotną lekturę i zdumiałem się, że dotąd nic o tym periodyku nie było mi wiadomo, i że jest pismem Kujaw i Pomorza, i że wychodzi w Bydgoszczy. Fantastyczne! Pismo regionalne okazało się – co tu dużo gadać – metropolitalnym. Zachowującym swój miejscowy charakter i smak, ale wtopionym w kontekst najwybitniejszych zjawisk literatury światowej. Właśnie – zjawisk, bo nie tylko do pisarstwa ograniczającym swoją za-

chłanną czujność i uczynność. Rzeczy, które ukazały się na kartach „Kwartalnika”, składają się w jakąś wymarzoną antologię tekstów, myśli, obrazów, o której pomyśleć wydawałoby się idealistyczną fantasmagorią, a oto paru Zapaleńcom z bezwzględnie upartym Prowodyrem udało się (i nadal się udaje) urzeczywistniać to pozornie (i z wielu konkretnych względów – realnie) niemożliwe. Cud. I чудо. Bo każdy numer pisma także jako przedmiot jest rarytasem.

Mam świadomość panegirycznego tonu, w jaki mimowolnie (chyba jednak nie mimowolnie) wpadam. Wynika on z poczucia wdzięczności i podziwu. Najpierw czytelnika. Potem autora.

Pamiętam egzemplarz, w którym po raz pierwszy zostałem ugoszczony. Bo tak właśnie traktuję swoją autorską obecność w „Kwartalniku” – jako gościnne zaproszenie. Dobór gości jest tu zawsze (w najlepszym sensie tego słowa) nobilitujący, i – rzeczywiście – przygotowując rzeczy do druku w „Kwartalniku Artystycznym”, mam wrażenie, że szykuję się na ważne, jedyne takie, spotkanie z tymi, których znam i darzę szacunkiem i uznaniem, ale także z tymi, których poznam, i z tymi – przede wszystkim – którzy są (w większości), nieznanymi mi, czytelnikami. Ale czytelnikami wybierającymi właśnie to pismo.

Sam, będąc jego czułym czytelnikiem, nie ogarniam całego bogactwa ofert duchowych, jakimi zostałem obdarzony. Najłatwiej wymieniać numery monograficzne – rewelacyjne – poświęcone Beckettowi, Giacomettiemu, Baconowi, Pinterowi, Bernhardowi, Andrzejewskiemu, Miłoszowi, Herbertowi, Brodskiemu, Różewiczowi, Szymborskiej, Julii Hartwig czy Kazimierzowi Hoffmanowi (serdecznie mi bliskiemu). Ale w każdym numerze, zawsze pojawiała się pewna (pewna!) ilość (jakość!) nadzwyczajności zapierających dech, i nierzadko były to rzeczy dopiero co odkryte.

Gdybym chciał wiernie oddać to, co powinienem, ta pisanina zaczęłaby się nieprzyzwoicie rozgałęziać w jakiś esej o wdzięczności, zachwycie i serdecznych powinnościach. Więc jeszcze o tych serdecznych powinnościach. Z wieloma autorami „Kwartalnika” miałem szczęście i honor (a także – zwyczajną przyjemność) znać się czy przyjaźnić (z niektórymi – mogę jeszcze w czasie teraźniejszym). I to, że nasze teksty spotykają się na jego kartach, traktuję jak cudowną okoliczność umawiania się na spotkanie w ulubionym przez nas miejscu. Za to także gorącym sercem dziękuję Sprawcom tych spotkań, życząc Im nieskończonej wytrwałości i skuteczności w olśniewającym dziele.

JAKUB KORNHAUSER

## „Kwartalnik Artystyczny”, jedenaście przypisów na dwudziestolecie

### 1. Człowiek z parasolem

Współpraca Taty z „Kwartalnikiem” rozpoczęła się na stronie 78 numeru 3/1994 przekładem cyklu wierszy *Na pewnej ulicy* serbskiego poety Stevana Raičkovicia. Natomiast w numerze 2/1995 Julian Kornhauser pojawił się nagle w stopce redakcyjnej, w składzie „Zespołu” – gdzie znajduje się do dzisiaj. Nigdy nie wiedziałem, o co tu chodzi. Na jakiej pozycji gra, kto ustala kadre, gdzie i kiedy odbywają się treningi? To był czas, kiedy Tato wspominał czasy gliwickie, mecze piłki nożnej i tenisa. Poza tym, według wiarygodnych relacji świadków, wspólnie urządzaliśmy turnieje piłkarskie na śniegu. Czyżby tęsknota za dzieciństwem? A może za parasolem z brązową polakierowaną rączką z wiersza Raičkovicia?

### 2. Stopień zero czytania

W tę opowieść wpisany jest pewien szczególny fortel. Albo raczej próba przewyciężenia ograniczeń kalendarza i czytelnicznych nawyków. Na okładce pierwszego numeru „Kwartalnika” widniała sygnatura „nr 0/93”. Czyli wyzwanie dla wrażliwych egzegetów – w którą stronę zacznie się odliczanie, jakie współrzędne widnieją na tej tajemniczej osi? Zwłaszcza, że „zamiast słowa wstępnego” do numeru w imieniu redakcji wypowiedział się Pierre Teilhard de Chardin, w powszechnej opinii zmarły w 1955 roku. Wyjaśnieniem zagadki mogą być jedynie jego słowa: „(...) postęp jest świadomością wszystkiego, co istnieje i wszystkiego, co możliwe”.

### 3. Wizyta w pracowni, tempera

Nie zapominajmy o okładkach! To długa droga, od delikatnego granatu i malarza w fotelu na kółkach, przez kolejne stacje na trasie do zupełnych czerni, żeby nagle, po zaledwie paru numerach, odbić w stronę karminów i beży, a potem porzucić krzyczące nagłówki na rzecz graficznej indywidualności i konsekwencji. Wyróżniało się tylko [ART] w tytule, raz domagając się autonomii, innym razem – pozostając w „styczności” z resztą liter. Grafiki i zdjęcia z czasem rozrosły się, połąkły całą przestrzeń, Ewa Bathelier dała im możliwość pełnego wybrzmienia. Pośród kolorowych cieni i widm, zza filarów labiryntu Leona

Tarasewicza spoglądali od czasu do czasu Beckett, Ginsberg, Pinter, Miłosz czy Bernhard, ostatnio – Tadeusz Różewicz, Wisława Szymborska i Julia Hartwig. No i pisząca dłoń (Becketta?) z fotografii Johna Minihana na okładce numeru 4/1999. Od tamtej pory szukam zapisanej przez nią kartki, skrawka papieru, może biletu tramwajowego?

#### 4. Górna półka

Nie wiem, jaki był ku temu powód, ale „Kwartalniki” stały zawsze na najwyższej półce. Stoją zresztą do tej pory, rozdzielając niemieckie przekłady Różewicza, utwory zebrane Słowackiego, poezje Rilkego i kilkanaście numerów chorwackiej „Republiki”. Pęczniejąc z każdym rokiem, w pewnym momencie przestały się już mieścić i trzeba było znaleźć dla nich miejsce na innym regale – tak się złożyło, że również na samej górze. Ale półka półce nierówna – kiedyś, żeby wyciągnąć któryś z numerów, musiałem przynosić z kuchni taboret, teraz ponad pół metra później, „Kwartalniki” mam niemal na wyciągnięcie ręki.

#### 5. Zamawiam następujące numery

W wielu „Kwartalnikach” z pierwszego okresu zachowały się dołączane do czasopisma druki prenumeraty, które w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ustąpiły miejsca wydrukowanej na ostatniej stronie informacji. W 1995 roku koszt całorocznej prenumeraty wynosił 20 PLN, zagranicznej – 30 \$ USA (4 numery wraz z kosztami przesyłki). W 2000 cena w złotych wzrosła o 50 procent, natomiast w dolarach ani drgnęła. W 2005 dalsza podwyżka – o 5 złotych, ale przy tym wciąż 30 dolarów! Co więcej, zaglądając do jednego z ostatnich numerów, w 2012 roku koszt prenumeraty to już 40 PLN i tylko 20 \$ (15 euro). Przyzynek do zrewidowania historii rozwoju polskiej waluty?

#### 6. Dostawy własną autocysterną

Opowieść o „Kwartalniku Artystycznym” to także opowieść o budowaniu kapitalizmu w Polsce. Oto w numerze 3/1995 pojawiają się na trzeciej stronie okładki kolorowe reklamy wytwórni octu MATMAR w Sławęcinku k. Inowrocławia, Spółka z o. o., produkującej i „oferującej do sprzedaży” między innymi ocet spirytusowy 10% luzem (dostawy własną autocysterną), a także octy winne smakowe 6% – tymiarkowy, estragonowy i rodzynkowy – w butelkach stylizowanych. Czytelnicy, jak głosi reklama, są zaproszeni do współpracy. Tymczasem szybko, bo zaledwie dwa numery później, symptomatyczna zmiana menu: wielka, czerwona reklama Coca-Coli wraz z bydgoskim adresem i numerem fak-

su. Ostatni stopień konsumpcji: w 1997 „Kwartalnik” poleca głównie książki z „Biblioteki »K.A.«”; niestety, nie zachowała się informacja, czy były one nabywcom dowożone autocysterną.

#### 7. Świadectwa ekspansji

Co do wspomnianej „Biblioteki »K.A.«”, to nasuwają mi się trzy kwestie. Po pierwsze, książki wydawane pod tym szyldem były świadectwem ekspansji czasopisma na spróchniałe struktury stolicy (wydawnictwo OPEN). Co tam stolicy zresztą, całej Polski, o czym świadczy podbicie Bielskich Zakładów Graficznych czy drukarni „Introligare” z Łodzi. Po drugie, na okładkach niektórych z tomów – np. *Funebre* Krzysztofa Myszkowskiego, *Czarnych sezonów* Michała Głowińskiego czy *Dziennika z lowa* oraz *Kraju wzbronionej miłości* Grzegorza Musiała – zreprodukowano obrazy Paula Klee, którego twórczość wzbudzała już wówczas i do dziś wzbudza mój entuzjazm. Po trzecie zaś, pewnego rodzaju rozczarowanie: o ile od pierwszego numeru „Kwartalnik” stawał na śliski, z numeru na numer grubszy i bardziej elegancki papier oraz staranną czcionkę, o tyle wydawane pod auspicjami jego redaktorów tomiki nie łączyły już tak precyzyjnie *signifié* „miasta osobnego, jak z rąbka wywiniętego” (*Funebre*) z *signifiant* niecodziennej typografii. Dzisiaj ten dylemat roztrząsają tylko wytłuszczone numery ISBN na odwrocie książek.

#### 8. Specjalny wypadek krzyku

„Kwartalnik” od początku imponował prezentowaniem ciekawych zjawisk we współczesnej sztuce – dość wymienić prace Jarosława Bartołowskiego w numerze 1/1996 czy Zygmunta Kotlarczyka w 3/1998. Coś, co było pomyślane zrazu jako jeden z elementów interdyscyplinarnego krajobrazu, w kilku przypadkach rozrosło się do rozmiaru solidnej monografii. Było tak z Francisem Baconem, któremu przypadł w udziale bogato skomponowany numer 4/2005. Oprócz wywiadu z malarzem, wielu omówień jego twórczości – w tym pamiętnego eseju Gilles’a Deleuze’a – oraz ciekawych wskazówek interpretacyjnych, znalazła się przestrzeń na cykl reprodukcji w albumowym stylu, na kartonowym papierze. Próbowałem wyrwać tę wstawkę i powiesić na ścianie, w pewnym momencie wydało mi się nawet, że te reprodukcje są znacznie lepszej jakości od oryginału. Pomyślałem też, że chyba muszę napisać do Urzędu Marszałkowskiego Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu, Urzędu Miasta Bydgoszczy i Urzędu Miasta Torunia, przyłączając się do zwyczajowych podziękowań od redakcji.



#### 9. Wczoraj, lotne piaski

Numer 2–3/2003 poświęcony Albertowi Giacomettiemu, wybitnemu szwajcarskiemu rzeźbiarzowi, miał dla mnie chyba jeszcze większe znaczenie – pochwyciwszy od okładki ze zmultiplikowaną reprodukcją *Wozu*, poprzez kolejne rzeźby, grafiki i rękopisy tekstów czy listów, aż po dogłębne studium Giacomettiego pióra inicjatora tego numeru – Marka Kędzierskiego oraz jego rozmowy z artystami, przyjaciółmi Szwajcara. Twórczość tego ostatniego zawsze mnie fascynowała umiejętnością pogodzenia surrealistycznej ekspresji z pierwotną strukturą, niepokojącej figuratywności z niejasną abstrakcją. Numer był dla mnie odkryciem – zwłaszcza, że podejmował analizę dzieła mało w Polsce znanego – i szybko urósł do rangi artefaktu, z którego nader chętnie i często korzystałem. Co ciekawe, moją szczególną uwagę zwróciło skromne, czarno-białe zdjęcie z pogrzebu Giacomettiego. W mroźnej, śnieżnej scenerii górskiego miasteczka, koń ciągnie trumnę z ciałem rzeźbiarza, a w oddali, między surowymi domami i stodołami oraz łysymi gałęziami wysokich drzew, można dostrzec grupki ludzi w drodze na cmentarz. Ich szare, ledwie zarysowane kształty do złudzenia przypominały mi rzeźby słynnych „idących postaci”, które przyniosły Giacomettiemu uznanie i popularność, a teraz czuwały nad jego – jeszcze bardziej kruchym – ciałem.

#### 10. Twarz, język, wygnanie

Nieodłączną częścią „Kwartalnika” są fotografie i rękopisy, szczególnie istotne w numerach monograficznych, znakomicie puentujące rozważania o artyście, niekiedy stanowiące wobec nich wyraźny kontrpunkt. Przychodzi mi na myśl zwłaszcza pierwszy numer Beckettowski – 4/1996. Zapamiętałem głównie czarno-białe zdjęcia z prób *Czekając na Godota* San Quentin Drama Workshop w Londynie (lata osiemdziesiąte). Beckett wydawał mi się na tych fotografiach przybyszem z innej planety. Miał na sobie czarny sweter i stojąc na scenie zupełnie zlewał się z kurtyną. Tylko siwe, sterczące włosy i odstające uszy wrywały się pustce. Ta pustka była dobrze widoczna też w reprodukowanych szkicach Becketta do jednej ze swoich sztuk. Oprócz dwóch kropek i strzałek, na rysunku było jedno krzesło. Ale cóż więcej potrzeba?

#### 11. Od pisania do nie-pisania

Pierwsze lektury Ajvaza, Pingeta, Brki, Koltèsa czy Issy, przekłady Reverdy'ego, Handkego, Enzensbergera, Hodrovej, Amichaja, Celana. Nie sposób o nich zapomnieć, chociaż czekają gdzieś tam na ostatnim piętrze, w towarzystwie rur

centralnego ogrzewania. Tato, w eseju *Od pisania do nie-pisania* z numeru 1/1996, który zainaugurował cykl *Po co pisać?*, wspominał o braku zaufania do współczesnej, medialnej i konsumpcyjnej literatury, przeciwstawiał się „kanonadzie słów i wyznań”. Kiedy czytam dzisiaj słowa Taty, który w obliczu szumu informacyjnego „stracił umiejętność mówienia i potrzebę poezji”, spoglądam na wszystkie te kolejne „Kwartalniki” ustawione w rzędki, migocące kolorowymi grzbietami i próbuję sobie odpowiedzieć na zadane przez niego pytanie – „Czy i jakie powstaną jeszcze wiersze?”, czy, zgodnie z tymi prognozami, dziś „zdarzają się rzadziej” i wreszcie, czy rzeczywiście są wyłącznie „powrotem do dawnych czasów i pierwszego naiwnego języka”. Gdzie kryje się to, „co pierwotnie czyste, głęboko doświadczone, co tworzy historię nas samych”? Patrzę i zdaję sobie sprawę, że największe wrażenie robią na mnie portrety Taty sfotografowanego w Sztokholmie przez Woody’ego Ochnio. Dwa czarno-białe zdjęcia, jedno pod nagłówkiem eseju, drugie na końcu, pod kropką. Na jednym widać całą twarz, na drugim – usta są przesłonięte dłonią. Teraz sobie przypominam, że kiedyś byłem zachwycony wizytówką Woody’ego Ochnio, barwną i niesztampową.

KRZYSZTOF LISOWSKI

## Stół na całe życie

*Krzysztofowi Myszkowskiemu i „Kwartalnikowi”  
z serdecznością na piękny Jubileusz*

Ten stół  
Dużo wie o nas

Kąpiele dzieci  
Święta i lektury  
Sceny biesiadne  
Rozkładanie obrusów gazet

Jak tratwa przewożąca nas  
Pomiędzy dniami

Gry na nim zabawy  
Bieżnia nad którą  
Spotykają się oddechy i głosy

Mapy obok parujących  
Wulkanów kubków z kawą

Może i lzy znaleźliby na nim  
Badacze czasu przeszłego  
Zaproszenia na śluby  
Listy i obrazy

Kamienie piasek Sahary  
Płyty z muzyką  
Jasną jak tamte góry  
W ostrych blaskach lata  
Wyprasowane ręczniki  
Na których leżeliśmy  
Dziki plaże wysp

Siedziała na nim kotka  
Potem pies

Pilot telewizora wielokrotnie  
Dawał znak do startu i lądowania

Pisało się do kogoś  
Odliczało pieniądze  
Od daty do daty  
Rozwiązywało zadania  
Nie do rozwiązania

Kładło widelce i łyżki  
Talerze obiecujące sytość  
Pod jesień suche gałązki lawendy  
Wkładano do wazonu

Leżały na nim obrączki  
Dłonie przyjaciół  
Aparaty telefoniczne  
Paczki niekiedy smutek

Walizki z rozpakowaną tajemnicą  
Oliwki i ser  
Chleb w wiklinowym koszyku

Bilety na pociąg do kina  
Instrukcje obsługi  
Gwarancje dla życia i przyszłości  
Na rok dwa

Lupa która wszystko wyolbrzymiała  
I lornetka tęskniąca za teatrem

Szalone termometry zegarki roztropne  
Zdjęcia wysokiego błękitu  
Uwodzące zimą jak syreny

A stół to wszystko znosił  
Nosił ciężary jak słoń  
Przenosił bez skargi  
Przez Alpy nocy i nieobecności

Czworonożne wierne  
Zwierzę domowe

Centrum świata od którego  
Zaczyna się podróż

*14–20 listopada 2012*

## PIOTR MATYWIECKI

Najpiękniejsze w dwudziestoletnim istnieniu „Kwartalnika Artystycznego” jest to, że mimo najrozmaitszych perypetii i zmian osobowych w redakcji jest on obecny w *l i t e r a t u r z e*, a nie w tej odmianie „życia literackiego”, która zmienia się na naszych oczach w mass medialną, komercyjną, jałową, parapoli-tyczną miazgę. Brzydzą się nią prawdziwi pisarze i prawdziwi czytelnicy. Czy to jest arystokryzizm? Nie, to ochrona gleby, na której rośnie słowo. Mówi się, że na naszej planecie w zastraszającym tempie dokonuje się degradacja cienkiej żyznej warstewki, która nas wszystkich karmi. Pisma takie, jak „Kwartalnik Arty-styczny”, chronią nie mniej cenną glebę, nie mniej cenny pokarm.

To jedna z najbardziej nieuchwytnych spraw: styl, tożsamość, nawet osobo-wość pisma literackiego. Począwszy od formatu (poręcznego, ale jakby sprzy-jającego liturgii czytania), poprzez rodzaj papieru i czcionki, a skończywszy na doborze utworów (tak, „Kwartalnik” to już jedno z ostatnich pism publikują-cych utwory, a nie „teksty”) wszystko tutaj komponuje się jakby w toku rozmowy z czytelnikiem. Rozmowy długiej, z numeru na numer, z rocznika na rocznik. A ponieważ wiersze, prozy, eseje i recenzje tutaj drukowane są niezwykle „sen-sochłonne”, to rozmowa pięknie się wydłuża w jednym nawet zeszytcie, z utwo-ru na utwór. Jest czas na poznawanie autorów, ich mądrości i kapryśców, zmian poglądów, stylistyk, upodobań. Jakoś tak się dzieje, że lektura tego kwartalni-ka jest przez Redaktorów nakierowana twórczo: kiedy go się czyta, ma się wra-żenie uczestnictwa intymnie aktywnego. Zbiory „tekstów” niesłusznie nazywa-ne czasopismami, nigdy nie dają takiej satysfakcji...

W dobrze rozpoznawalnej zbiorowej osobowości „Kwartalnika” są mo-menty, kiedy ona używa uwagi jakiemuś jednemu artyście. Nigdy nie powsta-ją wtedy nudne „składanki”, jak to się zdarza nawet najlepszym pismom, za-wsze są to świadectwa prawdziwych fascynacji. Powstają monograficzne ze-szyty, które nie waham się nazwać arcydziełami! Chyba króluje tu Beckett. Ale taki był choćby numer 2–3 z roku 2003, poświęcony rzeźbiarzowi Giacomet-tiemu. Warto zwrócić uwagę na stałą obecność sztuk plastycznych, obecność szczególnie – „Kwartalnik” zajmuje się tymi sztukami nie tylko poprzez „ekfra-zę”, nade wszystko czyni rzeźbiarzy i malarzy bohaterami zbiorowo pisanej powieści, kroniki losu.

Już bardzo rzadko można przeżywać w obcowaniu z literaturą rzecz jedną z najpiękniejszych: przyzwyczajenie pomieszane z przygodą. To jak kontempla-

cja klasycznej konwencji z nadzieją (spełniającą się!), że przydarza się w sztuce niespodzianka nowości.

Tak czekam na każdy następny numer „Kwartalnika Artystycznego”. A kiedy dane mi jest zamieścić w nim coś własnego, radość miesza się z lękiem: czy mój głos będzie w harmonii z tym chórem, czy coś do niego doda, czy może okaże się wybaczalnym ekscesem?

ANNA NASIŁOWSKA

## Na dwudziestolecie „Kwartalnika”

Może to są tylko szuflady, w których nie ma bałaganu.

Leżą tam: pióro łabędzie z miękkim puchem, twarda kołatka i jajo samorodne, mądrzejsze i starsze od kury.

Te przedmioty są osobne i martwe.

Pomiędzy nimi – wolna przestrzeń, biała, przez którą swobodnie przepływa powietrze.

Łagodny przeciąg:

on jest **ar - ty -**

**Sty - czny.**

MAREK SKWARNICKI

## Bydgosko-toruńska „Kultura”

Na „Kwartalnik Artystyczny” zwrócił moją uwagę Czesław Miłosz. Powiedziałem mu przed laty: – Czort wie, gdzie teraz drukować wiersze. Co prawda ukazują się ich wiele w różnych czasopismach, które jednak nie mają właściwie swojego profilu i panuje wśród nich chaos tematyczny i autorski. Miłosz podsunął mi wtedy „Kwartalnik Artystyczny”, w którym sam swoje wiersze drukował. Posłałem wiersze i zostały wydrukowane. Od tej pory datuje się moja stała współpraca z pismem. Zawdzięczam to głównie jego redaktorowi naczelne-



mu Krzysztofowi Myszkowskiemu. Stąd skojarzenie z paryską „Kulturą” w tytule tej wypowiedzi. Bo Myszkowski zawsze pragnąc, bym przysłał jakieś wiersze, pozostawia mi wolną rękę w decydowaniu, co chcę wydrukować, bądź zamawia wypowiedzi tak jak ta, którą właśnie piszę. Dotyczy to zwłaszcza stałego felietonu *Hejnał mariacki* – trochę to dziwny tytuł, ale chcę w ten sposób podkreślić, że pismo ma związek z Krakowem, w którym mieszkam i tworzę. Dodatkowym plusem „Kwartalnika” jest to, że wychodzi w Bydgoszczy i w tak kulturalnym mieście jak Toruń, czyli na Kujawach i na Pomorzu. Najważniejsze jednak jest to, że Naczelny i Jego Współpracownicy wymodelowali pismo na periodyk umożliwiający lekturę najważniejszych poetyckich utworów i wciąganie w obieg czytelniczy zdolnych, młodych autorów.

To, że pismo ukazuje się w Bydgoszczy i w Toruniu wiąże ze sobą te dwa jak gdyby bliźniacze miasta i jest to dodatkowy plus „Kwartalnika”. Toruń, w tym wypadku, to taka gotycka miniatura Krakowa w regionie. W Toruniu poznałem moją żonę. Ślub brałem u Najświętszej Marii Panny i tam też urodziła się moja córka. Nic więc w tym dziwnego, że i w ten sposób czuję się związany z „Kwartalnikiem”. Piękne miasto, piękne pismo. Szkoda, że ma tak słabe wsparcie finansowe.

„Kwartalnik Artystyczny” nigdy nie dał się utopić w rzece masowej kultury literackiej, która zalała telewizję, teatr, film i prasę kulturalną. Pozwala, by tak jak dawniej nie mieszczący się w tym płytkim nurcie pisarz wysyłał swoje utwory do Paryża, teraz mógł je wysłać na adres Bydgoszcz – Toruń. Znaczone niestety pogrzebami wielkich naszych twórców okresy wydawania pisma, w historii „Kwartalnika” pozostawiły numery monograficzne o dużej wartości. Tym samym pismo stało się jeszcze bardziej ogólnopolskie.

Sto lat życzy „Kwartalnikowi” jego liryczny współpracownik z górnego biegu Wisły. Trzymaj się Krzysztofie!

## LESZEK SZARUGA

DO KRZYSZTOFA MYSZKOWSKIEGO Z RACJI JUBILEUSZU PRAC JEGO

Drogi Krzysztofie,

powoli zbliżamy się, Ty jako redaktor naczelny, ja jako zdyscyplinowany współpracownik, do obchodów dwudziestolecia istnienia „Kwartalnika”, co w obecnych okolicznościach natury społeczno-ekonomicznej, nawet w wypadku kwartalnika,

a zatem pisma wychodzącego w słusznych odstępach czasu, jest na powierzchni, a tym bardziej w głębinach naszego życia literackiego osiągnięciem nie tylko godnym odnotowania, lecz także przypomnienia, że tyle właśnie czasu dano na okrzepnięcie II Rzeczypospolitej, co wszakże okazało się okresem nie dość długim, by ją przygotować na wstrząsy w wyniku których na krótko, przynajmniej w kosmicznej mierze rzeczy, kraj tym szyldem oznaczony musiał zniknąć z mapy politycznej świata, by wyłonić się w pokracznej formie peerelowskiej państwowości i wreszcie, po przekazaniu insygniów władzy prezydenckiej przez sprawującego urząd na uchodźstwie prezydenta Kaczorowskiego wybranemu w wolnych wyborach prezydentowi Wałęsie, przekształcić się w III Rzeczpospolitą, co o tyle pozostaje w związku z dziejami naszego piśmiennictwa oraz ruchu czasopiśmienniczego, iż „Kwartalnik” wiek swój obecny osiągnął niemal w tym samym momencie, gdy przywrócony został przytomności publicznej tytuł jednego z ważniejszych pism literackich okresu przedwojennego, jakim były „Wiadomości Literackie”, którego to tytułu dzieje zasługują na osobną i wielce barwną opowieść nie tylko za sprawą jego londyńskiej kontynuacji o skróconej do „Wiadomości” nazwie pod redakcją Grydzewskiego, lecz także fałszywek, jakie stanowiły zaraz po wojnie „Nowiny Literackie” Iwaszkiewicza, zaś po roku 1989 „Wiadomości Kulturalne” Toeplitza, o czym wspominam tutaj nie tylko jako wieloletni zawodowy bibliograf, ale także dlatego, byśmy sobie uprzytomnili z okazji jubileuszu, jak dziwne i zaskakujące bywają meandry prasowego żywota, a przy okazji także chciałbym, do innych już sięgając doświadczeń, przywołać inną historię, a mianowicie założonego przez Gajusza Juliusza Cezara periodyku uważanego chyba trafnie za pierwsze czasopismo europejskie, jakim były powstałe w roku 59 przed Chrystusem „*Acta diurna populi Romani*” wychodzące aż do roku 209 naszej ery, a takiej długowieczności godzi się życzyć i naszemu kwartalnikowi, które to „*Acta*” początkowo poświęcone sprawozdaniom z posiedzeń senatu i publikujące mowy rzymskich polityków, z czasem uległy, jak to się dziś powiada, tabloidyzacji stając się zbiorem plotek, sensacji i paplaniny, co stanowi, jak mierniam, przestroagę dla tych wszystkich, którzy, troszcząc się jedynie o poklask szerokiej publiczności, gotowi są zaniżyć poziom intelektualny i poddawać się ciśnieniu jarmarcznej jedyńce rozrywki, skądinąd potrzebnej, by się na rynku utrzymać i korzystać z dotacji nie zawsze mających pojęcie o tym, co finansują sponsorów, dbających wszak przede wszystkim o własne korzyści i nie sięgających swą wyobraźnią w przyszłość dalszą niż koniec aktualnej kadencji swych urzędów, co wymusza na nich dążenie do przypodobania się gawiedzi wrzeszczącej ze zgrozą, iż środki publiczne wydatkowane są, jak to niegdyś mawiano, dla jedyńce „górných dziesięciu ty-

sięcy”, które to powiedzenie o tyle straciło swą treść, że dziś przecież i dziesięciu tysięcy czytających ze zrozumieniem doliczyć się czasem trudno, w szczególności gdy chodzi o teksty poetyckie lub eseistyczne, które wszak nie bez powodu z taką pieczołowitością i dbałością o ich dobór na łamach „Kwartalnika Artystycznego” na podziw świata wystawiasz, za co wdzięczność Ci okazywać będą zapewne nieliczni, ale za to świadomi wartości Twojej pracy ludzie, ja zaś dziękuję za to, żeś mnie do tak godnego grona autorów przyjąć raczył.

## JANUSZ SZUBER

Drogi Krzysztofie,

okrągła data jubileuszowa i moje dla Ciebie i Redakcji najlepsze życzenia.

Wprowadzony, prawie na samym początku, do „Kwartalnika Artystycznego” przez Antoniego Liberę, z gościa na tych łamach stałem się nieomal domownikiem, a to za sprawą wyjątkowo życzliwego Gospodarza i tego, czemu „Kwartalnik” konsekwentnie służy, nie ulegając kaprysom „dworu i rynku”.

Z dystansu, jaki dają mi moja prowincja i sytuacja osobista, obserwuję bieżące życie literackie: żalosne umizgi do kultury masowej, status celebryty jako zalecany sposób funkcjonowania pisarza, krytyka i wydawcy; arbitralne ustalanie hierarchii i licencjonowanie wyłącznie jej beneficjentów z równoczesnym lekceważeniem propozycji alternatywnych. A do tego zatrwająco niska, by nie rzec śladowa, edukacja literacka w szkołach średnich i poważne braki u absolwentów wydziałów polonistyki.

W tej sytuacji pismo, wierne sprawdzonym wartościom i kryteriom, jednocześnie otwarte i skrzętnie dbające o jakość prezentowanego materiału, jawi się jako periodyk szczególnie cenny.

Kolejnych numerów jubileuszowych życzę, mając w pamięci czterowiersz z *Traktatu moralnego* Miłosza:

Lawina bieg od tego zmienia,  
Po jakich toczy się kamieniach.  
I, jak zwykł mówić już ktoś inny,  
Możesz, więc wpływ na bieg lawiny.

Dużo dobrego, Krzysztofie.

23 X 2012



## JULIA HARWIG

### **Wychodzi na światło**

choć już za nią egzekwie odprawili  
ale budzi się i do życia wraca  
szukając sobie miejsca  
choć mówią że wszystkie obsadzone  
lecz ona widzi pustkę  
i widzi to miejsce  
które dla niej przeznaczone  
i słyszy idący za nią cichy gwar  
duchów które godzić się muszą  
na los i na bezlos  
przychodzą żeby dać ci świadectwo  
swego istnienia.

*W tej powszechności o jakże tu wiele  
mistycznych rzeczy i nieodgadnionych*

### **Kim jesteś**

kto przywrócił mi głos  
wróciła od lat uśpiona mowa  
przyjmuję ją nieufnie  
czy potrafi sprostać  
prostocie i zawikłaniu  
czy okaże się wiarygodna

duch dobry i duch przeciwny  
zajmują należne im miejsca  
ale nigdy nie nastąpi panowanie  
jednego z nich  
bo wszystko co z nas powstaje  
jest obosieczne

nie przewodnictwo jest zadaniem sztuki  
ale spojrzenie okiem zbuntowanym  
co na przemian ukazuje świat  
w obrazie godnym litości  
to znów w kształcie  
budzącym pożądanie  
bo to co warte  
powstaje ze sprzeczności  
*zarazem kusi pokój jak zwątpienie*



## Po co literatura?

---

Istniejący w coraz większej głębi XXI wieku, stawiamy naszym zdaniem konieczne pytanie, choćby tylko dla oczyszczenia pola i jasności sytuacji.

Trzy pierwsze ankiety zaczynał Czesław Miłosz, czwartą, z 2009 roku, Michał Głowiński. Tym razem otwiera Julia Hartwig i jest to równie inspirujący początek.

Jak potoczą się odpowiedzi i jak zadanie zostanie wykonane?

Ciąg dalszy w następnym numerze.

*Krzysztof Myszkowski*

## JULIA HARTWIG

Gdybyśmy zadali to samo pytanie podkładając pod słowo literatura jakąś inną sztukę, na przykład malarstwo, czy teatr, odpowiedź byłaby równie trudna, choć wszystkie te gatunki są w naszym życiu tak zadomowione, że wykluczenie ich byłoby rodzajem amputacji, odcięcia od tych dziedzin sztuki, które uprawiane były od wieków. Ale biorąc pod uwagę udział, jaki mamy w tych sztukach, najbardziej wymagająca jest literatura; wymaga wolnego czasu i skupienia, niezależnie od tego czy będzie to błaha opowiadka, czy arcydzieło. Dla ludzi przywykłych do czytania, literatura jest czymś niezbędnym; czytamy w dzień – przy stole, czy na kanapie, w metrze, w pociągu, w parku, czytamy przed zaśnięciem...

Piękny to obrazek, ale jak on się ma do codziennego obyczaju i sposobu życia statystycznego Polaka? Ilość czytelników książek jest u nas zawstydzająco mała. Z tego, że nie czytają, ludzie tłumaczą się krótko, że są zapracowani i brak im czasu na czytanie. Ale wyjaśnienie to nie jest wystarczające, najczęściej decyduje tu po prostu brak potrzeby czytania, brak takiego nawyku. Czy można polubić coś, czego się nigdy nie robiło i w czym się nie zasmakowało? W dzieciństwie nie było zapewne w domu nikogo, kto by lubił czytać, nikt nie zadbał, byśmy od małego nauczyli się obcować z książką. A czytanie od lat najwcześniejszych to najpewniejszy sposób na rozbudzenie ciekawości do lektury, za czym idzie nawyk czytania. Dziś u nas absencja czytelnicza to już rodzaj choroby społecznej. Straty, jakie z jej powodu ponosimy, nie mieszczą się w statystykach, ale dają o sobie znać w życiu.

W tym stanie rzeczy już samo pytanie „Po co literatura?” brzmi alarmująco, bo teoretycznie, dopuszcza chuligańską odpowiedź: Po nic.

Bo wszystko wokół nas zdaje się krzyczyć: po co nam literatura? A czasem nawet: co to takiego, literatura? I wtedy raz jeszcze zdajemy sobie sprawę, że obcowanie z literaturą to zazwyczaj potrzeba ludzi obytych z kulturą, czytających z nawyku, z ciekawości, i dla przyjemności; pozornie nie ma tu podziałów, a jednak taki podział się narzuca. Zbyt dobrze słyszymy plugawe słowa mijających nas na ulicy rozmówców, te strzępy i ochłapy plugawych zdań, które dobiegają do naszych uszu; zbyt często uderza nas ubóstwo języka, schematy ja-

kie panują w słownictwie, jakim posługujemy się na co dzień; wytarta codzienna mowa, często okaleczona, niepoprawna, nijak nie mająca się ani do poprawności językowej ani do osobowości mówiącego.

Panuje przekonanie, że literatura łagodzi obyczaje, poprawia język, poszerza słownictwo. Nie próbuję twierdzić, że czytanie w dobrej literaturze mogłoby naprawić nasz stosunek do języka. Trudno jednak zaprzeczyć, że czytelników dobrej literatury i tych, którzy jej nie znają, dzieli wyczuwalna granica.

Spróbuję odnieść się do tego pytania bardziej osobiście. Kiedy zdarza mi się znaleźć na czas dłuższy w miejscu, gdzie brak dostępu do książek, czuję się unieszczęśliwiona. Starannie wybrana książka zastępuje mi rozmówcę, a kiedy okazuje się, że popełniłam pomyłkę i rozmówca nie jest wart mojej uwagi, wymieniam go na rozmówcę innego, albo powracam do starych, wypróbowanych przyjaciół, którzy wiem, że mnie nie zawiodą.

Nie trudno mi odpowiedzieć, po co literatura, bo zapełnia ona połowę mojego życia, zważywszy, że należę do jej oddanych wyrobników. Czuję się jej dłużnikiem, moja wiedza o ludziach i o życiu częściowo tylko pochodzi z własnego doświadczenia i byłaby o wiele uboższa, gdyby nie pochłaniane od lat książki. W różnych okresach życia, już dojrzałego, obejmowali władzę nade mną różni pisarze. Przeszukiwałam spadek po Tomaszu Mannie, na czas mojej młodości przypadła lektura tomów Prousta, dwukrotnie podczas choroby karmiłam się *Wojną i pokojem* Tołstoja, dopadł mnie na jakiś czas Malcolm Lowry, robiłam wycieczki wstecz, bawiąc się tłumaczeniem Diderota, cierpiałam nie mogąc pokonać poematu *El je Desdichado* Nerval'a, przeszłam przez fascynację E.T.A. Hoffmanem, chwyciłam się za lekturę Joyce'a, wracałam do *Lalki* Prusa i z tej niemożliwej do oddania powodzi lektur wychodziłam za każdym razem odświeżona, chociaż i bardziej skłopotana, ale też i odmieniona; wzbogacona została wrażliwość a wyobraźnia zyskała na zasięgu.

Poezji należy się w tych rozważaniach miejsce osobne, skoro czytają ją tylko wybrani. I na pewno wiedzą po co.

BLOK Z MAKULATURY



mały Taty  
Bum...  
Tadeusz Różewicz

~~Wiem, że wiem~~  
Tadeusz Różewicz

LA  
Hi  
Amio

Amioty  
dzieci

Amio 4 10  
Selekcja 200k

Tadeusz Różewicz

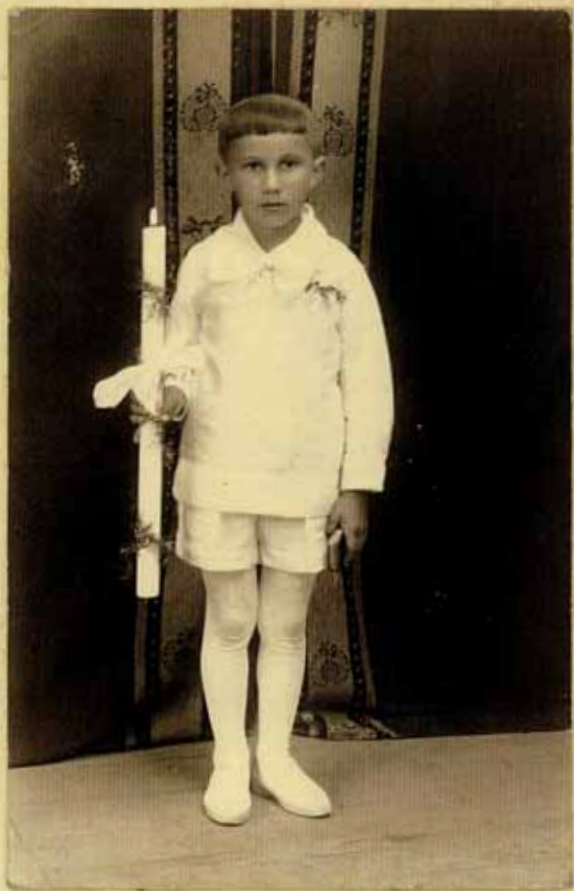
100 karteek

FORMAT A5 FORMAT A5 FORMAT

Wzrostka jednego z Bloku per note Tadeusza Różewicza.

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Jak szybko zmienia się człowiek



Fotografia „Emilia” Radomska

*Pamiątka Jej Komunii Sw.*







PAMIĄTKA PIERWSZEJ KOMUNJI ŚW.

*Różanna Sadeusz*  
przyj... Pierwszą Komunię św. w kościele... *paraf.* ... w *Rodowsku* dnia *3.11.* 19*31r.*



*Ms. M. Jan...*





## Jak szybko zmienia się człowiek

1. zdjęcie w białym ubranku
2. obrazek pamiątkowy pierwszej Komunii
3. ten sam człowiek po 80 latach

3. VI. 1931 r. - 3. stycznia 2012 r.

# SAMUEL BECKETT

## Nienazywalne (dwa fragmenty)

próba przekładu Marek Kędzierski

Ja sam. Kto taki? Galernik, prący ku słupom Heraklesa, który pod osłoną nocy, zmyliwszy czujność strażnika, porzuca wiosło i pełźnie między siedziskami, ku wschodzącemu słońcu, błagając o sztorm. Tylko, że ja już o nic nie błagam. Nieprawda, wciąż jestem suplikantem. Minie to mnie, do czasu ostatniej podróży, po tym ołowianym morzu. Myli mi się z innym obłudem, chęcią poznania, przypomnienia sobie, swego występku. Ale na tym mnie nie przyłapią. To pozostawiam świeżo upieczonym potępieńcom. Nie myślmy jednak już o tym, już o niczym nie myślmy, nie myślmy w ogóle. Jednych jest wielu, drugi jest sam jeden, i sam mnie postanowił nagabywać. Mówią tym samym językiem, jedynym, którego mnie nauczyle. Mówili mi, że są i inne. Nie żałuję, że ich nie znam. W chwili, kiedy w ten sposób urywa się milczenie, może to znaczyć tylko jedno. Rozkazy, modlitwy, groźby, pochwały, wyrzuty, przyczyny. Tak, pochwały, dałem sobie wmówić, że czynię postępy. Tak, syneczku, to tyle na dzisiaj, wracaj, zmykaj teraz w tę swoją ciemność, i do jutra. No i proszę, jestem, siwobrody, siedzę pośród dzieci i wygaduję wszystkie te bzdury, ze strachu, że mnie dadzą baty. Umrę w szóstej klasie, ugiąwszy się pod ciężarem lat i prac za karę, znowu mały smarkacz, tak jak wówczas, kiedy miałem jeszcze przyszłość, bosy, w znośnym czarnym fartuszk, robiąc w majtki. Uczniu Mahoodzie, po raz tysięczny, co to znaczy ssak? I padnę trupem, tak jak stoję, wykończony elementarzem. Mimo wszystko, widać postępy, tak mi się powie, tylko jeszcze niedostatecznie, niedostatecznie. Gdzie to ja byłem, w tych moich lekcjach? Nie pamiętam. No właśnie, to jest takie zgubne dla mojego rozwoju, brak pamięci, niewątpliwie.

---

Samuel Beckett, *L'innommable*, Editions de Minuit, Paris 1953, ss. 101–124, 192–199.

Uczniu Mahoodzie, powtarzaj za mną, człowiek to ssak wyższego rzędu. Nie ma mowy. W tym zoo wciąż się gada o ssakach. Tak między nami, co, do diabła, miałyby obchodzić ucznia Mahooda, że człowiek miałby akurat być tym, a nie czymś innym. Należy przyjąć, że i tak niczego nie stracił, ponieważ cała ta maź przecieka wprost w zawieszinę złych snów. Ucieczka w popłochu. Odpłacę się za te ssaki, nawet stąd to widzę, jeszcze zanim się ocknę. Prędko, dajcie mi mamkę, wyszę z niej wszystko, aż do ostatniej kropli, szczypiąc się za własne cycki. No, ale wypada, bym wreszcie ochrzcił tego samotnika. Bez imion własnych nie będzie zbawienia. Więc nazwę go Wormem. Najwyższy czas. Worm. Nie podobają mi się to, ale nie mam prawie wyboru. To będzie też moje imię, w odpowiedniej chwili, kiedy nie będę już musiał nazywać się Mahoodem, jeśli tego dożyję. Przed Mahoodem byli inni jak on, tej samej rasy i wiary, uzbrojeni w ten sam trójząb. Ale Worm to pierwszy przedstawiciel gatunku. Łatwo powiedzieć. Ja go nie znam. Ale i on może się znużyć, nie będzie chciał już mnie tresować, przygotował już grunt, ktoś go może zastąpi. Jeszcze, nieboga, nie miał okazji przemówić. Mamrocze, nie przestawałem słyszeć jego mamrotania, kiedy inni dawno zabrali się już do dyskursu. Wszystkich przeżył, również Mahooda, jeśli Mahood nie żyje. Wciąż go słyszę, wierny, błaga mnie, bym wyciszył ten martwy język żywych. Poznają to chyba po tym tonie, cały czas niezmiennym. Gdybym mógł umilknąć, lepiej bym rozumiał, czego ode mnie chce, czym chce, żebym był, co chce, żebym mówił. Niech wreszcie zaczną ciskać gromy! Ale ja mam milczeć, wstrzymać oddech. Ale nie rozumiem. Przecież gdyby Mahood zamilkł, i Worm by zamilkł. Żądać ode mnie niemożliwego, owszem, zgoda, niech będzie, czegoś innego można ode mnie żądać? Samego absurdu. Ode mnie, którego zredukowali do rozumu. To prawda, ten poczciwy Worm nic tu nie zawinił. Ale co ja o tym mogę wiedzieć? Dajcie mi jednak dokończyć myśl, nim ją znowu czymś zasram. Przecież jeżeli jestem Mahoodem, jestem również Wormem. Pach. Bądź też jeśli nie jestem jeszcze Wormem, to będę nim, kiedy tylko przestanę być Mahoodem. Pach. A teraz do rzeczy, do poważnych rzeczy, bądźmy poważni. Nie, jeszcze chwilę. Jeszcze jedna historyjka, może o matce Mahooda, żeby ogłupić się już do końca. Zresztą nie ma co się trudzić, ona sama się jeszcze przypomni, kiedy przyjdzie na nią czas, w każdym razie mamy tę płytę, obraca się od niepamiętnych czasów. No i ich wielkie słowa też się przypomną, jak leci, wszystkie po kolei. Podobnie jak problem wolności, uwzględnię go w przewidzianej chwili. Ale może za szybko ich sobie przeciwstawiam, tych dwóch siewców fiaska. Czy to nie błąd pierwszego, że nie mogę być drugim? Więc to współnicy. Proszę, tak trzeba rozumować, nie na zimno. Czyżby jednak istniał



jakiś *tertius gaudens*, czyli ja, któremu należałoby przypisać porażkę tych dwóch? Moje prawdziwe oblicze, czy wreszcie je ujrzę, rozpromienione uśmiechem? Mam wrażenie, że oszczędzi mi się tego widowiska. Nie wiem, o czym mówię, nawet przez moment, ani o kim, ani kiedy, ani skąd, ani z kim, ani po co, ale nawet jeśli do tej nieszczęsnej operacji będę miał pięćdziesięciu skazańców, okaże się, iż brakuje mi pięćdziesiątego pierwszego, żeby zamknęło się koło, w kajdanki, wiem, co to jest, choć nie wiem, co znaczy. Najważniejsze, żeby nigdy nie dotrzeć do niczego, żebym nigdy nigdzie nie był, ani u Mahooda, ani u Worma, ani u siebie, nieważne, kto mi da dyspensę. Najważniejsze to widać się ciągle na końcu wędki, dopóki nie brakuje wody, brzegów, dopóki jest Bóg-sportowiec, któremu aż się pali, w niebie, by znęcać się nad wszelkim stworzeniem, za pośrednictwem swych zastępców. Co do mnie, połknąłem trzy haczyki na raz, a wciąż jestem głodny. Stąd ten skowyt. Jak to człowiekowi dobrze robi, kiedy wie, w jakim miejscu jest, gdzie pozostanie i na czym stoi, wcale tam nie będąc. Wypada tylko wygodnie się pławić w rozkosznej świadomości, że jest się niczym już na całą wieczność. Szkoda tylko, że całym tym gadaniem przeszkadzam ustom spokojnie się wykrwawiać, tak z oblizywaniem warg, mniam mniam! No ale nie można mieć wszystkiego, w tym całkiem już przedostatnim okresie.



Wcześniej czy później bez wątpienia wyciągną mnie na powierzchnię i wszyscy zgodnie stwierdzą, że nie warto było tak się wysilać dla tak nędznej ofiary losu, takim nędznym zabójcom. To dopiero będzie milczenie! A teraz zobaczymy, co nowego u Worma, na pewno się ucieszy ten nasz łotr obleśny. Wkrótce się też przekonam, czy ten drugi jeszcze na mnie czyha. Ale nawet, jeśli tak, i tak mu się nie uda, już mnie nie schwyta, temu już się nie wymknę, mam na myśli Worma, ale tamten, zaklinam się, ten drugi mnie nie schwyta, jemu się wymknąłem, to już należy do przeszłości, aż do tej chwili. Jestem tym, którego się nie schwyta, który się wymyka, jestem czołgającym się między siedziskami galernikiem, wyglądającym nowego dnia (a ten zapowiada się wspaniale), który, wystrojony w ratunkowy ekwipunek błaga o sztorm i zniszczenie. Trzecia lina spada nagle prosto z nieba, przychodzi na ratunek mojej duszy. Już dobrą chwilkę temu powinienem był ją do niej przywiązać – gdybym tylko wiedział, gdzie jej szukać. Jest więc nas czworo, prawdziwy kwartet! Wiem, wiem, mogłaby nas być cała setka, a i tak brakowałoby sto pierwszego. Zawsze brakuje nam Ja. Worm, omal nie powiedziałem Watt, co mam powiedzieć o Wormie, który nie jest aż takim osłem, by dać się zrozumieć? Co powiedzieć o nim, żeby powstrzymać te rozchodzące się po całym teatrze kukielek pogłoski? Co powiedzieć o nim, czego nie da się powiedzieć o tym drugim? Proszę, może chcąc być Wormem stanę się w końcu Mahoodem! Wtedy miałbym w perspektywie tylko bycie Wormem. Którym prawdopodobnie uda mi się zostać, próbując być Jakimśtaminnym. Wtedy miałbym w perspektywie tylko bycie Jakimśtaminnym. Stop, może mi tego oszczędzi, może się nade mną zlituje i pozwoli mi na tym się zatrzymać. O szarym świecie nie zawsze wszystko jest różowe. Worm, Worm, nasza trójca, i na łaskę fal, niech się dzieje, co chce. Zresztą wydaje mi się, że, wbrew temu, co już, jak się chyba zdaje, wymknęło mi się z ust, również czegoś w tym stylu próbowałem. Powinienem był robić notatki, choćby w głowie. Ale Worm nie potrafi niczego odnotowywać. No i mamy wreszcie pierwsze twierdzenie, to znaczy pierwszą negację, na której można zacząć wznosić budowlę. Worm nie potrafi notować. A Mahood potrafi? No właśnie, no dalej, utkajmy coś z tej materii. Tak, cechą Mahooda (jedną z wielu) jest to, że notuje, nawet jeśli nie zawsze mu to wychodzi, pewne rzeczy, co ja mówię, nie pewne, wszystkie, tak żeby wyciągnąć wynikające z nich wnioski, dla swojego wywodu. I faktycznie, zaobserwowaliśmy już to u niego, na dziedzińcu, w jego dzbanie, w pewnym sensie. Wiedziałem, iż wystarczy, żebym chciał mówić o Wormie, abym zaczął mówić o Mahoodzie, z większym szczęściem i większym zrozumieniem niż dotychczas. Jakże bliski stał mi się raptem, kiedy zerkam ukradkiem na medale weterynarza

Decroix, tak oddanego idei konsumpcji końskiego mięsa. To pora aperitif, ludzie zatrzymują się, aby przeczytać menu. Przemiała pora, zwłaszcza kiedy wypada, bo i tak się zdarza, o zachodzie słońca, którego ostatnie promyki przemakają po całej ulicy, użyczając mojemu *cenotaphium* monumentalnego cienia, który okrakiem spina ścieki z trotuarem. Był czas, kiedy mu się przyglądałem, wtedy jeszcze potrafiłem swobodniej poruszać głową niż teraz, od kiedy wtłoczono mnie w obręcz. Wówczas wiedziałem jeszcze, że tam daleko, na szarym końcu, leży moja głowa, po której chodzili ludzie, tak jak i po moich muchach na ziemi, których chmary, mimo to, wciąż zgrabnie się tam wiły. Widziałem, jak ludzie zbliżają się do mnie, stąpając po moim cieniu, któremu wiernie towarzyszyły te drugie, drżące cienie. Ponieważ czasami myślę siebie z własnym cieniem, czasami nie. Tak jak czasami nie myślę siebie z własnym dzbanem, a czasami myślę. Zależy od nastroju. Często udawało mi się bez mrugnienia okiem wytrwać tak, aż do momentu, w którym przestawałem widzieć, kiedy przestawałem być. Bardzo wysmakowane chwile, zbiegające się, od czasu do czasu, jak już nadmieniałem, z porą aperitif. Tę radość jednakże, którą ja sam oceniałbym raczej jako nieszkodliwą, niegroźną dla kogokolwiek, już mi ją odebrano, od kiedy mam tę obręcz, z powodu której zwrócony jestem twarzą w stronę kraty zaraz nad menu, klient bowiem ma prawo skomponować sobie własny jadłospis bez ryzyka, że ktoś nagle na niego wpadnie. Mięso z tej dzielnicy cieszy się wysoką renomą, ludzie przyjeżdżają z daleka, bardzo daleka, specjalnie, żeby się nim najeść. A zaraz potem pośpiesznie się stąd zabierają, po dziesiątej wieczorem panuje tu niczym nieskalana cisza, jak to się mówi, jak w grobie. Taki wniosek wynika z moich obserwacji, zbieranych przez całe lata doświadczeń i stopniowo poddawanych rozumowaniu indukcyjnemu. Tutaj człowiek zabija i zjada. Dzisiaj są flaki. To danie zimowe, albo na późną jesień. Niedługo Marguerite przyjdzie mnie iluminować. Spóźnia się. Już niejeden przechodzi, mrużąc pod nosem, aby lepiej widzieć, co mu oferuje, mówiąc elegancko, karta dań na dzień dzisiejszy, dosłownie podstawił mi pod nos ogień zapalniczki. Żeby tylko, broń Panie Boże, nic się nie przytrafiło mojej dobroczynnej protektorce. Nie usłyszę, jak idzie, nie usłyszę jej kroków, z powodu śniegu. Całe rano spędziłem pod moją derką. Z najdejszciem mrozów Marguerite robi mi gniazdko ze szmat, dobrze ubitych wokół mnie, abym nie zziąbnął, taką przytulną kołderkę. Zastanawiam się, czy i dziś przyjdzie upudrować moją czaszkę swoim grubasnym puszkim, to jej najnowszy wynalazek. Nie wiem, co by wymyśliła, aby mi ulżyć. Chciałaby, żeby moje krosty przestały ropieć! Gdyby zatrzęsła się ziemia. Połknęłyby mnie jatki. Przez kratę, w głębi prześwitu między dwoma budynkami, ukazuje

mi się niebo. Kiedy mam ochotę, zasłania mi je pręt w kracie. To skrawek zawieszono nisko nieba Północy, długi i wąski. Gdybym był w stanie podnieść głowę, zobaczyłbym, jak włącza się on w główny zrąb firmamentu. Co tu jeszcze dodać do tych szczegółów? Wieczór dopiero się zaczyna, wiem, wiem, jeszcze nie odchodzi, nie żegnajmy się jeszcze na zawsze po raz kolejny, z całym tym kramem. A gdybym tak, czekając na coś, co da się zrozumieć, posnuł sobie rozmaite refleksje? No, choć raz, przecież raz nie znaczy z reguły. Niemal natychmiast przychodzi mi do głowy, że może niesłusznie powstrzymuję się od tego typu koncentracji. Prędko, trzeba odnotować, zanim mi to umknie! Jakim cudem ludzie mnie nie zauważają? Tylko Madeleine, jak się wydaje, mnie spostrzega. To, że umykam uwadze jakiegoś przechodnia, który przed kimś ucieka, albo kogoś goni, to zrozumiałe. Ale cała ta zgraja gapiów, wszyscy ci próżniacy, którzy włóczą się, aby posłuchać zwierzęcych krzyków bólu i chodzą tam i z powrotem w kompletnej beczynności, czekając aż zaczną się rzeź? A ci wygłodzeni, których usytuowanie jadłospisu, tam gdzie go usytuowano, zmusza, *nolens volens* do tego, by stanęli dosłownie pod moim nosem i poczuli mój oddech. A te spragnione rozrywki dzieci, pędzące na plac zabaw i stamtąd wracające. Wydaje mi się, że przecież głowa ludzkiego kształtu, niedawno obmyta, z kępką włosów na czubku, umieszczona w miejscu, w którym ja jestem umieszczony, powinna jednak skutecznie wzbudzać ludzką ciekawość. Czy zdają się nie dostrzegać mojego istnienia przez wstydliwość albo obawę, że spowodują ból? O takie jednak wyrafinowane tajniki psychiki trudno podejrzewać psy, które przychodzą tu sikać na moje domostwo, nie widać po nich żadnych rozterek, co do tego, czy w środku jest jakaś skóra i są jakieś kości. To znaczy, że już nawet nie wydają zapachu. A przecież, jeżeli ktoś powinien wydawać jakiś zapach, to właśnie ja. Jak w takich okolicznościach Mahood miałby spodziewać się po mnie normalnego zachowania? Muchy, owszem, reagują na mnie, dobrze, ale czego to dowodzi? Czy nie siadałyby sobie z równym apetytem na krowim łajnie? Nie, dopóki mi się tego nie wyjaśni, lub dopóki ktoś inny niż Madeleine mnie nie dostrzeże, nie będę w stanie uwierzyć w to, co się o mnie opowiada, na tyle przynajmniej, bym kontynuował ten swój numer. Tym bardziej, że świadectwa, którego się domagam, i bez którego niechybnie spełzną na niczym projekty, które (dla mnie) mi zostały wyznaczone, nie będę w stanie już odebrać, tak bardzo ostatnimi czasy podupadły moje władze. Mamy tu, rzecz jasna, do czynienia z zasadą zmiany, dzięki której można, oczywiście, zajść całkiem daleko. Ale żeby mieć szansę na to, by umrzeć – przyjmując najkorzystniejszą z hipotez – nie zdoławszy uwierzyć, że już żyłem, założę się, że tego mi wcale

nie życzą. Bo to już parokrotnie mi się zdarzyło, nie dali mi nawet urlopu na krótki odpoczynek, pośród dżdżownic, zanim mnie wskresili. Kto jednak wie, co zarezerwowała dla mnie przyszłość, tym razem? Że zmierzchnę do otwartego grobu jako byt obdarzony czuciem i myśleniem, to w każdym razie wspinała rzecz. Może jakiś dżentelmen pewnego dnia, idąc pod ramię ze swoją lubą, akurat w momencie, kiedy agonia łaskawie umożliwi mi delektowanie się ostatnim smaczkim upływu czasu, zauważy, na tyle głośno, że i ja będę w stanie to usłyszeć: Popatrz, temu człowiekowi chyba niedobrze, trzeba wezwać karetkę! Tym samym, za jednym zamachem, kiedy będzie wydawało się, że wszystko musi rozpocząć się od nowa, podwójny sukces! Umrę, w dodatku uprzednio zaistniawszy. Chyba, że uzna się, iż facet ma halucynacje. No więc dobrze, aby wykluczyć najmniejsze wątpliwości, trzeba, by *in spe* tego dżentelmena miała czas powiedzieć: Tak, kochany, chyba będzie zwracał. To mnie upewni. Urodzę się w końcu, zaistnieję w ostatnim tchnieniu, a raczej czknięciu, które jakże często ostatecznemu odejściu odbiera, niestety, uroczysty charakter. Jeszcze będąc Mahoodem, znałem lekarza, który twierdził, że ostatnie tchnienie, ze ściśle naukowej perspektywy, może nam ulecieć tylko przez tyłek, i że to do tego ostatniego otworu rodzina powinna podsunąć lustro, przed otworzeniem testamentu. Jak by nie było, nie wdając się w te makabryczne detale, popełniałem kolosalny błąd, zakładając, że śmierć sama w sobie jest pewną poszlaką, a nawet mocnym przypuszczeniem, na korzyść uprzedniego życia. Co do mnie, już mnie nie urządza wynoszenie się z tego świata, w którym ciągle mnie tylko naciągają, nie dając mi dowodu na to, że byłem, przez wymierzenie mi, na przykład, kopniaka w tyłek lub choćby i pocałunku, natura okazanej mi uwagi nie ma tutaj większego znaczenia, pod warunkiem, że nie będę podejrzewać, że sam jestem tu autorem. Nie, już mnie to nie urządza, wiem bowiem, że niczemu się to nie przysłuży, niczego nie zmieni, i nie położy niczemu kresu. Wystarczyłoby jednak, że dwóch, dwie lub dwoje tak zwanych trzecich odnotuje to, że ja jestem, ja sam mogę wtedy zrobić całą resztę. Jakże wszystko staje się jasne i proste, kiedy człowiek zwróci oczy do wewnątrz, pod warunkiem rzecz jasna, że wcześniej będą one zwrócone na zewnątrz, po to by lepiej radować się kontrastem. Choć naprawdę nie mam już siły, miałbym sobie za złe, gdybym musiał zatrzymać się na tym pięknym szlaku. Na pewno bowiem nie zacznę na nowo od razu, w żadnym wypadku. No ale dość już tej pieprzonej pierwszej osoby, naprawdę już jej za wiele, to nie o nią chodzi, jak tak dalej pójdzie, to jeszcze ściągnie na mnie nieszczęście. Ale o Mahooda też nie idzie, jeszcze nie, więc o co tu chodzi? O Worma tym bardziej nie. Wszystko jedno, nieważny zaimek,

pod warunkiem, że człowiek nie da się na to nabrać. Człowiek się przyzwyczaja. Później zobaczymy. O czym to ja mówiłem? A tak, o rozkoszach tego, co jasne i proste. Spróbujmy w to wplątać tę pocziwą Madeleine, taka dla mnie dobra. Tak mnie dogląda, tyle mi poświęca ciepła i uwagi, czemu właściwie nie widzieć w tym wystarczającego dowodu na moją rzeczywistą obecność, tu, przy rue Brancion, na tej dziwnej wysepce. Czy usuwałyby spode mnie wszystkie te nieszczęsne ekskrementy, czy z nadejściem pierwszych szronów uwijałyby mi gniazdko, broniła przed śniegiem, zmieniała trociny, sypała sole na moją chorą głowę, niczego nie pomijam, mam nadzieję, gdyby mnie tu nie było? Czy założyłyby mi obręcz na szyję, umieściła na podwyższeniu, udekorowała lampionami, nie upewniwszy się o mojej substancjalności? Jakże powinienem być szczęśliwy, przyjmując ten oczywisty fakt i zdając się na wyrok, który on z sobą niesie. Na nieszczęście, uważam, że co do tej kobiety, to zdecydowanie powinienem na nią uważać lub wręcz się jej wystrzegać. Co myśleć o jej posługach, których mi nie szczędzi, ostatnio wręcz się podwoiły, jeśli nie to, że świadczą one o jakimś wielkim zamęcie? Olbrzymia różnica w porównaniu z początkiem, kiedy ukazywała mi się zaledwie raz w tygodniu! Powiedzmy sobie szczerze, ta kobieta traci wiarę, we mnie. I próbuje odwlec moment, kiedy będzie musiała w końcu przyznać, że popełniła błąd, próbując co chwila sprawdzać, czy można mnie jeszcze sobie wyobrazić, w tym miejscu. Podobnie z wiarą w Boga, powiedzmy to z całą skromnością, czasami się zatracą, jak się wydaje, w nadmiarze gorliwości i przestrzegania obrządków. Tu zatrzymam się na chwilę, dla pewnego niuansu (nie przestaję myśleć, jak widać). Że moje sanktuarium jest naprawdę tam, gdzie stoi dzban, tego nie ośmieliłbym się zanegować, to nie moja rola, chociaż obecność w miejscu, o którego realność też nie chcę się teraz spierać, urny takich wymiarów, wydaje mi się mało prawdopodobna. Nie. Wątpię po prostu w to, że sam jestem w środku. Łatwiej wznieść świątynię niż sprowadzić do niej bóstwo, aby nawiedzało w niej ludzi. Myli mi się obwód i okolice. Oto do czego prowadzą niuanse. Nieważne. Ona mnie kocha, zawsze to czułem. Potrzebuje mnie. Może mieć ten swój geszeft, ogródek, męża, może i dzieci, ale jest w niej i pustka, którą ja tylko mogę wypełnić. Nie dziw zatem, że w takiej sytuacji nawiedzają ją widzenia. Był czas, kiedy widziałem w niej jakąś moją krewną, matkę, siostrę, córkę, czy ja wiem, może i małżonkę, która mnie sekwestruje. To znaczy, że Mahood, widząc jak mało sobie obiecuję po jego głównym świadku, podszeptała mi tę hipotezę, zastrzegając się z góry: ja nic nie mówiłem! Muszę przyznać, że nie jest ona aż tak dziwaczna, jak wydawałoby się to na pierwszy rzut oka. Tłumaczy nawet pewne ekscentryczne cechy, które ude-

rzyły mnie w chwili jej sformułowania, między innymi moje nie-istnienie w oczach ludzi nie ostrzeżonych przede mną, to znaczy ogólnie całej ludzkości. Założywszy nawet jednak, że ktoś postanowił ukryć mnie wystawiając na widok publiczny, po co miałby zadawać sobie tyle trudu, by dodatkowo eksponować moją głowę, z artyzmem iluminując ją wraz z nadejściem zmroku. Powiecie, że nie ważny zaimek, że liczy się przecież tylko rezultat. I jeszcze jedna rzecz. Kobieta ta ani razu nie odezwała się do mnie słowem, o ile się nie mylę. Jeśli zdarzyło mi się już powiedzieć coś przeciwnego, to się myliłem. Jeśli mi się to przydarzy w przyszłości, to będę się mylił. Chyba, że mylę się w tej chwili. Wracając do tematu, aby potwierdzić naszą, dowolną, tezę. Ani razu żadnego czułego słowa, żadnej reprimendy. Z obawy, żeby mnie nie wskazać innym? Albo rozwiać omam? Podsumujmy. Bliski jest dzień, w którym wyprze się mnie, ona, moja jedyna wiarna. Nic się nie wydarzyło, a lampiony nie zapalone. Czy to ten sam wieczór? Pora wieczery już może minęła. Marguerite może już przyszła, i odeszła, ponownie przyszła i odeszła ponownie, jak zazwyczaj, a ja nic nie zauważyłem. Być może błyszczałem całym swym płomieniem, nawet przez dłuższą chwilę, nie zdając sobie sprawy. A jednak coś uległo zmianie. Ta noc nie jest taka jak zazwyczaj. Nie dlatego, że nie widzę gwiazd, rzadko kiedy pojawia się tam gwiazda, na tym skrawku nieba, który jestem w stanie stąd dojrzeć. Nie dlatego, że nic nie widzę, nawet kraty, to zdarzało mi się często. Również nie z powodu ciszy, nocą jest to cichy kącik. A ja jestem na pół głuchy. Nie po raz pierwszy nadstawiam ucha, na próżno, w stronę, z której dochodzą odgłosy ze stajni. Nagle zarzy może jakiś koń. Wtedy będę wiedział, że nic nie uległo zmianie. Albo zobaczę latarnię strażnika na dziedzińcu, na wysokości kolan, trzeba uzbroić się w cierpliwość. Zimno jest, rano spadł śnieg, a ja nie czuję na głowie zimnego powietrza. Jestem może jeszcze pod plandeką, może nakryła mnie derką, ze strachu, że śnieg ponownie spadnie w nocy, podczas moich rozmyślań. Ale tego też nie czuję, tej bardzo mi miłej derki, ciężącej mi na głowie, nie. Czyżby moja głowa już była bez czucia? A może miałem jakiś udar, podczas moich rozmyślań? Nie wiem. Muszę uzbroić się w cierpliwość, nie zadawać sobie pytań, tylko dobrze wyczerzyć całą uwagę. Minęły godziny, nastał chyba nowy dzień, nic się nie wydarzyło, niczego nie słyszę, niczego nie widzę, moja głowa niczego nie wyczuwa. Ukazałem im spoczywającą na nich odpowiedzialność i być może mnie wypuścili. Ponieważ to poczucie, że jestem całkowicie zamknięty i nic mnie nie dotyka, jest całkiem nowe. Trociny nie wpijają mi się w kikuty, teraz już nie wiem, gdzie przyjdzie mi skończyć. Opuściłem, wczoraj, świat Mahoda, ulicę, garkuchnię, szlachtowanie, statuę tudzież, po drugiej stronie kraty,

niebo jak płytkę dachówki. Już nie usłyszę krzyków zwierząt, ani stukania widelców i szklanek, ani wykrzykiwań zagniewanych rzeźników, ani litanii dań oraz cen. Nie będzie już kobiety, domagającej się, nadaremno, bym żył, a mój cień nie zaciemni już trotuaru. Skończyły się historie Mahooda, zrozumiał, że nie są o mnie, na mój temat. Poddał się, teraz ja wygrywam chociaż uczyniłem wszystko, by przegrać, aby sprawić mu przyjemność i mieć święty spokój. Ale czy będę miał święty spokój, wygrawszy? Nie wygląda na to, nie wygląda na to, że umilknę. Poza tym wszystkie te supozycje są zapewne mylne. Oni być może ponownie pchną mnie do boju, wyposażą w lepszą broń, każą przypuścić atak na śmiertelność. Ważniejsze jest jednak raczej, by wiedzieć, co się dzieje, po to, by z tego zdać sprawę, zgodnie z moją funkcją. Nie wolno zapominać, a mnie się to zdarza, że wszystko jest kwestią głosu. To, co się dzieje, to są zatem słowa. Mówię to, co mi powiedziano, że mam mówić, w nadziei, że pewnego dnia znuży ich całe to mówienie do mnie. Kłopot w tym, że mówię źle, nie mam słuchu, ani głowy, ani pamięci. Teraz słyszę, jak mówię, że to głos Worma zaczyna, a ja tylko przekazuję nowiny, bez względu na to, ile są warte. Czy myślą, że ja myślę, że sam mówię? To też jest od nich. Żebym myślał, że jestem obdarzony jakimś ja i potrafię o nim mówić, tak jak oni o swoim. Kolejna pułapka, aby znowu mnie, hop, schwytać pośród żywych, wziąć mnie żywcem. Ale jak się w nią wpada, tego nie potrafili mi zbyt dobrze wytłumaczyć. Nigdy nie będą mądrzejsi od mojej głupoty. Po co mi tak mówią? Niewykluczone, że pewne rzeczy, przechodząc przeze mnie, ulegają zmianie, rzeczy całkiem ważne, a oni na to nic nie mogą poradzić. Czy myślą, że to ja zadaję te pytania? To też jest od nich. Ja może trochę tylko to deformuję. Nie twierdzą, że nie tędy droga, że to niewłaściwa metoda. Nie twierdzą, że nie uda im się w końcu mnie złapać. Sam bym tego chciał, aby mnie mogli porzucić. Tylko te polowania męczą, to niekończące się ujadanie. Obrazy, wyobrażają sobie, że uda im się pod naporem tych obrazów, wyprowadzić mnie w pole. Jak matka, która gwizdaniem chce uchronić niemowlę od zapalenia nerek, proszę, jeszcze jeden obraz. Oni, ich, im, tak, teraz wszyscy są w jednym worku. Teraz kolej na Worma, on ma grać, to jego kwestia, życzę mu powodzenia. Pomyśleć, że uważałem, że sprzeciwia się temu, co chcieli ze mną zrobić. Pomyśleć, że widziałem w nim, jeśli nie siebie, to kogoś o krok ode mnie. Że przejdę w niego, Anty-Mahooda, a potem do siebie powiem: Co sobie myślisz, że to, co robię, to coś innego niż życie, w pewnym sensie, jedyne możliwe życie. Ale kombinacja! Albo, żebym absurdalnie wykazał przed sobą samym, że jestem, ten absurd tkwi w niemożności. Na nieszczęście, nic mi nie pomaga to, że mnie ostrzegano, jeśli tak rzeczywiście było, ponieważ nie ostrze-



gają nigdy na dłużej. Tak czy inaczej, życzę mu wielu sukcesów w tym tak odważnym przedsięwzięciu. A nawet mógłbym z nim współpracować, tak samo jak z Mahoodem i jego współnikami, w miarę własnych możliwości, bo inaczej nie mogę, znam własne możliwości. Worm, powiedziec, że Worm nie wie, kim jest, gdzie jest, co się dzieje, to za mało. Nie, nie wie jednego, że jest coś, co można wiedzieć. Jego zmysły niczego go nie uczą, ani o sobie samym, ani o całej reszcie innych, samo to rozróżnienie jest mu obce. Niczego nie czuje, niczego nie wie, a jednak istnieje, wszakże nie dla siebie, lecz dla innych, to ludzie go stworzyli, powiedzieli Worm jest, ponieważ go stwarzamy, jakby mogły istnieć tylko stworzenia stworzone, choćby przez tego, kto istnieje. Ludzie. Sam jeden, potem inni. Sam jeden zwraca się ku temu Wszechniemogącemu, Wszechniewiedzącemu, który go nawiedza, potem inni. Ku temu, którego nakarmi, on wygłodzony, ku temu, który nie mając w sobie nic ludzkiego, nie ma nic innego, nie ma niczego, jest niczym. Przyszedł na świat nie rodząc się, nie żyjąc na nim mieszka, ma nadzieję nie umrzeć, epicentrum radości, trosk, spokoju. Którego, ponieważ najmniej ulega zmianie, uważa się za najrzeczywistniejszego. Ten bez życia, który na dłuższą metę przez ludzkie długie, daremne życie chce, żeby nie przestawał być. Którego nie oszczędza dzika żądza mówienia, dzika żądza myślenia, wiedzy, czym jest, czym był, w oszalałym śnie, pod niebem, uwolniony nocą. Ten, który nic o sobie nie wie i nie odzywa się, nie zna swego milczenia, i który nie mogąc być, już na to się nie sili. Którego otacza się tymi, którzy się w nim rozpoznają i pokazuje im wciąż ten sam grymas. Dzięki za to ABC. Podnosi na duchu. Jeszcze nie koniec. Ten, który szuka swego prawdziwego oblicza, żeby go rozpogodziło, znajdzie je, targany niepokojem, z wybałuszonymi oczami. Ten, który pragnie mieć za sobą życie, kiedy był żywy, niech będzie spokojny, życie powie mu, jak. Proszę, jak to uspokaja. Worm, bądź Wormem, zobaczysz, że to niemożliwe, jakie to subtelne, jak białe rękawiczki, nieco wytarte na palczkach, w czasach, kiedy trzeba było wymierzać ciosy. To nic, nie ma to, jak mieć gwiazdy w oczach. Zaczniemy krochmalic tę szmatkę cudem ocalałą po tyłu machlojkach, łagodnie rozpostartą jak pierwszego dnia. Ale to jedynie kwestia głosów, wszelkie inne obrazy należy oddalić. Niech w końcu przejdzie przede mnie, pocchiwy ostatni głos kogoś, kto, jak sam mówi, go nie posiada. Myślą sobie, że uda im się mnie uspić, tym refluksem w przełyku? Jakie znaczenie ma dla mnie to, czy odniosę sukces, czy poniosę klęskę? To nie moja impreza. Jeśli chcą mojego sukcesu, będzie klęska, i *vice versa*, ja muszę ich mieć na karku. Czy w tym wszystkim, co mówię, jest choć jedno moje słowo? Nie, ja nie mam głosu, w tej materii nie mam. To jeden z powodów, z powodu których myliłem sie-

bie z Wormem. Ale nie mam przecież powodów, żadnego powodu, jestem jak Worm, bez głosu, bez przyczyny, jestem Wormem, nie, gdybym był Wormem, nie wiedziałbym o tym, nie powiedziałbym tego, niczego bym nie powiedział, niczego bym nie wiedział, byłbym Wormem. Ale ja nic nie mówię, nic nie wiem, to nie są moje głosy, ani moje myśli, to tylko wrogowie, którzy są we mnie. Którzy zmuszają mnie do powiedzenia, że nie mógłbym być Wormem, on jest nie do zdobycia. Do powiedzenia, że może jednak nim jestem, tak jak one nim są. Do powiedzenia, że choć nim nie jestem, mam nim być. Że, nie mogąc być Mahoodem, tak jak ja, mam być Wormem, tak jak nie mógłbym być. Ale czy to wciąż one mówią, że skoro nie mogę być Wormem, będę Mahoodem, tak po prostu, na zasadzie rykoszetu? Tak jakby, tu pauza, milczenie, jakbym był już na tyle duży, żeby rozumieć, pewne rzeczy, w półsłówkach, ale nie, mnie trzeba wyjaśniać, wszystko wyjaśniać, i nawet wtedy niczego nie rozumiem, w ten sposób doprowadzę ich do rozpacz, moją głupotą, oni tak mówią, aby mnie uspić, bym uważał się za głupszego niż jestem. Ale czy to wciąż oni mówią, że kiedy wbrew ich oczekiwaniom stanę się Wormem, będę wreszcie Mahoodem, Worm stanie się Mahoodem, w chwili, kiedy nim się będzie? Och, gdyby tylko byli w stanie zacząć, niech robią ze mną, co chcą, niech wreszcie im się uda, zrobić ze mnie, co chcą, jestem gotowy, zgodzę się być wszystkim, czym chcą, żebym był, nuży mnie już bycie surową materią, materią urabianą bez ustanku, daremnie. A może dali sobie święty spokój, porzucili mnie, bezforemną masę, kupę, której nikt już nigdy, nie znalazłby się taki szaleniec, nie będzie próbował uformować.

(...)

Proszę, jak wszystko w końcu jakoś się układa, to za sprawą cierpliwości, to za sprawą czasu, który mija, to za sprawą ziemi, która się obraca, że ziemia już się nie obraca, że czas już nie mija, że cierpienie ustaje, wystarczy poczekać, niczego nie robiąc, to niczemu nie służy, niczego nie rozumiejąc, to niczego nie ułatwia, i wszystko się układa, nic się nie układa, nic, nic, to się nigdy nie skończy, ten głos nigdy nie ustanie, jestem tutaj sam, pierwszy i ostatni, nie dałem nikomu cierpieć, nie położyłem kresu niczym cierpieniom, nikt nie przyjdzie, by położyć kres moim, oni nigdy nie odejdą, ja nigdy się nie ruszę, nie będę miał nigdy spokoju, oni też nie, oni się nie upierają, mówią, że się nie upierają, mówią, że ja też się nie upieram, nie chcę pokoju, może i to możliwe, jakbym miał się przy tym upierać, co to takiego, i ta historia o cierpieniu, co to takiego, mów-

wią, że cierpię, możliwe, że lepiej byłoby, gdybym zrobił to, gdybym powiedział tamto, gdybym się poruszył, gdybym zrozumiał, gdyby oni zamilkli, gdyby odeszli, możliwe, skąd niby mam wiedzieć, o takich rzeczach, skąd niby miałbym rozumieć, co takiego mówią, ja nigdy się nie poruszę, nigdy nie zrozumieję, nigdy nie przemówię, oni nigdy nie zamilkną, nigdy nie odejdą, nigdy mnie nie schwytają, nigdy z tego nie zrezygnują, koniec kropka, ja tylko słucham. Wolę to, muszę powiedzieć, że to wolę, jakie to, sami wiecie, wy, jacy wy, no, pewnie publiczność, proszę, jest i publiczność, to przedstawienie, kupujemy bilet i czekamy, a może za darmo, pewnie za darmo, darmowe przedstawienie, czekamy, aż się ono zacznie, jakie ono, no przedstawienie, czekamy, aż zacznie się przedstawienie, darmowe przedstawienie, a może obowiązkowe, obowiązkowe przedstawienie, czekamy, aż się zacznie, obowiązkowe przedstawienie, przydługie, słyszymy głos, może to recytacja, ktoś recytuje, wybrane fragmenty, już wypróbowane, na pewniaka, poranek poetycki, albo improwizuje, ledwie słyhać, to jest przedstawienie, nie można wyjść, strach wychodzić, gdzie indziej może jeszcze gorzej, jakoś się ułoży, jakoś rozum wytłumaczy, za wcześniej przyszliśmy, tu trzeba być obeznanym, znać łacinę, to dopiero się zaczyna, jeszcze się nie zaczęło, to dopiero preludium, on musi odchrząknąć, sam w garderobie, zaraz się pokaże, zaraz rozpocznie, a może to inspicjent, daje instrukcje, ostatnie wskazówki, zaraz pójdzie do góry kurtyna, to jest przedstawienie, zaczekać na przedstawienie, przy odgłosie pomruku, tłumaczymy, czy to w ogóle głos, może tylko powietrze, wznosi się, opada, wyciąga, wiruje, szuka wyjścia, między przeszkodami, a gdzie inni widzowie, nie zauważyliśmy, czekając w napięciu, że czekamy w pojedynkę, to jest przedstawienie, czekać w pojedynkę, w niespokojnym powietrzu, aż się rozpocznie, coś się rozpocznie, aż będzie coś innego niż ja, aż będzie można odejść, już bez strachu, tłumaczymy, może na ślepo, pewno na głucho, już po przedstawieniu, wszystko skończone, a gdzie w takim razie ta dłoń, pomocna dłoń, choćby litościwa, albo opłacana, każe na siebie czekać, ująć twoją i wyprowadzić ze środka, to jest przedstawienie, nic nie kosztuje, czekać w pojedynkę, ślepy, głuchy, nie wiadomo gdzie, nie wiadomo, na co, aż zjawi się ręka, i stąd was wyciągnie, zaprowadzi gdzie indziej, gdzie być może jeszcze gorzej. Proszę, teraz wy, znowu jesteśmy na wy. A teraz to, już wolę to, muszę powiedzieć, że to już wolę, co za pamięć, jak bibuła, nie wiem, już nie wolę, to tylko wiem, więc nie warto tym się zajmować, rzeczą, której już się nie woli, no widzicie, zajmować się tym, a nigdy życiem, trzeba czekać, odkryć swoje preferencje, będzie jeszcze czas, by wszcząć formalne śledztwo. Ponadto, no właśnie, wiążmy jedno z drugim, nigdy nie wiadomo, zresztą ich postawa wo-

bec mnie nie uległa zmianie, pomyliłem się, oni się pomylili, oni mnie zmylili, chcieli mnie zmylić, mówiąc, że uległa zmianie, ich postawa wobec mnie, ale mnie nie zmylili, nie zrozumiałem, co chcieli zrobić, co chcieli mi zrobić, ja mówię to, co mi się mówi, żebym mówił, koniec kropka, jeszcze jak, no ale, nie wiem, nie czuję, bym miał usta, nie czuję, by słowa przepychały się przez moje usta, a kiedy recytuje się ulubiony poemat, jeśli lubi się poezję, w metrze, bądź we własnym łóżku, dla siebie, słowa już tam są, w pobliżu, nie robiąc najmniejszego hałasu, tego też nie czuję, słów, które padają, nie wiadomo gdzie, nie wiadomo skąd, kropli milczenia pośród milczenia, nie czuję ich, nie czuję, żebym miał usta, nie czuję, żebym miał głowę, a czy czuję, żebym miał ucho, tylko szczerze proszę, odpowiedzieć, czy czuję, żebym miał ucho, no nie, tym gorzej, nie czuję, żebym miał ucho, oj kiepsko, trzeba to sprawdzić, powinienem coś czuć, tak, ja coś czuję, mówią, że coś czuję, nie wiem, co to jest, nie wiem, co czuję, powiedzcie mi, co czuję, a ja powiem wam, kim jestem, oni powiedzą mi, kim jestem, ja nie zrozumieję, ale zostanie to powiedziane, powiedzą mi, kim jestem, a ja to usłyszę, bez ucha usłyszę, i powiem to, bez ust to powiem, i usłyszę to poza mną, a zaraz potem we mnie, może to właśnie czuję, że jest to, co na zewnątrz i to, co wewnątrz, a ja w środku, pomiędzy, właśnie tym może jestem, rzeczą dzielącą świat na dwoje, z jednej strony to, co na zewnątrz, z drugiej wewnątrz, może to coś cienkiego jak blaszka, ja nie jestem ani jedną, ani drugą stroną, ja jestem pośrodku, ja jestem przegrodą, mam dwie powierzchnie, ale nie mam grubości, może to właśnie czuję, to, jak wibruję, jestem *tympanum*, z jednej strony czaszka, z drugiej strony świat, ja nie jestem ani z tego, ani z tamtego, to nie do mnie mówią, nie o mnie myślą, nie, nic z tych rzeczy, nic takiego nie czuję, spróbujcie innych rzeczy, co za zgraja bydlaków, powiedzcie coś innego, żebym to usłyszał, nie wiem jak, żebym powtórzył, nie wiem jak, co za gbury, mimo wszystko, żeby wciąż mówić to samo, chcieć, żebym ja to samo mówił, a przecież wiedzą, że to nie to, nie, oni też nic nie wiedzą, zapominalscy, myślą, że ulegają zmianom, a nie ulegają, do śmierci będą mówić to samo, a potem może chwila milczenia, dopóki kolejna ekipa nie stawi się na miejscu, kolejna banda nie zabierze się do dzieła, tylko ja jestem nieśmiertelny, a jak byście chcieli, ja nie mogę się urodzić, może tak to sobie wykalkulowali, wciąż to samo mówić, jedno pokolenie po drugim, obrzucać mnie tym samym, aż wyjdę z siebie i zacznę krzyczeć z wściekłości, a wtedy powiedzą, o! zakwilił!, zaraz zacnie charczeć, to już zaprogramowane, wynośmy się stąd, do diabła, nic tu po nas być przy tym, inni na nas czekają, z tym nieszczęśnikiem już koniec, skończone już jego niedole, zaraz się zaczną jego niedole, zaraz się skończą jego niedole,

uratował się, my go uratowaliśmy, wszyscy są jednacy, wszyscy dają się uratować, wszyscy dają się urodzić, ten to był twardziel, jeszcze zrobi świetną karierę, co za gniew, co za wyrzuty sumienia, nigdy sobie nie wybaczy, i, tak rozprawiając, wyniosą się, gęsiego jak Indianie, albo idąc parami, wzdłuż brzegu, proszę, to brzeg, po nadmorskich kamykach, po piasku, w wieczornej aurze, to jest wieczór, to wszystko, co wiadomo, wieczór, i cienie, nie ważne gdzie, gdzieś na ziemi. Tak, ale wyjść z siebie, obejdzie się bez wściekłości, ani bez wieczora, to nie takie pewne, to niekonieczne, i o świcie są też długie cienie, tych, którzy trzymają się jeszcze na nogach, to tylko się liczy, tylko cień się liczy, bez własnego życia, bez kształtu, bez wytchnienia, to może świt, wieczór nocy, nie o to chodzi, więc się wynoszą, odchodzą, do moich braci, tylko nie to, żadnych braci, otóż to, cofnij to słowo, oni nie wiedzą, odchodzą, nie wiedząc dokąd, do swego pana, to możliwe, żeby ich wyzwolił, z nimi już koniec, dla mnie się zaczyna, koniec się zaczyna, oni się zatrzymują, posłuchać moich krzyków, już się nie zatrzymają, owszem, zatrzymają się, moje krzyki się zatrzymają, na jakąś chwilę, przestanę krzyczeć, żeby posłuchać, czy nikt mi nie odpowie, żeby popatrzeć, czy nikt nie przychodzi, a potem pójdę, zamknę oczy i pójdę, krzycząc, krzyczęć gdzie indziej. Tak, no ale moje usta, nie otworzę ich, nie będę w stanie, przecież ich nie mam, dobre sobie, no to mi wyrosną, najpierw mała dziura, coraz szersza, coraz głębsza, powietrze wleje się we mnie, ożywcze powietrze, i natychmiast ze mnie wyleci, pełne krzyku. Ale czy nie żądam trochę za wiele, czy to nie za wiele, żądać aż tyle, od takiej odrobiny, na co to się przyda? Czy nie wystarczyłoby – nie naruszając tej rzeczy jako takiej, takiej jak zawsze, nie wydrążając tam ust, gdzie ból nawet nie wyłóbiłby zmarszczki, czy nie wystarczyłoby, co, czego, straciłem wątek, szkoda, wybierzmy więc inny, czy nie wystarczyłoby mały ruch, że coś się ugięło, albo podniosło, lekki prztyczek, który wprawiłby w ruch całą resztę, lawina od kulki śniegu, natychmiast zrobiłoby się z tego ogólne poruszenie, powszechna lokomocja, podróże we właściwym rozumieniu, służbowe, naukowe, prywatne, spontanicznie nieskrępowane, przechadzki parami i w pojedynkę, mówię w ogólnym zarysie, uprawianie sportu, bezsenne noce, ćwiczenia rozluźniające, ataksja, spazmy, pośmiertne zastyganie, wyłanianie się struktury kostnej, to powinno wystarczyć. To tylko kwestia słów, głosów, nie należy o tym zapominać, trzeba chcieć nie zapomnieć całkowicie, że to jest coś, co trzeba powiedzieć, żeby oni powiedzieli, żebym ja powiedział, to nie jest całkiem jasne, należałoby zastanowić się, czy cały ten mętlik o życiu i śmierci nie jest im doskonale obojętny i obcy, tak jak i mnie.

ASJA SZAFRANIEC

## Nienazywalny podmiot u Becketta

„Dla mnie najważniejszym pytaniem  
jest zawsze pytanie, kto”.

Derrida, *A Taste for the Secret*

„What?...who?...no!”

Beckett, *Not I*

### Pomiędzy dwiema możliwościami

Kim lub czym jest owo gadatliwe i obsesyjne ja, podmiot *Nienazywalnego*? Ono samo nie przestaje o to pytać: Kim jestem? Co mi się przydarzyło? „Jestem zwierzęciem, ludzkim lub boskim, obudzonym lub śpiącym... Może to sen, to wszystko sen, jednak bym się zdziwił, zaraz się obudzę, w milczeniu, już nigdy nie zasypiać, to będę ja, albo wciąż śnić, śnić milczenie, milczenie snu, we śnie, pełne szmerów”. Ilu jest Nienazywalnych? Proteuszowa obsesja znajduje w Beckettie swojego mistrza. Nienazywalny „pisze” sam siebie – raczej niż jest pisany – w polifonii głosów, w której próżno by szukać hierarchii, organizacji, czy nawet konsekwentnej partytury. Nie ma jak się upewnić, czy to „Ja” jest, powiedzmy, osobą, bo nie przerywając swojego dyskursu przechodzi ono przez całą serię awatarów, o których trudno powiedzieć, czy są zwierzęce, boskie czy ludzkie. Jeśli świadomość tworzy osobę, to moglibyśmy próbować zrekonstruować osobę tego, kto mówi, na podstawie tego, co jest mówione, ale w jaki sposób, skoro mowa ta jest pełna sprzeczności? Nie wiemy, kto mówi w *Nienazywalnym* (Ma-

---

Tekst, w tłumaczeniu autorki, jest nieco zmodyfikowaną wersją fragmentu jej książki *Beckett, Derrida and the Event of Literature* (Stanford University Press, Stanford 2007). Cytaty z powieści Becketta w przekładzie Marka Kędzińskiego, który ukazywał się na łamach „Kwartalnika Artystycznego” w numerach 4/1999, 3–4/2006, 1/2007, 4/2008 oraz niniejszym. Cytaty z tekstów Jacquesa Derridy i Edmunda Husserla, o ile nie zaznaczono inaczej, w przekładzie autorki na podstawie wykorzystanych w książce wersji angielskojęzycznych.

hood? Worm? Czy też może dusza Malone'a?). To właśnie być może ta zagadka utrzymuje w napięciu naszą uwagę: kto mówi, dlaczego czyni to z taką dziką pasją, jak przerwać ten potok słów? W tym sensie można by czytać ten tekst jak prosty „*whodunit*” (kryminał), gdyby nie to, że już od samego początku czytelnik raczej nie ma nadziei na to, że kiedykolwiek zagadka zostanie rozwiązana; niewiarygodność informacji podawanych przez narratora czyni jasnym, że nie powinniśmy się spodziewać rozwiązania. To prawda, sam Nienazywalny mówi nam, że jest wszystkimi tymi głosami, ale w kontekście dyskursu, który doprowadził do doskonałości sztukę przeczenia sobie, i to łatwo podać w wątpliwość.

Co można powiedzieć o efektach podmiotowości w *Nienazywalnym* (jeśli ta kategoria w ogóle jeszcze ma tutaj jakiś sens)? Powiedzmy na początek, że rodzą się one nie w akcie autorefleksji, lecz we wrzawie – nikt nie może zapanować nad tymi głosami. To pierwsza wskazówka – że należy porzucić kategorie podmiotu kartezjańskiego, który jest w stanie coś o sobie samym powiedzieć. „Ja” *Nienazywalnego* nie tyle mówi, co jedynie otwiera usta, jest zakładnikiem własnych słów. „Boję się, boję tego, co ze mną zrobią moje słowa”. Tworzy to scenę konfrontacji między „ja” (tym, które wydaje się mówić) a wzajemnie się podważającymi, subwersywnymi głosami, które owo ja zwalczają. Mamy tu do czynienia z przypadkiem bruchomówstwa niejako pod przymusem; ten, kto, jak się wydaje, mówi, nie jest mówcą. Nienazywalny stwierdza to wprost: „Czyżby myśleli, że myślę, że sam to mówię? To nie mój głos, ja go nie mam, ja nie mam głosu...”.

Ta proteuszowa natura narratora pozwala mu kwestionować naturę podmiotowości z nietypowego punktu wyjścia: wychodząc nie od pytania „kto?”, ale od pytania „gdzie?”. Swój monolog zaczyna on właśnie od tego pytania. Gdzie jest Nienazywalny? Jest, chciałoby się powiedzieć, zawsze w zawieszeniu między jednym wcieleniem a drugim, pomiędzy jakimś potencjalnym sobą i niesobą. Kiedy zadajemy sobie bardziej typowe pytanie – kim lub czym on jest? – odpowiedź jest już nam podyktowana przez poprzednią odpowiedź. Nienazywalny wydaje się być właśnie tym „pomiędzy”. To właśnie to umiejscowienie, ta zarazem pośrednicząca i zapośredniczona natura Nienazywalnego wyklucza *nazwanie* go, a przez to i upodmiotowienie – i to właśnie stąd bierze się tytuł tej powieści. Jako ten „pomiędzy”, Nienazywalny nie może być podmiotem w sensie tradycyjnym. Nie jest *subiectum* (ang. *subject*). Raczej jest tym, co Artaud nazywał „*subjectile*”. Słowo to jest zwykle tłumaczone jako „podłoże” (grunt malarzki). Jednak Artaud zasugerował w nim całą serię nowych znaczeń. Powiedzmy na początek, że *subjectile* jest podłożem, które, samo w sobie niczym jesz-



cze nie będąc, umożliwia istnienie tego, co zapośrednicza. Jest zatem przegradą, która nadaje tożsamość temu, co odgradza, granicą, na której „podmiot” (w dawnym znaczeniu) i jego świat tworzą siebie nawzajem.

Przyjrzyjmy się bliżej dyskursowi Nienazywalnego, którego tematem jest samo mówienie i niemożność powstrzymania potoku słów. Motywem, kryjącym się za tym niestrudzonym gadulstwem bez wytchnienia jest właśnie pragnienie ciszy. Istotą lamentu Nienazywalnego jest niezdolność przewyciężenia lub choćby nawet kontrolowania własnego głosu: „Ze mnie się wydobywa, napęlnia mnie, z hałasem uderza o moje ściany, nie jest mój, nie mogę go zatrzymać, nie mogę przeszkodzić mu w rozrywaniu mnie na strzępy, dręczeniu, rzucaniu się na mnie”. Ponieważ celem „ja” jest zaprzestać mówienia, uciąć komedię brzuchomówstwa, szuka ono wyjścia, szuka warunków, które muszą być spełnione, aby mogło ucichnąć.

Do wyboru ma dwie możliwości, dwie opcje, między którymi Beckett wybierał w swojej twórczości, dwie drogi, którymi na przemian podążał. Pierwsza, pasywna, koncentruje się na pomyśle, że „ja” powinno wszystkiego się wyrzec, włącznie z zaimkiem, który się do niego odnosi. „No ale dość już tej pieprzonej pierwszej osoby, naprawdę już jej za wiele, to nie o nią chodzi, jak tak dalej pójdzie, jeszcze ściągnie na mnie nieszczęście. Ale o Mahooda też nie idzie, jeszcze nie, więc o co tu chodzi? O Worma tym bardziej nie. Wszystko jedno, nieważny zaimek, pod warunkiem, że się nie da z siebie zrobić głupka. W końcu wszystko jest kwestią przyzwyczajenia. (...) Nie powiem już ja, już nigdy nie powiem, to zbyt idiotyczne. Na jego miejscu umieszczę, za każdym razem, kiedy to usłyszę, trzecią osobę, jeśli o tym pomyślę”. Ale efekt tego gestu samowyrzeczenia może być odwrotny od zamierzonego. Bo nie chodzi tylko o wyrzeczenie się „ja” w sensie gramatycznym, ale o wyrzeczenie się „ja” jako sprawcy konkretnych wyborów, między np. „ja”, które zakłada kaptcie a „ja”, które zakłada buty, a nawet między „ja”, które zakłada jedno i drugie, ale w pewnej uprzywilejowanej kolejności. Dlatego bohaterowie Becketta z taką sympatią traktują wszelkie permutacje: jeśli najpierw kaptcie, a potem buty, to następnie od razu na odwrót.

Obsesyjna skłonność do permutacji, do korzystania ze wszystkich dostępnych możliwości (kamyków, ciasteczek, elementów odzieży, mebli), w nadziei, że zostaną wyczerpane całowicie, z rzadko spotykaną w literaturze pedanterią, pokazuje, jeśli nie ukrytą ambicję, to istotny rezultat tego projektu wyrzeczenia. To projekt, w którym podmiot staje się niczym, ale tylko wtedy, gdy weźmie pod uwagę i wirtualnie wyczerpie – wszystko, wszystkie możliwe kombinacje wszystkich możliwych przedmiotów. Ten gest, to dążenie do ubóstwa,

jest tutaj pozorne, w istocie jego zasięg jest nieskończony. Wykonujące permutacje „ja” prześlizguje się przez oko klepsydry rzeczywistości i staje się światem, którym manipuluje – a raczej, wszystkimi równoległe możliwymi światami. W konsekwencji, to „ja,” które odrzuca wszystkie możliwości, które odziera siebie ze wszystkich predykatów, które, wyczerpując swoje opcje, doprowadza samo siebie do wyczerpania, nie jest w stanie opanować zgiełku nieskończoności, w którą się przeistoczyło. Paradoksalnie, w tym wyczerpaniu – a raczej, w wyczerpywaniu, w byciu wyczerpującym – tkwi zarówno jego siła, jak i tej siły całkowita porażka.

Drugą braną pod uwagę opcją, która pozwoliłaby Nienazywalnemu zatamować potok słów, jest ich opanowanie i kontrola nad nimi. Aby uciszyć zgiełk głosów Nienazywalny może próbować je zawłaszczyć, nasycić własnymi intencjami. Jest to metoda podstępnego „uprowadzenia” głosów, aby następnie uciszyć je raz na zawsze. Gdybyż tylko „ja” mogło się określić, odrzucić to, co do niego nie należy, a przez to zawładnąć tymi głosami, które mówią – gdyby mogło powiedzieć o sobie „ja” – byłoby ono być może w stanie przeprowadzić ten plan. Według tej metody, aby ucichnąć na zawsze, „ja” musi stać się *podmiotem mówiącym*, w sensie określonym zarówno przez gramatykę, jak i refleksję filozoficzną.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Nienazywalny porusza się na zmianę między tymi dwiema możliwościami jako ich „pomiędzy” (pomiędzy zawładnięciem własną podmiotowością a roztrwonieniem samego siebie) nie decydując się na żadną, potwierdza to, że Nienazywalny musi być rozumiany nie jako byt indywidualny, ale jako wyraz pewnego zapośredniczenia. To „pomiędzy”, o którym Beckett mówi, że nie ma „żadnej grubości” jest usytuowane w ten sam sposób, co Artaudowska przegroda (*subjectile*) – między tym, co wewnątrz, a tym, co na zewnątrz, między tym, co poprzedza i tym co następuje, między tym, co tworzy, a tym, co jest tworzone, między podmiotem a światem.

Aby mieć całkowity obraz, powróćmy raz jeszcze do drugiej możliwości, którą dysponuje Nienazywalny: możliwości upodmiotowienia się poprzez zawłaszczenie swoich słów. Jak mogłoby do tego dojść? Bycie podmiotem w sensie filozoficznym wymaga samo-świadomego istnienia, jak w wyrażeniu „podmiot mówiący”, w którym imiesłów wskazuje na zsynchronizowane, samo-świadome działanie tegoż podmiotu. Innymi słowy, podmiot jest podmiotem, kiedy jest podmiotem mówiącym (nawet jeśli tylko „do wewnątrz”), jest podmiotem przez to, że jest świadomy sam siebie, kiedy mówi, kiedy wie, co mówi. Jeśli doskonała równoczesność tych dwóch zjawisk nie zawsze jest możliwa (czasami słyszymy siebie, kiedy słowa już padły), to zakładamy przynajmniej, że to,

co mówimy, nie ucieka od nas bezpowrotnie: podmiot słyszy siebie, jak mówi i wchodzi tym samym w posiadanie wszystkiego, co zostało przez niego powiedziane. Wrażenie, że wymawiane słowa, słyszane przez tego, który mówi, powracają w ten sposób do swojego źródła – zataczając tym samym pełny krąg – to właśnie ono wytwarza w nas poczucie tożsamości. Jednak w swoim eksperymencie z głosem w *Nienazywalnym* Beckett właśnie to założenie podaje w wątpliwość, pokazując, że głos, nawet w izolacji, nigdy nie jest w bezpośredni sposób dany temu „ja”, które go z siebie wydaje. Podobna była jedna z konkluzji wymiany Derridy z Husserlem w *Głosie i fenomenie*, tak, że niektóre fragmenty eseju Derridy można czytać jako swoistą formę wyrażenia enigmatycznych często twierdzeń Nienazywalnego. Można uznać, że Derrida (który sam przyznawał, że pierwotnym źródłem jego zainteresowań była literatura, nie filozofia) w pewnym sensie „reformułował” i potwierdzał tutaj rezultaty literackiego eksperymentu Becketta (i paru innych autorów), przeistaczając tym samym literacki projekt Becketta w filozoficzny projekt analizy i krytyki samo-obecnego podmiotu.

W swojej interpretacji pierwszego z *Badań logicznych* Husserla, Derrida starał się pokazać, dlaczego dla Husserla koniecznym jest, by „ja” samo dla siebie obecne było w bezpośrednim, świadomym akcie. Jest tak, ponieważ fenomenologia, będąca filozofią, opisującą to, co bezpośrednio dane doświadczeniu, „ma sens o tyle tylko, o ile czysta i źródłowa prezentacja jest możliwa i oryginalna”<sup>2</sup> – innymi słowy, o ile możliwe jest doświadczenie bycia czegośkolwiek w sposób niezapośredniczony. Taka prezentacja może jedynie być dana jakiejś obecności dla siebie, zdolnej ją otrzymać „w oryginale”, niezależnie od doświadczeń z zewnątrz. Chodzi więc o znalezienie doskonałej, niczym nie zakłóconej samo-obecności ja.

W jaki sposób Husserl próbuje taką samo-obecność zagwarantować? Poprzez ustalenie kluczowego dla pierwszego z *Badań logicznych* rozróżnienia między „oznaką” a „wyrażeniem”<sup>3</sup>, to jest między z jednej strony zapośredniczeniem sensu (jak na przykład dzieje się to w przypadku pisma), a z drugiej strony typem komunikowania się, który pełni swą funkcję znaczeniową bez użycia znaków albo poza nimi, jako bezpośrednie przeniesienie sensu. W przypadku wyrażenia, zewnętrżność znaku staje się nieistotna wobec sensu, który jest komunikowany. Zdaniem Husserla, ma to już w pewnym stopniu miejsce w przy-

---

<sup>2</sup> Jacques Derrida, *Głos i fenomen*, tł. Bogdan Banasiak (Wydawnictwo KR, Warszawa 1997). Poniżej jako GF.

<sup>3</sup> *Głos i fenomen*; Edmund Husserl, *Logical Investigations* (Routledge, London 1970).

padku mowy (jeśli porównamy ją z pismem), ale w najwyższym stopniu pojawia się dopiero w „samotnym życiu psychicznym”<sup>4</sup>. Tutaj wyrażenia funkcjonują pod nieobecność głosu lub mowy. Samotne życie psychiczne jest dla Husserla sytuacją, w której oznaki są „bezcelowe”, niepotrzebne – jest to sytuacja zarezerwowana wyłącznie do wyrażania. To region, w którym podmiot może być obecny dla siebie w momencie nie tylko „słyszania własnej mowy”<sup>5</sup>, lecz także właśnie doskonałej samo-obecności: słyszenia samego siebie bez współudziału mowy. Ta niezapośredniczona obecność dla siebie, zwana „czystym samopobudzeniem”<sup>6</sup> jest podstawą podmiotu. W „słyszaniu własnej mowy”, które nie wymaga „nadłożenia drogi”<sup>7</sup> przez znaki, które nie wymaga, innymi słowy, zapośredniczenia przez coś innego, husserlowski podmiot doświadcza swojej obecności dla siebie jako oczywistej. Jak wyraził to sam Husserl, „znaczenie »ja« jest zrealizowane w bezpośredniej idei własnej osobowości”. W przypadku słyszenia własnej mowy, „zewnątrzność znaku dźwiękowego doświadczana jest jako całkowicie zanikająca w momencie jego wypowiedzenia. Efektem tego jest, że podmiot wypowiedzenia wchodzi w bezpośrednią relację z pełnym znaczeniem swojej mowy”<sup>8</sup>. To kosztem tej metafizycznej skłonności (każącej mu uprzywilejować mowę względem pisma, niezapośredniczoną obecność względem każdego rodzaju zapośredniczenia) Husserl jest w stanie zagwarantować samo-tożsamość podmiotu<sup>9</sup>, która jest koniecznym założeniem fenomenologii. W „mówieniu samotnym” podmiot mówiący istnieje równocześnie ze swoją mową; innymi słowy, podmiot ten słyszy mówione słowa w momencie ich wymawiania, i w ten sposób towarzyszy im jako podmiot. W takiej sytuacji, podmiot byłby w stanie zademonstrować swoją tożsamość przez samo powiedzenie „ja” i ustanowić siebie jako niekwestionowane źródło, konstytuujące świat.

Nienazywalny to właśnie poddaje w wątpliwość, nie tylko wskazując na rozdział między podmiotem a jego słowami (między samo-obecnością a jej zapo-

<sup>4</sup> GF Husserl, *Logical Investigations*.

<sup>5</sup> GF. Por. *Speech and Phenomena* (dalej w przypisach jako SP).

<sup>6</sup> GF, SP.

<sup>7</sup> GF, SP.

<sup>8</sup> Rodolphe Gasché, *The Tain of the Mirror* (Harvard University Press, Cambridge, MA 1986), (przeład własny).

<sup>9</sup> Derrida parafrazuje funkcjonowanie mowy u Husserla w sposób następujący: „Głos się słyszy. Znaki foniczne... są słyszane... od strony podmiotu, który je wypowiada w absolutnej bliskości ich obecności. Podmiot nie musi wychodzić poza siebie, aby być bezpośrednio pobudzonym przez swą aktywność wyrażania. Moje słowa są »żywe« ponieważ, jak się wydaje, nie opuszczają mnie; nie padają poza mną, poza mym oddechem... stale do mnie należą”. GF. Por. SP, *La voix et le phénomène* (VP).

średniczeniem), który uniemożliwia powiedzenie „ja”, ale także czyniąc z tego rozziwu źródło, z którego wypływa cała powieść. Jego postawa jest być może nawet bardziej radykalna niż Derridy, dla którego różnica stanowi nie tylko warunek niemożliwości powiedzenia „ja”, ale też jednocześnie warunek jego możliwości. Nienazywalny sam wskazuje na tę źródłową różnicę, obstając przy niemożliwości usłyszenia albo zobaczenia siebie, przy niemożliwości powrotu, „zamknięcia kręgu dygresji”.

A moje prawdziwe oblicze, czy wreszcie je ujrzę, rozpromienione uśmiechem? Mam wrażenie, że oszczędzi mi się tego widowiska. Nie wiem, o czym mówię, nawet przez moment, ani o kim, ani kiedy, ani skąd, ani z kim, ani po co, ale nawet jeśli do tej nieszczęsnej operacji będę miał pięćdziesięciu skazańców, okaże się, iż brakuje mi pięćdziesiątego pierwszego, żeby zamknęło się koło (...) wiem, co to jest, choć nie wiem, co znaczy. Najważniejsze, żeby nigdy nie dotrzeć do niczego, żebym nigdy nigdzie nie był, ani u Mahooda, ani u Worma, ani u siebie, nieważne, kto mi da dyspensę. Najważniejsze to wic się ciągle na końcu wędki (...) Jestem tym, którego się nie schwytą, który się wymyka (...) wiedziałem, mogłaby nas być cała setka, a i tak będzie brakować sto pierwszego. Zawsze brakuje nam tego ja.

Pytanie zadawane w powyższych fragmentach może być oddane jako: „czy mogę dosięgnąć siebie swoim głosem, kiedy mówię? Czy mogę przez ten monolog pochwycić to, czym lub kim jestem? „Moje prawdziwe oblicze, czy wreszcie je ujrzę...”. Odpowiedź na to pytanie jest negatywna: „Jestem tym, którego się nigdy nie schwytą, który się wymyka”. W momencie kiedy mówię, nie słyszę siebie, w momencie kiedy słucham siebie, to „ja”, które kiedyś wymówiło to, co słyszę, już przeminęło. Podstawą jest tutaj nie tyle obserwacja empiryczna, ile nieredukowalna różnica, nie dająca się wyeliminować opóźnienie (w sensie czasowym, ale też w sensie kodowania i dekodowania, zatem w sensie przedstawienia). Różnica ta jest właśnie wyżej wspomnianym „pomiędzy” i jest nie do przekroczenia: kiedy zaczynamy słuchać samych siebie, tracimy jednocześnie zdolność mówienia. Wyznanie Nienazywalnego, „Nie wiem, o czym mówię, nawet przez moment” brzmi humorystycznie, ale jest jednocześnie obserwacją fenomenologiczną.

Aby stać się sobą, aby ustanowić swoją tożsamość, „ja” musi przewyciężyć ten stan; musi usłyszeć swoją własną mowę i wiedzieć, że owo „ja” mówi. To dlatego Nienazywalny próbuje się pozbyć własnego *alter ego*, tego głosu, „który wciąż mnie potwierdza”, w nadziei, że wtedy doświadczy auto-obecności, pełni tożsamości, w której „ja” jest „mną”. „Usłysz mnie! Bądź znowu sobą!”, to słowa, których Nienazywalny doświadcza, jakby dochodziły z oddali, słowa które oplakują niemożność powrotu do stanu samo-obecności i niezapośrednicze-

nia. Jednak „ja” nie poddaje się łatwo, użyje, jeśli trzeba, protezy – linii telefonicznej – by zamknąć krąg i wrócić do siebie. Zabawi się w głuchy telefon. Na próżno: „nawet jeśli do tej nieszczęsnej operacji będę miał pięćdziesięciu skazańców, okaże się, iż brakuje mi pięćdziesiątego pierwszego, żeby założyć mu wreszcie kajdanki” albo: „mogłaby nas być cała setka, a i tak będzie brakować sto pierwszego”. Niezdolny zamknąć krąg, Nienazywalny skazany jest by w końcu „wić się ciągle na końcu wędki”.

### Pomiędzy Mahoodem a Wormem

Nienazywalnemu nie udaje się wyeliminować zapośredniczenia (aby usłyszeć własne mówienie), to raczej zapośredniczeniu udaje się wyeliminować (prawie) wszystko inne. To w pewnym sensie jest siłą tej powieści: ruch różnicy jest tu koniecznym warunkiem jakiegokolwiek doświadczenia, myśli, mowy, pisma. Bez tego ruchu „ja” nie wiedziałoby nic, nie myślałoby nic, nie mówiłoby nic. Od momentu, w którym „ja” zaczęło doświadczać, pozostawiło za sobą pozycję tożsamości. Co dzieje się, kiedy ruch różnicy zostaje zatrzymany, wykluczony, można zobaczyć na przykładzie Worma. Worm jest jednym z dwóch głównych awatarów Nienazywalnego, chociaż nawet ten fakt nie jest bezsporny: „gdybym był Wormem, nie wiedziałbym o tym, nie powiedziałbym tego, niczego bym nie powiedział, niczego bym nie wiedział, byłbym Wormem”.

Głos, który prowadzi nas przez Nienazywalnego jest najczęściej przypisywany Mahoodowi albo Wormowi. To najczęściej między nimi porusza się „ja”, w daremnym wysiłku ustalenia własnej tożsamości. „...jeżeli jestem Mahoodem, jestem również Wormem”. Oba imiona są znaczące w Beckettowskim projekcie pytania o warunki możliwości mówiącego podmiotu. Przyjrzyjmy się każdemu z osobna.

Spójrzmy na Mahooda jako na wcielenie podmiotu w sensie metafizycznej substancji. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Angielski przyrostek „-hood” dodany do rzeczownika, wskazuje na istotę tego ostatniego („motherhood” jako esencja macierzyństwa, „manhood” jako istota męskości), to „Mahood” odnosi się do „mojności”, do istoty tego, co moje: mojej jaźni. Hegel nazywał ten początek wszelkiej podmiotowości „Meinung”, co oznacza u niego zarówno „przyswajanie” jak i „mniemanie”. Mahood to zatem „moje jestestwo” (analogicznie do „my selfhood”). Mahood nie tylko chętnie rozprawia o prawdzie, czasie, tożsamości, ale jak sam przyznaje, jest tym „ja”, które zostało zredukowane do rozumu: „ja, które zredukowali do rozumu”.

Worm jest przeciwieństwem Mahooda. To bezmyślne, nieme „ciało” – żywa, przestrzennie rozciągnięta rzecz. Proponuję czytać imię Worma jako kalkę, zapożyczenie z łacińskiego „*ubi sum*”, bo brzmi ono jak „*where’m*” w „*where’m I?*” wyrażające poszukiwanie siebie, którego istnienie Worm podaje w wątpliwość.

Tak, nazwijmy to coś Wormem, żeby móc wykrzyknąć, dokonawszy tej kuglarskiej sztuczki. Ale to przecież życie, (jak) wszędzie wkoło, na ustach wszystkich, jedyne możliwe! Biedny Worm, myślał, że jest inny, on, który był bez myśli, który nie myślał, że można go pomylić z jakimś skazanym na dożywocie albo całkiem pomyłonym w domu wariatów. Gdzie jestem?

Biorąc pod uwagę fascynację, jaką Beckett żywił dla homonimów (i wyrażań homofonicznych), Worm (*Where’m = ubi sum*) jest imieniem doskonałej tożsamości, imieniem, które nazywa miejsce bez refleksji, bez zapośredniczenia, bez różnicy: miejsce, w którym *się jest* – bez „ja”. Trzeba tu raz jeszcze przypomnieć, że pierwszym słowem Nienazywalnego jest „Gdzie?”. Imię Worma jest echem tego pytania. W tym sensie, powieść tę można czytać jako uśłowianie przejścia od „gdzie” do „gdzie jestem” – od miejsca, w którym „*się jest*” do miejsca, w którym zaczyna się podmiot. Worm oddaje się przypuszczeniom, że nie jest to pierwsza operacja tego typu, że została ona poprzedzona przemieszczeniem w kierunku odwrotnym, w którym wszelkiego rodzaju zapośredniczenie, refleksja, zostały wyeliminowane: „...możliwe, że pewnego dnia pierwszy krok, po prostu zostałem, zamiast, dawnym zwyczajem, wychodzić, spędzać cały dzień i noc możliwie jak najdalej od siebie, nie tak daleko. Tak to się może zaczęło”.

Ale tu znowu, natychmiast, staje się jasnym, że „miejsce” Nienazywalnego nie może być utożsamione z żadnym z jego biegunów, więc także nie z Wormem. „Gdybym był Wormem, nie wiedziałbym o tym, nie powiedziałbym tego, niczego bym nie powiedział, niczego bym nie wiedział, byłbym Wormem”. Innymi słowy, gdybym był „niezapoeśredniczonym »tam gdzie jestem«” (bez pośrednictwa „ja”), nie wiedziałbym o tym, nie powiedziałbym tego, nie powiedziałbym niczego, byłbym tam, gdzie jestem. Worm jest zatem niczym nie skażoną tożsamością substancji w przestrzeni, niezdolną do refleksji ani do kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie może być podmiotem, bo nie jest zdolny uświadczyć sobie samego siebie (do tego trzeba by minimum dystansu, zatem różnicy). To właśnie z tej przyczyny czytamy w Nienazywalnym „Jako Mahood nie mógłbym umrzeć. Ale jako Worm, czy kiedykolwiek się urodzę? Taki sam problem”.

Problemem Mahooda nie jest, że nie może on „powrócić do siebie”, zatoczy pełnego kręgu, ale że w nieskończonym ruchu auto-refleksji, odzwierciedlania się w samym sobie, powraca do siebie w sposób absolutny i wieczny, przez co



nie może przestać mówić – czyli „umrzeć”. Worm nie odnosi się do siebie w ogóle. Od początku wyrzeka się przez to jakiegokolwiek, choćby odległej, możliwości, uświadomienia sobie siebie a przez to „narodzenia się”. Mahood i Worm są zatem odwrotnymi stronami tego samego medalu, medalu auto-refleksji. Ale historia się na tym nie kończy.

### Forsowanie przegrody

Poruszając się między tymi awatarami na przeciwległych biegunach, Nienazywalny ukazuje się nam jako źródłowa różnica, która czyni je możliwymi: jako „pomiędzy”. (Zobaczmy wkrótce, że i to jest tylko czasowym utożsamieniem). Dyskurs *Nienazywalnego* sytuuje się więc nie tylko pomiędzy dwiema możliwościami, opisanymi na wstępie (opcja wyrzeczenia się ja i opcja jego konsolidacji), ale też pomiędzy tymi dwoma biegunami tożsamości, Wormem i Mahoodem. Oprzyjmy się pokusie przyrównania do siebie tych dwóch rodzajów „pomiędzy”. Rozróżnienie między Mahoodem i Wormem jest tylko po części tożsame z rozróżnieniem między alternatywą, z jednej strony wyrzeczenia się własnego głosu, a z drugiej – zawładnięcia nim (Worm nie „wyrzeka się” własnego głosu, bo *nie ma* głosu, którego mógłby się wyrzec). W rzeczywistości Mahood i Worm to raczej dwa warianty marzenia o samo-obecności, które przynależą do wariantu zawładnięcia własnym głosem. Nienazywalny porusza się pomiędzy Mahoodem i Wormem, ale to „pomiędzy” jest jednocześnie tylko jednym z biegunów jego ruchu, bowiem porusza się on także na szerszej płaszczyźnie, między dwiema wspomnianymi opcjami.

jest to, co na zewnątrz i to, co wewnątrz, a ja w środku, pomiędzy, właśnie tym może jestem, rzeczą dzielącą świat na dwoje, z jednej strony to, co na zewnątrz, z drugiej wewnątrz, może to coś cienkiego jak blaszka, ja nie jestem ani jedną, ani drugą stroną, ja jestem pośrodku, ja jestem przegrodą, mam dwie powierzchnie, ale nie mam grubości, może to właśnie czuję, to, jak wibruję, jestem *tympanum*, z jednej strony czaszka, z drugiej strony świat, ja nie jestem ani z tego, ani z tamtego, to nie do mnie mówią, nie o mnie myślą...

„Ja” mówi o sobie jako o „przegrodzie” „bez grubości”, „cienkiej jak blaszka”, folia. Zauważmy zbieżność z polem semantycznym, z którego tak chętnie czerpał Derrida, opisując problem zapośredniczenia: np. folia cynowa umożliwiająca odbijanie światła w lustrze, błona bębenkowa i dziewicza. Podobnie u Becketta *hymen* i *tympanum* są zastępującymi się nawzajem rodzajami przegród: Molloy bada między innymi możliwość „poczucia przez ucho”. Co już wiemy o tej przegrodzie? Że nie jest ani umysłem, ani światem, ani przedmiotem, ani

podmiotem, ani Mahoodem, ani Wormem i do żadnego z nich nie przynależy (bo je konstytuuje). Można ją znaleźć wszędzie.

Jednak „*subjectile*”, wspomniane tu słowo używane zarówno przez Artauda jak i przez Derridę w poświęconym mu eseju<sup>10</sup> oznacza nie tylko podłoże, ale także pocisk, który je przebija. Oznacza więc nie tylko przegrodę, ale i nadzieję sforsowania jej. Ten ostatni tekst będzie pomocny w naszej dalszej lekturze *Nienazywalnego*. Bo jeśli w ogóle w jakimś ważnym aspekcie Derrida mógłby nam pomóc w zrozumieniu Becketta, to właśnie przez swoją lekturę Artauda. Derrida mówi tam nam o przegrodzie dwie rzeczy:

Przegroda (*the subjectile*)... nie jest podmiotem... nie jest też przedmiotem, ... nie jest niczym... poza zmaterializowaną przerwą *między* nad i pod, widzialnym i niewidzialnym, przedtem i potem, tą stroną i tamtą<sup>11</sup>.

Przegroda... staje się membraną<sup>12</sup>.

To ostatnie właśnie mówi nam o sobie Nienazywalny: „wibruję, jestem *tympanum*”. Przegrody nie można nazwać, nie możemy powiedzieć czym ona jest. Derrida słusznie zapytuje „czy pytanie »co«, znaczy cokolwiek w stosunku do tego, co jest *między* tym a tym, *czymkolwiek* by to nie było?”<sup>13</sup>.

Nie będąc ani podmiotem, ani przedmiotem, „przegroda” funkcjonuje jako pośrednik między jednym i drugim w sposób podobny do funkcjonowania języka w wyrażeniu słownym, lub też funkcjonowania gruntu w rysunku czy malarstwie. „Pojęcie to (*subjectile*) należy do pola semantycznego malarstwa i oznacza to, co w pewien sposób jest podłożem (*sub-jectum*) tak jak substancja, jak podmiot... [P]owierzchnia, ściany albo drewna, ale i papieru, materiału albo panelu. Rodzaj skóry z otworami zamiast porów”<sup>14</sup>. W końcowej części *Nienazywalnego* jest to funkcja przypisywana słowom. W tym sensie przegroda oznacza podłoże danej pracy – ale też jej wykonywanie, zaczynając od gruntowania płótna, które jest już manipulowaniem materii w celu nadania jej unikalnego, autorskiego charakteru (w eseju o Artaudzie nie występuje termin „sygnatura”, ale ciśnię się tutaj na usta). Tak rozumiane podłoże nie jest jeszcze dziełem, dzieło dokonuje się przez „perforację” podłoża (jeszcze jedno słowo wspólne Beckettowi

<sup>10</sup> Jacques Derrida, „*Maddening the Subjectile*”, *Yale French Studies* (1994) (dalej w tekście jako MS); „*Forcener le Subjectile*”, (dalej w tekście jako FS).

<sup>11</sup> MS, podkreślenie w oryginale. Por. FS.

<sup>12</sup> MS, FS.

<sup>13</sup> MS, podkreślenie w oryginale. FS.

<sup>14</sup> MS.

i Derridzie<sup>15</sup>). Słowo *subjectile* wyraża tym samym pragnienie Artauda nadania podłożu charakteru autorskiej jednostkowości, zaznaczenia tej jednostkowości w „ciele” podłoża („*subjectilian wall*”)<sup>16</sup>. Jako »neutralne podłoże przedstawienia«, musi ono zostać przebite (*traversed, pierced, penetrated*) by pozbyć się ekranu, który jest bezwładnym podłożem przedstawienia<sup>17</sup>. Marzenie Artauda, by sforsować to przepierzenie jest analogiczne do wyżej opisanego marzenia Husserla o czystej samo-obecności: podłoże musi stać się w pełni przejrzyste, aby umożliwić niczym nie zakłóconą (i.e., niezapśredniczoną) oryginalność artystycznego przekazu. Albo też musi zostać fizycznie sforsowane. Odpowiadająca temu marzeniu retoryka „gwałtownego położnictwa”, „trudnego porodu”, „kleszczy” itd. (Derrida o Artaudzie<sup>18</sup>), podobnie jak pole semantyczne „małżeństwa” i „błony dziewiczej” (*hymen*), z charakterystyczną dla Becketta preferencją impotencji) – jest powszechna w pracach Becketta z tego okresu<sup>19</sup>. Wydaje się zrazu jakby właśnie to, perforacja, miała mieć miejsce w Nienazywalnym. „Ja” fantazjuje, że jego membrana zostanie przebita, że będzie to otwór, usta:

Nie mam ich [ust]... no to mi wyrosną, najpierw mała dziurka, coraz szersza, coraz głębsza, wleje się we mnie powietrze, życiodajne powietrze, i za chwilę znowu uleci, ze skowytam.

Ale zaraz nasuwa się wątpliwość: „Ale czy nie żądam trochę za wiele, czy to trochę nie za wiele żądać aż tyle, czy to się do czegoś przyda?”. Przegroda nie może zatem zostać sforsowana zupełnie bez pomocy pierwszego poruszyciela, czynnika sprawczego, tego, który zadecyduje. W momencie jednak kiedy stwierdzamy, że podłoże i praca na nim (gruntowanie) jest tylko obojętną powierzchnią, która czeka, by ktoś nadał jej formę, wyraził siebie przebijając ją, to hipoteza, że cały dyskurs Nienazywalnego sytuuje się „pomiędzy”, że jest to dyskurs przegrody, różnicy itd. wydaje się teraz niedostatecznie precyzyjna. W świetle tego ostatniego stwierdzenia, Nienazywalny wydaje się raczej być tym, co musi spenetrować przegrodę. Raz jeszcze dyskurs oscyluje zatem w kierunku sprawczego podmiotu.

To w tym momencie projekt zaczyna okazywać swoją niemożliwość z przyczyn „materialnych”. Nienazywalny sugeruje, że przegroda, kiedy próbuje się

<sup>15</sup> Por. MS i często cytowany list Becketta do Axela Kauna, Samuel Beckett, *Disjecta* (Grove Press, New York 1984).

<sup>16</sup> MS.

<sup>17</sup> MS „*in order to have done with the screen, that is, the inert support of representation*”.

<sup>18</sup> „Trudny poród (*violent obstetrics*) otwiera drogę słowom przez które sam przechodzi. Do słów, malarstwa, rysunku podchodzi z kleszczami”. Derrida, MS.

<sup>19</sup> Nawet w *Czekając na Godota* w słynnym zdaniu o kobietach rodzących okrakiem nad grobem.

uchwycić ją samą jako taką, przestaje wibrować, sztywnieje, grubieje: pod koniec *Nienazywalnego*, membrana przedstawienia okazuje się w znaczący sposób przetransformowana, w solidne (drewniane) „drzwi” które pozostają „zaryglowane” i w związku z tym nie można ich przekroczyć („traversed or penetrated”).

„To te drzwi mnie interesują, drewniane drzwi, kto zarygłował drzwi” mówi Nienazywalny w komicznej historii która, jak zobaczymy, tylko na pierwszy rzut oka wydaje się być bez związku z resztą dyskursu<sup>20</sup>. Istotnym jest, że opowieść ta zaczyna się od „małżeństwa”, zatem od *hymenu*, a kończy na drewnianych drzwiach nie do przebycia. Jednak opowieść, a raczej drzwi w niej („to te drzwi mnie interesują” podkreśla Nienazywalny), to więcej niż tylko *intermezzo*; wprowadzony tutaj motyw drzwi kieruje resztą powieści. Kilka zdań poniżej Nienazywalny porównuje słowa do drzwi:

Używam ich wszystkich, wszystkich słów, które oni mnie pokazali, były tego całe listy... a obok, po drugiej stronie zawsze obrazek, musiałem chyba zapomnieć, musiały mi się chyba pomieszać, te obrazy bez nazw... te nazwy bez obrazów, te okna, powinienem raczej powiedzieć drzwi

Między tą opowieścią a końcówką dyskursu Nienazywalnego mamy pełną ciągłość. Po opowieści o domu z zaryglowanymi drzwiami z wisielcem wewnątrz („po powrocie ze stacji ona zastaje drzwi zamknięte, kto je zmaknął, on, by lepiej się powiesić, czy teściowa, by lepiej go odciąć”), drzwi do domu zmieniają się w drzwi zapadni, a narrator rozumuje dalej jak wisielec. W tej roli mówi: „znaleźć drzwi, znaleźć siekierę, może to sznur, na szyję... może to zapadnia, znaleźć drzwi, otworzyć drzwi, zapaść się, w milczenie, to nie będę ja”. To ostatnie strony powieści, w których dyskurs Nienazywalnego staje się coraz bardziej gorączkowy. Motyw drzwi powraca tutaj z rytmiczną precyzją. Nienazywalny zaczyna od życzenia „żeby (»słowa, które pozostały«) wprowadziły mnie w moją historię, ...przez drzwi, w milczenie”, potem kontynuuje z uporem: „może to

<sup>20</sup> „... Kochają się i pobierają, by lepiej się kochać, bardziej komfortowo, on idzie na wojnę, na wojnie umiera, ona płacze, z emocji, że go kochała, że go straciła, hop, wychodzi za męża, by znowu kochać, jeszcze raz bardziej komfortowo, kochają się, człowiek kocha tyle razy, ile to konieczne, by być szczęśliwym, on wraca, ten pierwszy wraca, nie umarł na wojnie, mimo wszystko, ona wychodzi na dworzec, a on umiera w pociągu, z emocji, na myśl o powrocie, ona płacze, znowu płacze, znowu z emocji, że znowu go straciła, hop, wraca do domu, a on nie żyje, ten drugi nie żyje (...) powiesił się, z emocji, że ją stracił, ona płacze, z emocji, że go kochała, że go straciła, ot i historia”. Jeśli zwrócimy uwagę na spostrzeżenia odnoszące się do drzwi następujące bezpośrednio po tym fragmencie (drzwi pojawiają się tam jako otwory przez które słowa wyglądają na świat), opisywana przez Becketta historia niezamierzonej bigamii z samobójczym finałem okazuje się być metaforą niestabilności „małżeństw” (małżeństwo jako *hymen*) między słowami a tym, co one nazywają.

drzwi”, „może jestem przy drzwiach”, „to ja teraz przy drzwiach”, „jakie drzwi, co robią tutaj drzwi?”, wszystko to w ostatnim, ciągnącym się całymi stronami zdaniu, którego ostatnie słowa brzmią:

...trzeba mówić słowa, dopóki są, mówić je, aż mnie znajdą, aż mnie wymówią, dziwna kara, dziwne przewinienie, trzeba iść dalej, może to już się stało, może już mnie wymówiły, może wyniosły mnie już, na próg mej historii, przed drzwi, które otwierają się na moją historię, to by mnie raczej zdziwiło, że się otwierają, to będą ja, to będzie milczenie (...) trzeba iść dalej, dalej nie mogę, idę dalej.

Czy mamy wywnioskować z tej lektury, że materia słów nie dała się sformułować? Że jesteśmy świadkami wyznania porażki pod koniec *Nienazywalnego*, który tym samym mówi nam „nie pozostawiłem śladu na podłożu”? Jeśli tak, to czyje jest to wyznanie? Czy Beckett powątpiewał w swoją umiejętność przebijania języka? Nie ulega bowiem wątpliwości, że w pewnym punkcie jego kariery było to jego ambicją:

Wiercić w nim [języku] dziury, jedną po drugiej, dopóki nie zaczniesz przez nie przesączać, to przykucnęło z tyłu – wyższego celu dla pisarza nie mogę sobie dziś wyobrazić. (w napisanym po niemiecku liście do Axela Kauna z lipca 1937 roku<sup>21</sup>)

Ostatnie słowa *Nienazywalnego* nie muszą jednak być rozumiane jako werdykt na samą powieść (mocą którego *Nienazywalne* jest porażką, bo nie jest w stanie wyrazić tego, co Derrida nazywał unikalną sygnaturą autora). Mogą sugerować, że otwarta w *Nienazywalnym* przestrzeń różnicy trwa jedynie tak długo, jak uwaga jej poświęcona; że różnica pojawia się w skończoności, że nie jest tworem mentalnym, lecz jedynie wydarzeniem, że kurczy się i zamyka za każdym razem, kiedy kończy się akt czytania/pisania. Jednak, niezależnie od tego, czy ta konkluzja jest pojmowana jako przypadek niezrozumiałej skromności, czy jako wyraz jego poglądu o naturze przedstawienia, zainteresowanie Becketta tym przedmiotem na tym się nie zakończyło. Problem ten interesował go do końca życia i poprowadził go do bardzo zróżnicowanych eksperymentów językowych, takich jak jego ostatnia praca prozą, *Worstward Ho*.

---

<sup>21</sup> Kwartalnik Artystyczny, 3–4/2006 (51–52).



Masada, luty 2009

## PAUL CELAN

w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego

### Białe i lekkie

Wydmy sierpowate, niezliczone.

W cieniu wiatru, tysiącrotne: ty.  
Ty i to ramię,  
którym nago roślem ku tobie,  
utracona.

Promienie. Nawiewają nas w stos.  
Dźwigamy światłość, ból i imię.

Białe,  
co porusza się przez nas,  
bez ciężaru,  
co wymieniamy.  
Białe i lekkie:  
daj mu wędrować.

Dale, księżycowo bliskie, jak my. Budują.  
Budują rafę, gdzie  
rozbija się to, wędrujące,  
budują  
nadal:  
ze świetlnej piany i rozpryskującej się fali.

To, wędrujące, machające do raf.  
Macha



do czoł,  
do czoł, które nam wypożyczono,  
żeby odzwierciedlały.

Czoła.  
Tam toczymy się nimi.  
Wybrzeże czoł.

Śpisz?

Śpij.

Młyn morza pracuje,  
lodowato jasno i niesłyszalnie,  
w naszych oczach.

WYTRAWIONA przez  
promieniujący wiatr twojej mowy,  
pstra gadanina na-  
przeżywanego, stu-  
języczny ły-  
wiersz, nie-wiersz.

Wy-  
żęta wichurą,  
wolna  
droga przez ukształtowany na ludzkie  
podobieństwo śnieg,  
śnieg pokutniczy, do  
gościnnych  
izb lodowcowych i stołów.

Głęboko  
w szczelinie czasów,  
przy  
lodzie plastrowym,  
czeka kryształ oddechu,  
twoje niepodważalne  
świadcstwo.

MULISTA, potem zielna  
cisza brzegów.

Jeszcze jedna śluza. Przy  
Wieży-brodawce,  
wplywasz, obłany  
słodkim i słonym.

Przed tobą, we  
wiosłujących wielkich zarodniach,  
żnie, jakby nadal dyszały tam słowa,  
blask.

WIECZNOŚCI, nad tobą  
wymarłe,  
twoich jeszcze nie-  
poranionych palców  
dotyka list,  
rozbłyśnięte czoło  
dotacza się, koziółkując,  
i układa do snu,  
w zapachach, szelestach.

BLISKO, W ŁUKU AORTY,  
w jasnej krwi:  
jasne słowo.

Matka Rachela  
już nie płacze.  
Już przeniesione,  
co opłakane.

Ciche, w tętnicach wieńcowych,  
niepodwiązane,  
ziw, tamto światło.

Z NIEZAPISANYCH

liści

odczytany list,

nad tym szarosrebrny łańcuch

odruchów tanatozy,

z następującymi po sobie trzema srebrnymi

taktami.

Ty wiesz: skok

przechodzi nad tobą, zawsze.

COŚ, JAK NOC, bardziej ostro-  
języczna niż  
wczoraj, niż jutro;

coś, jak  
rybiouste pozdrowienie  
ponad kontuarem  
lamentu;

coś, z zewsząd nawiane  
w dziecięcych piąstkach;

coś z mojej  
i żadnej materii.



I SIŁA, I BÓL,  
i to, co mnie pchało,  
co popędzało i wstrzymywało:

jubileuszowe, przestępne  
lata,

odurzenie świerkami, kiedyś,

kłusownicze przekonanie,  
że da się to inaczej powiedzieć, niż  
tak.

W moim roztrzaskanym kolanie  
stał mój ojciec,

ponad-  
śmiertelnego wzrostu, stał  
tutaj,

Michajłowka i  
wiśniowy sad stały dokoła niego,

wiedziałem, że  
to się stanie, powiedział.

#### Od tłumacza

Napisany 7 lutego 1968 roku w Paryżu wiersz *W moim roztrzaskanym kolanie* nie był drukowany za życia poety. Opublikowała go (z czystopisu) Barbara Wiedemann w opracowanym przez siebie jednotomowym wydaniu wszystkich wierszy Paula Celana: *Die Gedichte. Kommentierte Gesamtausgabe in einem Band*. Suhrkamp, Frankfurt am Main 2003.

THOMAS BERNHARD

Korekta  
(dwa fragmenty)

w przekładzie Marka Kędzierskiego

Kiedy matka była sama w Altensam, ponieważ ojciec wyjechał gdzieś służbowo, myślała o tym, w jaki sposób go zdręczyć, kiedy wróci do domu, jakim to kolejnym monstualnym pomysłem zaskoczy go po powrocie, a monstualne u niej co najmniej ocierało się o perwersję, i natychmiast wprawić go w koszmarny nastrój, oczywiście koszmarnie odbijający się na dzieciach, odbijający się koszmarnie na całym Altensam, kiedy zbliżała się pora powrotu ojca do Altensam, matka potrafiła godzinami siedzieć w swoim pokoju z wykuszem, cały czas spoglądając na zegarek, wyglądała na drogę, którą ojciec miał przyjechać z położonej niżej miejscowości, i ustawicznie spoglądając na zegarek, obserwowała wszystko, co działo się na tej drodze, kto przyjeżdżał do Altensam i w jakiej sprawie, tudzież kto i z jakim bagażem, a zwłaszcza z jakimi narzędziami, z Altensam wyjeżdżał, nieufność była bowiem zasadniczą cechą charakteru naszej matki, olbrzymia nieufność nie tylko wobec nas, lecz wobec wszystkiego, i prawdopodobnie właśnie przez tę nieufność już wcześniej doznała jak to się mówi uszczerbku na zdrowiu, nieufność była bowiem już od dzieciństwa zasadniczą cechą charakteru matki, naturalnie rzecz jasna ta ustawiczna nieufność osłabiła jej organizm, dlatego matka cały czas była chorowita, albo bardzo chciała za chorowitą uchodzić, nigdy nie sposób było stwierdzić z całkowitą pewnością, czy jest chora, czy tylko chorą udaje, ciekawe, nawet bardzo, że cały czas była

---

Thomas Bernhard, *Korekta*, „Czytelnik”, Warszawa 2013 (w przygotowaniu). Oryg. niem. *Korrektur* 1975. Przekład według *Werke IV*, Suhrkamp Verlag, Frankfurt/M 2005, ss. 219–231, 274–278.

chorowita, ale ani razu naprawdę chora, ani razu chora poważnie, jej stan nie dawał podstaw do niepokoju o jej zdrowie, zawsze tylko chorowita, ta chorowitość matki w zasadniczy sposób naznaczyła całą atmosferę w Altensam, od kiedy pamiętam, matka wciąż chorowita, tą chorowitością naznaczyła z biegiem lat atmosferę w Altensam, chorowitością, równie chorowitą jak ona sama, w której również wszystko pozostałe, a więc wszystko oprócz niej, stało się chorowite, nad Altensam zapanowała z biegiem lat chorowitość, w końcu w Altensam wszystko było chorowite, jak się wydawało, tę swoją chorowitość matka całkiem świadomie wykorzystywała jako środek do własnego celu, to znaczy ni mniej ni więcej przeciw nam, także przeciw ojcu, jej mężowi, tą swoją chorowitością opanowała nie tylko to, co w Altensam zasadnicze, ale i wszystko to, co miało drugorzędne znaczenie, zupełnie niepozorne, tę chorowitość wyczuwał w Altensam każdy przybysz, nawet ten, kto dobrze Altensam nie znał, ten, dla kogo Altensam był czymś nowym, natychmiast otoczony zostawał tą chorowitością, która w Altensam wszystko już ogarnęła, opanowała i zatrzymała, nie zdawał sobie sprawy, co wprawiło go w ten dziwnie chorobliwy stan, kiedy tylko pojawił się w Altensam, a była to chorowitość naszej matki, nic innego, jeżeli moja pierwsza żona była zawsze młoda, świeża i ponętna, jak zawsze mawiał ojciec, słowa Roithamera, to druga, zwana przez niego kobietą od dzieci, zawsze stara i chorowita, wypowiadał to wciąż całkiem otwarcie, zawsze bardzo często mówił matce prosto w twarz, że jej jedyną bronią, prócz bezgranicznej głupoty, jest jej chorowitość, głupota i chorowitość w przymierzu przeciw niemu i wszystkiemu, czym było Altensam, przeciw wszystkiemu, czym było Altensam zanim na Altensam weszła ona, jak na scenę, *moja droga, wchodzisz na scenę*, słyszę jak ojciec jej to mówi prosto w twarz, *moja droga, wchodzisz na scenę!* Głupota i chorowitość, słowa Roithamera, to były zasadnicze cechy charakteru mojej matki, ojciec prawidłowo ją osądził, my dzieci musiałyśmy wciąż cierpieć z powodu jej głupoty i chorowitości, złośliwość mojej matki bowiem w równym stopniu karmiła się jej głupotą, jak chorowitością, chorowitością, która przez większość czasu stanowiła odegrany z wyrafinowaniem, dzień w dzień odgrywany przez matkę przed nami spektakl, z nią w roli głównej. Ojciec już bardzo wcześniej odwrócił się od tej kobiety, naszej matki, urodziła mu dzieci, dobrze się oszczeniła, ale niestety, dopiero w momencie, w którym wcale już nie chciał mieć dzieci, taka jest prawda, kiedy narodziły się dzieci, zrozumiał, że tak naprawdę wcale ich nie chciał mieć, więc tak, ponieważ one (my) już i tak były na świecie, tak byliśmy traktowani, wciąż jako istoty żywe, które określa się mianem własnych dzieci, których ten, co je spłodził, już wcale nie chciał mieć, i to od dawna. Matka, wiecz-

nie nieuczesa abnegatka, nieustannie w stanie totalnego zaniedbania, słowa ojca, słowa Roithamera, w niechlujnie zarzuconym, niedopiętym ubraniu, bez pończoch, w butach z rozplątanymi sznurówkami, taką mam ją w pamięci, na nogach od rana do wieczora, biegła w nadziei, że kogoś z nas i tak zwanego personelu na czymś przyłapie, przez cały czas biegła utykając, charakterystyczną dla niej cechą były rany albo wrzody, tudzież infekcje na nogach, głównie na łydkach, wciąż powracające, jedno po drugim, kiedy tak biegła, utykając, zostawiała za sobą woń leków różnej maści, przeważnie od znachora, nabywanych hurtowo od tak zwanych konowałów, ciągle roznosiła po całym Altensam zapach takich leków, najczęściej w starym, pochodzącym od babki szlafroku, w szlafroku, który już babka przestała nosić i używała wyłącznie do przykrywania jesienią dali, aby nie zamarzyły, który matka wszakże wyciągnęła ze sterty szmat w szopie ogrodnika i zaczęła nosić, nosiła ten szlafrok jeszcze całąmi latami, ojciec brzydził się go, my dzieci też czuliśmy do tego szlafroku obrzydzenie, matka jednakże wciąż chodziła w tym zniechęconym przez nas szlafroku, nawet ją w tym szlafroku uwieczniano na fotografiach, i zawsze są to zdjęcia kobiety zupełnie mi obcej, te zdjęcia bardziej niż rzeczywistość są dla mnie dowodem tego, że matka była dla mnie zawsze obcą kobietą. Wszędobylska, zawsze niespodziewanie, zakradłszy się gdzieś, nagle wyrastała spod ziemi, aby kontrolować, obojętnie, w którym pokoju, zawsze musiała wiedzieć, co dzieje się w każdym pokoju, spadała na nas jak jasny grom, błyskawicznie zjawiwszy się w otwartych na oścież drzwiach, kazała nam się tłumaczyć, ponieważ zawsze akurat coś robiliśmy, czego w jej opinii nie wypadało robić bądź nie wolno było, zawsze jej zdaniem robiliśmy tylko to, co niestosowne, jeśli nie wręcz niedozwolone, to na pewno niestosowne i bezużyteczne, albo nawet haniebne, czego robić nie wypada, czyli co typowe dla nas, w każdym razie nie mieliśmy za grosz wstydu i jakie to było typowe dla nas. W budynkach gospodarczych strasznie się jej bano, kontrolowała pracę zatrudnionych tam robotników najemnych i wytykała ludziom, którzy zostali w Altensam tylko przez wzgląd na ojca, którego kochali, wytykała tym ludziom, że nie pracują, bądź pracują za mało, zarzucała wciąż wszystkim zbyt wolną pracę i niedokładną, a nikt, obojętnie przy czym zatrudniony, nie pracował wolniej i niedokładniej niż ta kobieta, nasza matka. Abnegatka, przez cały dzień na nogach, w stanie odstręczającego wszystkich totalnego zaniedbania, wracała pod wieczór do swojego pokoju, nakładała na siebie czarną, prostą, na dobrą sprawę wręcz elegancką suknię, bardzo drogą, ale na niej nie leżała zbyt dobrze, bez kołnierzyka, z dużą broszką na piersi, inkrustowaną diamentami, którą upatrzyła sobie ze schedy

po siostrze mojej babki, w dniu ślubu z moim ojcem, teraz gotowa do wyjścia na wieczorny spektakl w teatrze. Jednemu z ekonomów kazała zawozić się do teatru miejskiego w Linzu, z reguły nie opuszczała żadnej tamtejszej premiery, zaś koło północy, zawsze pełna dezaprobaty dla wszystkiego, co zobaczyła w teatrze w Linzu, wracała i wyśmiewała się, wciąż według tego samego scenariusza, znalazłszy się na dziedzińcu, wysiadła z samochodu, który ekonom zaprowadzał do budynku gospodarczego, gdzie garażowano auta, i już otwierając potężne drzwi wejściowe, a następnie w kuchni na dole, idąc po kawę, która na nią czekała gorąca, w długich tyradach rozszarpywała na strzępy wszystko, co właśnie zobaczyła na scenie, nie zostawiając suchej nitki na teatrze w Linzu, który, to prawda, jest jednym z najgorszych teatrów w świecie, i w którym wystawia się wprawdzie tylko z dobrymi intencjami, ale też z odstręczając katastrofalnym rezultatem, niczego pozytywnego o nim nigdy od niej nie usłyszałem. Ale też z drugiej strony nic nie mogło powstrzymać jej od pójścia na premierę. Była fanatyczką teatru, choć w ogóle nic z teatru nie rozumiała, pasjonowały ją natomiast same wyjścia do teatru. Że teatr miejski w Linzu to najgorszy teatr w świecie, jak wciąż powtarzała, nie była, rzecz jasna, w stanie stwierdzić sama, ale potwierdzali jej to zawsze regularnie tak zwani specjaliści od teatru, z którymi gawędziła sobie w antrakcie, no ale, jak wiem, do teatru udawała się zawsze tylko w tym celu, by przed rozpoczęciem spektaklu w pewnej perfumerii, położonej przy Landstrasse zaopatrzyć się w wody kolońskie i kremy, setki tych wód i kremów zalegały jej łazienkę i z zawartości owych setek butelek i tub korzystała nadzwyczaj szczerze, szkoda tylko, że, na wszystkie te tak zwane aromaty, a co do dobrego smaku mojej matki w kwestii aromatów można się spierać, nakładała smrodliwe maście i mikstury od konowałów, którzy w naszych okolicach zwać się uzdrowicielami, no i z tego względu wody i kremy stawały się w gruncie rzeczy zbędne. Teatr to dla niej tylko pretekst, słowa ojca, słowa Rothamera, żeby w perfumerii zaopatrzyć się w chemikalia, które i tak w wypadku tej kobiety (naszej matki) są całkiem bezużyteczne, wielka opera to zwykły pretekst dla jej perfumowanego wariactwa, komedia lub tragedia w Linzu – zwykły pretekst do przeraźliwego obłądu samoobsmarowywania. Z teatru, ani z muzyki nic nie była w stanie pojąć, zresztą nawet ich nie lubiła, ale teatr (w Linzu) i muzyka (w Linzu), uczęszczała bowiem w Linzu również na co większe koncerty, okazją i pretekstem, nie tylko do tego, by w perfumerii w Linzu zaopatrzyć się w cały ten wszelkiej możliwej maści perfumowany śmieć (słowa ojca), te wyjazdy do teatru i na koncerty były jej potrzebne do tego, by nam wykazać, że autentycznie zna się na sztuce, tudzież sama posiada potrzeby kulturalne,

tymi swoimi wyjazdami po kulturę chciała przede wszystkim upokorzyć ojca, człowieka, jak do znużenia powtarzała, bez kultury, dla którego wielka sztuka nic w ogóle nie znaczyła, tymi swoimi wyjazdami, które tyle pieniędzy kosztowały, słowa ojca, chciała, by wszyscy zwrócili uwagę na jej kulturę. W rzeczywistości jednak matka nie miała żadnej kultury, ani odrobiny, a nasz ojciec, który faktycznie w ogóle sobie nie cenił tej kultury, z którą ona się obnosiła, tu matka miała całkowitą rację, bo prawda, że jej absolutnie nie cenił, ojciec właśnie dlatego, że nie cenił kultury tego, jej, rodzaju, miał kulturę, słowa Roithamera. Ojcu zdarzało się przynajmniej od czasu do czasu przeczytać jakąś tak zwaną dobrą książkę, natomiast matka, przez cały czas, kiedy byłem w Altensam, ani razu nigdy nie przeczytała dobrej książki, wszystkiego, co miało związek z książkami, a zwłaszcza dobrymi książkami, nienawidziła, jak zarazy, i robiła wszystko, co było w jej mocy, żeby od tak zwanych dobrych książek, w gruncie rzeczy jednak w ogóle od książek, trzymać nas wszystkich, a więc i moje rodzeństwo, z daleka, nie dopuścić, aby nadarzyła się okazja do tego, żebyśmy mogli sięgnąć po dobrą, czy jakąkolwiek, książkę, charakterystyczne, że w Altensam biblioteka, bądź co bądź licząca trzy, cztery tysiące tomów, jeszcze z czasów naszych pradziadków i dziadków, zamknięta była na klucz, i że to matkę, nie ojca, musieliśmy pytać za każdym razem, kiedy chcieliśmy iść do biblioteki, która nawiasem mówiąc zawsze była makabrycznie zaniedbana, bo ani razu jej nie posprzą-tano lub choćby odkurzone, przez dziesiątki lat, matka zawsze sprzeciwiała się, kiedy chcieliśmy czytać, natychmiast odwodziła nas od myśli, by pójść do biblioteki po książkę, obojętnie jaką książkę, popychając nas do pokoju muzycznego, tam mieliśmy być, w pokoju muzycznym, nie w bibliotece, biblioteka była nam zabroniona, tylko do pokoju muzycznego, z dwojga złego mniej niebezpiecznego, to pewnie, nas popychała, choć przecież wiadomo jej było, obojgu rodzicom, że wprawdzie muzykę lubiliśmy, ja i całe rodzeństwo, ale nienawidzi-liśmy grania muzyki, ponieważ nas do tego zmuszano. Bibliotekę nam wzbroniono, reszta rodzeństwa zresztą mniej się nią interesowała niż ja, słowa Roithamera, nie miałem możliwości chodzenia do biblioteki, ponieważ matka klucz do biblioteki zamykała w schowku z kluczami, książki są dla dorosłych, uderzają do głowy, jak choroby, powtarzała wciąż matka, wolno nam było czytać baśnie, ale baśni nie chcieliśmy czytać, baśnie tak, ale innych rzeczy nie. Lękała się, że zwłaszcza ja mogę w bibliotece doczytać się tego, że świat jest większy od Altensam i że jest w gruncie rzeczy zupełnie inny niż ten, który ja znałem, w okresie, o którym mówię, przed ósmym, dziewiątym rokiem życia. Kiedy miałem osiem czy dziewięć lat wszystko nagle się zmieniło: matka wbiła sobie do gło-



wy, że powinienem rzucić się na bibliotekę i chodzić do niej dosłownie dzień w dzień, ale wtedy ja nie chciałem tam wcale chodzić, nie chciałem przeczytać choćby jednej książki, nie można mnie było do tego zmusić, wszystkiego tego matka, słowa Roithamera, naturalnie rzecz jasna, absolutnie nie mogła pojąć, najpierw sam chcę chodzić, ale ona mnie nie wpuszcza, potem niby mam chodzić, ale już nie chcę. Uważała, zresztą był to pogląd szeroko rozpowszechniony, że dzieci do lat ośmiu, dziewięciu, nie miały czego szukać w tak zwanej bibliotece dla dorosłych, ale w wieku ośmiu, dziewięciu lat powinno je się doprowadzić do książek dla dorosłych, chciała się trzymać tego wskazania. Mnie jednak biblioteka już nie interesowała. To taka stara biblioteka. Myślałem, lepiej zabrać się do czytania nowych książek, kiedy wyjadę z Altensam, nie teraz do starych, stare na pewno by mnie zainteresowały, słowa Roithamera, ale nie chciałem by mnie zmuszano. W Altensam nie było nowych książek, tylko przynajmniej czterdziestoletnie, pięćdziesięcioletnie, i dużo starsze, wyjąwszy należące do ojca książki o lasach, leśnictwie i myślistwie, które zawsze uzupełniał, w trosce o to, aby odpowiadały najnowszemu stanowi teorii i praktyki lasów, leśnictwa i myślistwa. Próba opisu ojca: zawsze mieliśmy do niego wielkie zaufanie, jednakże pod wpływem tej kobiety, naszej matki, coraz bardziej nam się wymykał, czuliśmy, jak z biegiem lat i pod wpływem tego, co zdarzało się w Altensam w tych latach, co zdarzało się zawsze za sprawą jego żony, naszej matki, w następstwie patologicznych procesów, wynikających z jej usposobienia, które sprowadzały na Altensam wyłącznie tylko nieszczęścia, jak z biegiem lat oddaliliśmy się od ojca, i jak, z drugiej strony, ojciec oddalił się od nas. Kobieta ta miała również na ojca niszczący wpływ, w krótkim czasie, po początkowych próbach stawiania oporu, poddał się całkowicie jej woli, siłą swojej woli zaprowadziła nad nim całkowicie, wszystkim w Altensam zaczęła rządzić wola tej kobiety, naszej matki, córki rzeźnika z Eferding, i naraz wszystko w Altensam stało się chorowite, chorobliwe stało się wszystko to, co do tamtej pory ani razu nie było chore, nawet za czasów pierwszej żony ojca, którą często widywałem, która nigdy nie przebaczyła ojcu, tego, że w gruncie rzeczy zrujnował jej życie, tym, że widział w niej wyłącznie rodzącą jego dzieci, do niczego innego nie była mu potrzebna, kiedy martwe dziecko mojego ojca całkowicie zmieniło jej osobowość, co skłoniło ojca do usunięcia jej z Altensam, nie bez udziału naszej matki, ojciec zupełnie otwarcie, również w jej obecności, określał takie wyjście z sytuacji mianem kompromisowego, ponieważ myślał, że powinien skorzystać z pierwszej lepszej okazji, słowa ojca, słowa Roithamera, pod wpływem tej pierwszej lepszej kobiety, proszę bardzo: *kobieta jako kompromisowe wyjście z sytuacji*

acji, słowa Roithamera, która natychmiast po pojawieniu się w Altensam zaczęła próbować narzucać Altensam swoje drobnomieszczańskie maniery i wulgarność, a z drugiej strony gderliwość, brak wychowania, tudzież niepodatność na wszelkie formy przyswajania wiedzy, i osiągnęła w tym narzucaniu pełny sukces, temu wpływowi, który od razu był dla Altensam tudzież dla wszystkiego, co miało związek z Altensam, niszczący, wręcz zabójczy, ojciec uległ natychmiast, stawiał opór tylko początkowo, później jednak, po kilku latach pożycia z tą kobietą z Eferding, koło czterdziestki, poniechał go, poniechał siebie, poddany wpływowi tej kobiety z Eferding, słowa ojca, wielokrotnie, słowa Roithamera, najpierw poddał Altensam, potem poddał się sam, prawdopodobnie z chwili na chwilę wszystko w Altensam stało mu się obojętne, popełniłem w życiu jeden zasadniczy błąd, słowa samego ojca, słowa Roithamera, tej kobiety z Eferding, tej rzeźniczej córki z rzeźniczą fizjognomią, wciąż słowa ojca, słowa Roithamera, z rzeźniczymi aspiracjami w życiu, w życiu nie powinienem być pośluścić. W końcu jednak to wszystko jedno, słowa ojca, słowa Roithamera. Przed popełnieniem tego tak zwanego błędu ojciec, urodzony w Altensam i tamże wychowany, po, jak to było w zwyczaju, szkole z internatem, a następnie ukończeniu odpowiednich ze względu na cel, który sobie postawił, szkół średnich i wyższych w Passau, Salzburgu i Wiedniu, wiódł życie czy egzystencję taką, jaką zawsze wiedli mężczyźni w Altensam, oddając się z jednej strony pracy w leśnictwie i rolnictwie, z drugiej, przyjemnościom, lubiący wygodę, całą swoją pasję w tym życiu, w gruncie rzeczy monotonnym, zarezerwował dla myślistwa, prowadził spokojne, zgodne z tymi zajęciami i upodobaniami życie, pozbawione wszelkich oznak niezwykłości, do momentu, w którym uświadomił sobie niemożliwość dalszego życia w pojedynkę, po przedwczesnej śmierci obojga rodziców, moich dziadków, po ich śmierci poświęcił się w całości gospodarce w Altensam, która całkowicie wypełniała mu czas, ale nie mogła go zadowolić, ponieważ gospodarstwo, nawet takie pierwszorzędne jak Altensam, które nigdy nie wpadło w żadne tarapaty, funkcjonujące w zasadzie bez zarzutu, oparte na zdrowych podstawach, agrarne połączone z leśnym, a więc również tartaki, cegielnie, kamieniołomy i cementownie, nawet tak zdrowe gospodarstwo, również dla człowieka takiego, jak mój ojciec, który wzrósł w nim, a tym samym był ze wszystkim całkiem obeznany, mogło co prawda całkowicie wypełnić jego czas, ale nie na dłuższą metę w pełni go zadowolić. W pełni się zadowolić, naturalnie rzecz jasna, nie miał żadnej możliwości, chyba żeby wszystkiego poniechał, ale to nie był ten typ człowieka, więc już koło czterdziestego roku życia zaczął myśleć o tym, żeby ratować się przez ograniczenie, i nagle, z zimnego, czy-

stego wyrachowania, postanowił pozostawić światu dzieci, po niepowodzeniu z pierwszą, prawdopodobnie odpowiedniejszą, lepiej mu odpowiadającą charakterem żoną, z drugą, która przez całe życie była dla niego, jak się po krótkim czasie okazało, najgorszą z możliwych, która jednakże, tak jak on chciał, wydała na świat dzieci, których, chociaż w momencie, w którym nagle tam się znalazły, już nie chciał, teraz dopiero wiem na pewno, choć zawsze w skrytości ducha to przeczuwałem, potrzebne mu były dzieci, po to, by kiedy jeszcze były bardzo małe, móc sobie odpuścić, żyć mniej intensywnie, z uwagi na to, że miał już dzieci, które, na długo, nim w ogóle mogły to uczynić, w jego głowie już stały się jego dziedzicami. W okresie, kiedy już sobie odpuścił, praktycznie się poddał, od czterdziestego roku życia oddawał już się wyłącznie kultuwowaniu swych upodobań, naturalnie rzecz jasna skuteczność działania jego drugiej żony, a naszej matki niepomernie wzrosła, a jej wpływy rozszerzyły się i umocniły, ponieważ od ojca nie docierała już żadna energia, ale, jak wspomniałem, było mu to *obojętne*, popełnił w życiu błąd, więc sobie odpuścił i się poddał, od tego czasu nie widziałem, żeby ojciec był zajęty czymś innym niż polowanie, widywałem go, jak szedł w pojedynkę lub w towarzystwie przyjaciół myśliwych, bardzo często z moimi braćmi, ale ja z nim nigdy nie chodziłem polować, mnie nic z polowaniem nie łączyło, ponieważ ja, jak się mówiło, nie miałem najmniejszego pojęcia, co to znaczy polowanie, las jako las po prostu, a nie jako czynnik ekonomiczny, zwierzyna – to go wciąż interesowało, ale nic poza tym, w tej części rzeczywistości, która absolutnie nie wzbudzała jego zainteresowania, bo interesowało go do śmierci jedynie polowanie, znaleźliśmy się także my, jego dzieci. Z każdym dniem wzrastała jego niechęć wobec kobiety z Eferding, jak ją wciąż nazywał, stwierdziwszy, że tej kobiety nie może, ani nie chce akceptować, traktował ją jako coś, czego wprawdzie nie można usunąć, ale nie ma też już po co utrzymywać relacji wykraczającej poza niechęć i nienawiść. On, nasz ojciec, był we wszystkim jej dokładnym przeciwieństwem, coraz wyraźniej widać było, że ich związek był sprawą przypadkowego zetknięcia się, znajomości zawartej prawdopodobnie podczas jego wizyty u przyjaciół w Eferding, faktycznie z rozpaczy, z powodu nie spełnienia się nadziei związanych z pierwszą żoną poszedł na lep tej kobiety z Eferding, bez krztyny rozumu, jak to określał, wpadł w sidła kobiety, która absolutnie nic sobą nie reprezentowała, od samego początku starej, niechlujnej, abnegatki a potem tak samo w Altensam, tylko że w jeszcze większym stopniu. Jednakże całą tę sprawę osądzać tak jednostronnie i zwać całą winę wyłącznie na kobietę z Eferding, jest też *niemożliwe*. Nasz ojciec faktycznie bardzo często w Eferding, rodzinnym mieście matki, wstępował do go-

spody której częścią był także sklep rzeźniczy, jeszcze dziś prowadzony przez brata naszej matki, i pewnego dnia tak tam wstąpił, że to jego wstąpienie oznaczało upadek Altensam, a ściśle mówiąc, upadek tego, co w Altensam do tamtej pory jeszcze nie upadło, faktycznie bowiem w tym momencie Altensam znajdował się już w fazie upadku, ponieważ ojciec wszystkiego już poniechał, wewnętrznie, i myślał tylko o zrealizowaniu powziętego kiedyś postanowienia, aby pozostawić po sobie dzieci, wszystko jedno już z jaką kobietą, jego własne słowa, w gruncie rzeczy jednak na niczym już mu nie zależało. Począwszy od chwili, w której odpuścił i ustąpił, odpuścił i porzucił także Altensam, to, co z niego zostało. Przyjazd matki do Altensam stanowił tylko zewnętrzną oznakę tego procesu odpuszczenia i porzucenia, urodziliśmy się już pośród dużo wcześniej rozpoczętego procesu odpuszczania i porzucania, i już z tego powodu bardzo osłabieni. Zamknięci w ten proces odpuszczenia i ustąpienia, naturalnie rzecz jasna czuliśmy ten proces odpuszczenia i ustąpienia od samego początku naszej egzystencji i wciąż znajdowaliśmy się pod jego wpływem, nie mogliśmy się z niego wyrwać, zostaliśmy wciągnięci w ojcowską tendencję do odpuszczania i porzucania. Kiedy przyszliśmy na świat, ojciec odwrócił się już od Altensam.

(...)

Wiele razy naprawdę sam się dziwiłem, dlaczego nie zrywam stosunków z moją matką, mógłbym przecież już do niej nie jeździć, wtedy jednak nie mógłbym jeździć do Altensam, a na Altensam bardzo mi zależało, tak samo jak zależę mi wciąż na moim dzieciństwie, niezależnie od tego, jakie to dzieciństwo było, Altensam był moim dzieciństwem, a dzieciństwo jest w każdym wypadku przeszkodą w *totalnym zerwaniu*. Matka, jak myślę, słowa Roithamera, nienawidziła mojej siostry, ponieważ ja ją kochałem, i *vice versa*, i w gruncie rzeczy także ojca nienawidziła, ponieważ on nie potrafił nas nienawidzić, słowa Roithamera. Jak oni w ogóle mogli z sobą żyć, ojciec z matką, nie bardzo wiem, zakładam po prostu, że ich wspólne życie charakteryzowało się *najwyższym stopniem trudności*. Należy się jednak zastanowić, jak w ogóle mogli związać się z sobą i zawrzeć małżeństwo, jeżeli nie mieli z sobą absolutnie nic wspólnego, ani wcześniej, ani później, wszystko sprowadzało się do nieszczęsnego przypadku, który sprawił, że ojciec nocował raz w gospodzie w Eferding, a więc w domu rodzinnym mojej matki, słowa Roithamera. Że ojciec postąpił całkowicie *bez głowy*, niczego nie przemyślał. Nic absolutnie nie usprawiedliwiała takiego związku. Zastanawiamy się zawsze, ilekroć mamy do czynienia z dwojgiem ludzi, któ-

rzy razem żyją, a tym bardziej są małżeństwem, co doprowadziło tych dwoje ludzi do takiej decyzji i pchnęło do działania, mówimy sobie, że to przecież sprawa natury, że są to bardzo często ludzie, którzy związali się z sobą po to, by się potem pozabijać, prędzej czy później pozabijać, żeby latami, przez dziesiątki lat z sobą się męczyć, a w końcu *jednak* się pozabijać, którzy, aczkolwiek prawdopodobnie od początku całkiem jasną mają świadomość swej męczeńskiej przyszłości to przecież wiążą się z sobą, wbrew wszelkiemu rozsądkowi jednak łączą się z sobą, dokonują naturalnej zbrodni na naturze, wydając na świat dzieci, które są potem najnieszczęśliwsze w świecie, gdziekolwiek się spojrzy, mnożą się na to dowody, słowa Roithamera. Ci, którzy, mimo iż z góry wiedzą, że ich wspólna przyszłość może być tylko wspólnotą w nieszczęściu do końca życia, wiążą się z sobą i wstępują w związek małżeński, wszyscy ci ludzie, istoty ludzkie, a przecież sama pospolitość, z chwili na chwilę bez namysłu, słowa Roithamera, sami dobrowolnie wtrącają się w związek, w małżeństwo, w destrukcję ręką w rękę, prosto w najprzerażliwszą rzecz, jaką można sobie wyobrazić, w zagładę małżeńską, to znaczy w unicestwienie umysłowe, uczuciowe i unicestwienie ciała, wszędzie dokoła to widzimy, w całym świecie aż mnoży się od przykładów ten fakt potwierdzających, słowa Roithamera, zastanawiam się, skąd się bierze ta nedorzeczna chęć tak zwanego przypieczętowania związku, pytamy, bo mamy przykład, ale skąd on się wziął?, dlaczego, przykładowo, ten człowiek o nieprzeciętnej inteligencji, niezwykle, niepospolity, miałby pociągnąć do siebie i poślubić tę przecież bezprzykładnie zwyczajną, pospolitą osobę, a do tego jeszcze z tą osobą porobić dzieci, odpowiada się, że to za sprawą natury, wciąż tylko ta natura, przez całe życie dla nas niepojęta i przez nas nie rozumiana natura, w której utknął cały rozum, a jednocześnie w której rozum nie ma czego szukać, słowa Roithamera. Już na samym początku o takich ludziach nic specjalnego się nie słyszy, o ile w ogóle coś się o nich słyszy, potem może już być tylko gorzej, potem wszystko *już tylko nas odstręcza*, słowa Roithamera, tak jak w naszym wypadku, w naszych rodzicach od początku nic specjalnego nie widzimy, a potem już tylko to, co nas odstręcza. Natura jest niepojęta, wiąże ludzi z sobą, napiera całą swoją mocą, wszelkich używa środków, po to, aby ludzie ci rzucali się na siebie, niszczyli i zabijali, wzajemnie rujnowali, wzmazywali i unicestwiali, słowa Roithamera. Wówczas rzucają się w szczelinę skalną, albo skaczą z poręczu mostu, albo strzelają do siebie, jak mój wuj, który się zastrzelił, albo wieszają się, jak drugi wuj, albo wyskakują z pędzącego pociągu, jak trzeci wuj, słowa Roithamera. Sami mamy też *maksymalne skłonności* samobójcze, słowa Roithamera. A nasz kuzyn, jedyny syn trzeciego wuja, czyż nie

odebrał sobie życia? – zaraz po ślubie z córką lekarza z Kirchdorfu nad Krems, wiadomo było, że niedobrze skończy, słowa Roithamera, taki *przystojny mężczyzna*, słowa Roithamera, w masywie Tennengebirge rzucił się w szczelinę skalną, głęboką na tysiąc metrów, w ciemną skalną szczelinę. Aby zobaczyć, jak głęboka jest ta szczelina, ponieważ nie wierzyłem, że istnieją szczeliny tak głębokie, pojechałem tam raz w drodze z Anglii do Altensam, wspiąłem się wysoko w górę, cały czas przewyciężając naturalny u mnie strach, nie jestem stworzony na wysokogórskie wyprawy, coraz bardziej kręciło mi się w głowie, resztką sił dotarłem jednak do tej szczeliny skalnej i spojrzałem w nią, w dół, była jeszcze głębsza, więc tu, w tę skalną szczelinę rzucił się mój kuzyn, pomyślałem stojąc nad skalną szczeliną i patrząc w nią w pewnej chwili przyszło mi do głowy, że sam mógłbym teraz rzucić się w tę skalną szczelinę, nagle jednak, kiedy zaczynało mnie już niebezpiecznie kusić, myśl tę porzuciłem, wydała mi się idiotyczną, i na tym się skończyło. Wiem, wiem, tak bardzo przecież nienawidzę wysokich gór, ale tak byłem ciekawy, żeby zobaczyć tę szczelinę skalną, o której dotąd tylko słyszałem, nie wierząc, że jest tak głęboka, że nie mogłem oprzeć się pokusie dojścia do samej szczeliny, wejścia na sam szczyt. Trzeba jednak bardzo cenić życie, mieć olbrzymią wolę życia i egzystencji, żeby stojąc nad tak głęboką szczeliną, w tę szczelinę się nie rzucić. Więc jednak w tę szczelinę skalną się nie rzuciłem. On, mój kuzyn, rzucił się w skalną szczelinę, dlaczego akurat w tę, nie wiem, natomiast *ja nie*, słowa Roithamera. Na krawędzi szczeliny znaleziono jego buty, także marynarkę, pół roku po oficjalnym ogłoszeniu, że zaginął, jego młoda żona przez dwa tygodnie nie zdawała sobie sprawy, że zaginął, o tym, że rzucił się w szczelinę skalną, wnosi się z powodu odnalezienia jego butów i marynarki na krawędzi skalnej szczeliny, nie ma na to jednak żadnych dowodów, tylko te poszlaki, ale żadnych pewnych dowodów, w szczelinę skalną nikt bowiem nie będzie schodził. Wielu sądziło, że pewnie wyjechał za granicę, no ale ponieważ przechodzący tam alpiniści odnaleźli na krawędzi szczeliny skalnej jego buty i marynarkę, należy przypuszczać, jak myślę, że nim rzucił się w tę skalną szczelinę, zdjął buty i marynarkę, *w szczelinę skalną nie chciał rzucać się w butach i marynarce*, słowa Roithamera. Jeszcze jeden z tych *samotników*, który w najniebezpieczniejszej chwili natrafił na kobietę, która zaprowadziła go na krawędź skalnej szczeliny, żeby się w nią rzucił. Samobójcze usposobienie jako cecha charakteru typowa dla mojego kuzyna, który rzucił się w szczelinę skalną, nie wybrał innej śmierci, ale zanim rzucił się w głęboką skalną szczelinę, musiał wspiąć się na wysokie szczyty, słowa Roithamera. Ponieważ tak często o tym mówił, i z takim zacięciem, naukowym zacięciem, ludzie przestali wie-



rzyć, że faktycznie popełni samobójstwo, ten bowiem, kto mówi o tym tyle, co mój kuzyn, zresztą podobnie jak i inni, jego ojciec na przykład wciąż mówił o samobójstwie, zawsze z taką trzeźwością, jasnością w głowie, ten w końcu się nie zabija, przeciwnie, człowiek taki nieprzerwanie bowiem będzie sobie wyjaśniał, jasno w głowie, samobójstwo i właśnie przez to samobójstwa nie popełni, *po prostu nie może już popełnić samobójstwa ze względu na to jasne sobie wyjaśnianie w głowie i nieustanną zdolność jasnego analizowania*, ponieważ wciąż sobie samobójstwo wyjaśnia, słowa Roithamera, to urzeczywistnić tego, o czym ustawicznie mówił, a co w gruncie rzeczy musiało go odpychać, już mu się nie uda, wszelkie możliwe argumenty, wszelkie możliwe powody, wszelkie możliwe zaprzeczenia prowadzą do wszystkiego z wyjątkiem samobójstwa, najczęściej wprowadzają go prostą drogą w śmiertelną chorobę, słowa Roithamera, w końcu bowiem wszystko w takiej głowie wciąż jest przeciwne samounicestwieniu, uderzające jednak, że ktoś taki z taką regularnością mówi o samobójstwie i samounicestwieniu, ten temat nie daje mu spokoju, przyćmiewa mu rozum, choć potem zwykle udaje mu się przywrócić do stanu jasnego rozumowania, ale w wypadku kuzyna było przecież uderzające, słowa Roithamera, że po ślubie z córką lekarza z Kirchdorfu niemal bez przerwy mówił o samobójstwie, czego jednak nie brano poważnie, słowa Roithamera, nikt już się nie lękał, że kuzyn popełni samobójstwo, ponieważ ustawicznie mówił o samobójstwie, tak jakby mówił o jakimś całkiem prostym do zrozumienia przedmiocie, który wciąż go fascynował, jakby wypowiadał się o dziele sztuki, zawsze z oderwaniem naukowca. Bo ktoś, kto z takim oderwaniem naukowca mówi o samobójstwie, jakby wypowiadał się o dziele sztuki, z precyzją i jasnością, która nas wszystkich aż zawstydzą, ktoś taki nie popełni samobójstwa. Mówili tak i mówili aż mój kuzyn popełnił samobójstwo, rzucając się w szczelinę.

Thomas Bernhard Nachlassverwaltung



JANUSZ SZUBER

## Byle bez

*Renacie Jabłońskiej*

Sprawdziły się prognozy, padało,  
ale ślamazarnie. W mojej głowie na krótko  
pojawił się Andziu Dunda, rówieśnik,  
sam sobie winien, bo zapytany kiedyś  
o imię i nazwisko nie potrafił ich  
poprawnie wymówić. Otworzyłem puszkę  
kukurydzy, zawartość przesypałem do szklanego  
pojemnika, dodałem łyżkę masła i wstawiłem  
do mikrofalówki. Posiekałem czarne  
oliwki i czosnek. Po obiedzie zażyłem dwie  
tabletki methotrexatu, kolejne dwie  
po kolacji. Tym razem, za każdym razem  
na uboczu, wszystko jedno: jeszcze, znowu, już,  
byle bez uszczerbku dla całości,  
w głowie i poza nią, gdy przyjdzie  
rzecz uznać za niebyłą.

MINISTÈRE DES AFFAIRES  
MILITAIRES DE POLOGNE

N° 7059

M. S. WOJSK.

CARTE D'IDENTITÉ  
LEGITYMACJA

Nom: **KĘDZIERSKI**  
Nazwisko  
Prénom: **MAKSYMILIAN ANTONI**  
Imię  
Grade: **CAPITAINE**  
Stopień  
Affectation: **ARMÉE POLONAISE**  
Przydział

**EN FRANCE**

Les Autorités Militaires et Civiles  
sont priées de lui accorder aide et  
protection.

Par ordre du Ministre:  
Z. r. Ministra

*[Signature]*

Paris, le

**15. MARS**

1940



## MAREK KĘDZIERSKI

### Interludia (2)

Urodziny? Nie, raczej imieniny. Późna jesień. O ósmej rano, punktualnie, jak zwykle, przerażający dźwięk dzwonów. Ponieważ tym razem zapomniałem przed zaśnięciem włożyć do uszu *boules Quiès*. Pobudka. Przymusowa, przedwczesna, bo samolot dopiero odlatuje popołudniu. Powoli zwlekam się z łóżka i zdejmuję z oczu opaskę, nieprzydatną, jak się okazuje, z powodu dzwonu, dzwonu zaledwie pięć metrów ode mnie, od moich okien, które wciąż jeszcze czarne. W ciemności ruszam do okna, bez namysłu, z pewną desperacją, rozsuwam zasłony, chwytam czarne, metalowe okucie i zdecydowanym ruchem pociągam do siebie wysokie, masywne skrzydło. Powietrze. Proszę bardzo! Chłód, którego się oczekuje, lub chce, jest czasami mniej dokuczliwy niż wydaje się nam podczas snu. Bonne Nouvelle, dzień w dzień o ósmej rano, dzwony Notre-Dame. Od października do lutego w ciemności.

Ojciec. Urodziny ojca. Ostatnie urodziny ojca. Wszystkiego najlepszego. Raczej fałszywie to brzmi, przynajmniej w moich uszach, kiedy to mówię, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Przede wszystkim zdrowia. Zresztą to prawda, życzę mu zdrowia. Wszystkim, którzy żyją, życzę zdrowia. Jest zdziwiony, że dzwonię, słyszę to w jego milczeniu, gdy tylko wypowiedziałem utartą formułkę. Cisza w słuchawce dwie sekundy dłużej niż wymagałaby sytuacja. Powtarzam formułkę i wbrew obawom, no może nie obawom, tylko przewidywaniom, w jego reakcji nie wyczuwam jednak rozczarowania, przeciwnie. No tak. Będzie mógł powiedzieć żonie i młodemu synowi, że z wszystkimi się pogodził. Znowu jego milczenie, znowu dwie sekundy za długo. A to niespodzianka, mówi, choć od kilku lat częściej do niego dzwoniłem w dniu urodzin, lub imienin, niż nie dzwoniłem, a przynajmniej częściej niż on do mnie dzwonił. Pyta, czy długo zostaną w mieście, mówię, że nie wiem, że najpierw muszę do tego miasta przyjechać, że jeszcze nie jestem w jego mieście, że mam samolot dziś, popołu-

dniu. Świetnie, mówi, więc przyjdiesz jutro, jutro żona nie pracuje, więc przyjdiesz na obiad, a właściwie kolację. Dziękuję bardzo, odpowiadam, teraz z mojej strony cisza dwie sekundy dłuższa, na kolację, niestety, zostać nie będę mógł, mam już coś zaplanowane, ale wpadnę w ciągu dnia.

Więc wpadam w ciągu dnia (nic zresztą jeszcze nie zaplanowałem na wieczór), umyślnie nie uprzedzając o której godzinie, i zastaję go, nie jak ostatnim razem, samego w olbrzymim mieszkaniu – to był czas wakacji, więc młoda rodzina w Watykanie, w Santiago de Compostella tudzież na greckiej plaży, z której rzekomo widać Partenon – w niechlujnej piźmami, z dłonią przyklejoną do lepkiej butelki *seven up*, tę lepkość, którą miałem przyjemność lub nieszczęście ścisnąć, i ten mdły zapach prymitywnego napoju (zapach, który u osób starszych kojarzę z zapachem śmierci), tylko teraz w pełnym rynsztunku urodzinowo-imieninowym. Mieszkanie sprzątnięte z poznańską schludnością, żona, córka wielkopolskiego tramwajarza, jak sarkastycznie mawiał wujek Wojtek, jak koń trojański wprowadzona przez ojca do rodziny, tudzież ministerstwa sprawiedliwości, teraz sprawiedliwa naczelnik wydziału, dlatego, między innymi, mamy tak wydolną sprawiedliwość, żona w domu, więc i porządek, solenizant czeka, a ona w nowoczesnej kuchni warzy potrawy, nóżki zimne uprzednio w pocie czoła przygotowane wraz z rybą w galarecie, zapewne karpem, bo najtłustszy, w lodówce, wędliny również, kiełbasy, szynki, polędwice, polskie sery, więc na szczęście nie czuję tego tak, jak bigosu, którego słodkawy zapach wydobył już się z olbrzymiego garnka na całą nowoczesną kuchnię, z telewizorem nad wielofunkcyjną maszyną kuchenną. Żona właśnie kroci w tak zwaną kostkę ugotowane na miękko warzywa, nim zaleje tę tak zwaną sałatkę jarzynową gęstym majonezem. Z innej części przestronnej kuchni, spod dębowych szafek dochodzi woń tak zwanych delicji na kompot. Przechodzimy, my obaj, ojciec i ja, do jego gabinetu, gabinetu ze wszystkim w komplecie, stylowym biurkiem tudzież obowiązkowymi szablami i kobiercem na ścianie tudzież równie stylową biblioteczką, wskazującą, że właściciel, to znaczy pan domu, trudni się, lub trudnił, pracą umysłową. I ten zapach potraw, warzonych obok w przestronnej, nowoczesnej kuchni, będzie mi towarzyszył aż do wyjścia z mieszkania ojca na warszawski grudniowy chłód, wkroczenia w to mgliste powietrze przesłonięte gęstą oponą sadzy, spalin i przemysłowej chemii.

Ojciec ciekawy jest wieści od Pierre'a, ale w miarę jak mu opowiadam, rodzi się we mnie podejrzenie, że naprawdę interesuje go tylko sprawa grobu Maksymiliana, jego ojca, ojca Pierre'a, mojego dziadka. Jego pytanie: Czy dowiedziałeś się czegoś o grobie? poprzedza, ale raczej *pro forma*, pytanie o Pierre'a: czy są to ludzie na poziomie? Myśli oczywiście o odpowiednim poziomie za-

możności. Który dla niego idzie w parze, wręcz się utożsamia, z tak zwanym poziomem kulturalnym. Niby ciekawy wieści o tym, czego się dowiedziałem, ale tak naprawdę czeka na jedno – czy dowiedziałem się czegoś więcej o grobie.

Grób Maksymiliana. Opowiadam mu, chcę mu opowiedzieć, w ogólnym zarysie, systematycznie, o wszystkim, o czym się dowiedziałem, ale spostrzegam, że interesuje go wyłącznie sprawa grobu, wszystko inne kwituje kiwnięciami głowy, jakby to, co mu opowiadam, było oczywiste. A przecież nie jest to oczywiste. Według mnie, dalekie od oczywistości. Po tylu latach odnalazł przecież brata przyrodniego, na antypodach. Dlaczego nie wsiądzie w pierwszy samolot, żeby uściskać swego przyrodniego brata, aby rzucić się mu w ramiona? Względy zdrowotne? No tak, ale przecież podróż PKP do Poznania na imieniny, urodziny, chrzest lub pogrzeb, taki wyjazd zawsze związany z nieprzeciętną (nieprzeciętną? przeciętnie) konsumpcją alkoholu, mięsa, tłuszczów zwierzęcych, smalcu i śmietany, w dodatku jeszcze w fatalnych warunkach klimatycznych, jest o niebo mniej zdrowa niż dziesięć godzin spędzonych w odrzutowcu, który ląduje we wspaniałym słońcu Johannesburga.

No ale to może zapachy smażonych i duszonych mięs tudzież aromat słodkich wypieków w coraz większym stopniu go dekoncentrują? Wiem, grób to ważna sprawa, ale i wiem, że kiedy on obstaje przy grobie, w jego wypadku nie jest to antyczna tragedia, tylko dość sentymentalny kicz. Choć wiem, że nie mam prawa tak ludzi osądzać.

Grób Maksymiliana. W tym celu przed dwudziestu laty jego pierwotny syn wyruszył w jedną ze swych nielicznych podróży na tak zwany Zachód – na wschód jeździł często i z wielką chęcią – ale grobu nie odnalazł, bo nie potrafił się odnaleźć w tamtejszej rzeczywistości, nie zdołał się porozumieć z okoliczną ludnością. A gdyby nawet potrafił, to i tak nie znalazłby grobu, ponieważ grobu już nie było, w tej części Hagi powstała bowiem nowa dzielnica, po wyburzeniu całego kwartału, na którym znajdował się cmentarz. Jeszcze w latach sześćdziesiątych. Administracja cmentarza starała się zawiadomić krewnych, ale, jak się okazało, co można było przewidzieć, adresem rodziny za żelazną kurtyną nie dysponowała. Ojciec (mój) wrócił więc zniechęcony, całe swe dorosłe życie myślał bowiem, jak to określał, o sprowadzeniu prochów (swego) ojca z powrotem do Warszawy. No ale znalazł przecież jakieś rozwiązanie.

Życie nauczyło go zawsze znajdować jakieś rozwiązanie. Najpierw, kiedy matka, nie mogąc znieść nocnego i hulaszczego, jak to określała, trybu życia męża w twierdzy Modlin (karty, ale i kobiety, jedno idzie w parze z drugim), kiedy miarka się przebrała, ona uniosła się ambicją, z dziećmi i zaledwie trzema

pokażnymi walizami z całym tak zwanym dobytkiem ruchomym, z którym nie chciała i dla dobra dzieci nie mogła się rozstać, wsiadła do pociągu i wróciła do rodzinnego domu, do swojej mamy, do sadu z czterystoma drzewami owocowymi, w sercu Grodna, a więc na kresy, na kresy (Polska jest jak obwarzanek, słyszeliśmy od niej, w Warszawie, wielokrotnie, najwartościowsze elementy znajdują się nie w centrum lecz na obrzeżach).

Jej pierworodny z czasem nauczył się być głową rodziny i zastąpił bratu ojca, a matce męża. Następnie, po wybuchu wojny, a raczej wojen, bo babcia, która przeżyła na kresach nie dwie wojny światowe, tylko, jej zdaniem, pięć, w trakcie jednej tylko, tej drugiej, przeżyła trzy, we wrześniu trzydziestego dziewiątego, kiedy weszli Sowieci, w czerwcu czterdziestego pierwszego, kiedy weszli Niemcy, i w czterdziestym czwartym, kiedy Czerwona Armia kazała jej pakować najniezbędniejsze rzeczy (znowu trzy walizy) przed ewakuacją poza granicę CCCP. Dla jej pierworodnego, który choć mało jeszcze liczył wiosen, wyrósł przecież na mężczyznę zdumiewająco szybko, metr osiemdziesiąt wzrostu w szesnastym roku życia, oznaczało to nie lada egzamin dojrzałości, *the rite of passage*, świetnie przeszedł ten egzamin, całą rodzinę, babcie, matkę i brata zaopatrywał w żywność w okolicznych wioskach. Potem przez miesiąc tułali się w drodze do Łodzi. Następnie już w łódzkich okolicach, a więc w centralnej Polsce, jeszcze w czasie studiów jego kontakty zaowocowały przydzieleniem rodzinie połowy, a może jednej trzeciej olbrzymiego mieszkania w starej, ponemieckiej kamienicy przy Wólczańskiej, niedaleko Zielonej! Następnie, kiedy jak to się mówi, na studiach jeździł po kraju, aby uświadamiać rolników o potrzebie kolektywizacji wsi, kiedy go ciężko pobili uparci chłopcy, on, wieczny pragmatyk, postanowił porzucić domenę polityki (decyzja, której jedyną dobrą stroną stanowiło to, że nie był w partyjnym aktywie, choć moim zdaniem tacy ludzie, jak to się mówi, byli do tego predestynowani, choć przez całe życie, tak w czasie komunizmu, jak i po nim, postępował tak, jak partyjni towarzysze), aby od dać się bez reszty działalności ekonomicznej.

Ojciec wszystko umiał załatwić, wszędzie i z wszystkim musiał sobie poradzić, zawsze wiedział jak, zawsze wszystko wiedział. Życie minęło mu na tak zwanym zabezpieczeniu bytu, rodzinie, a przy okazji i sobie. Zabezpieczeniu bytu rodzinie, tej pierwszej, a potem drugiej, czyli zapewnieniu sobie tego, co mu się od życia należało, a należało mu się wszystko. Wszystko, co zdołał dla siebie zabezpieczyć. A zabezpieczał z olbrzymią energią i przedsiębiorczością, w pracy od podstaw, od świtu do nocy, i jeszcze później, kipiał energią, która musiała być jakoś skanalizowana, spalał się w pracy, i spalał się po pracy.



Zapewniał przede wszystkim i zabezpieczał rzeczy. Kiedy pojawiły się na rynku (rynku!) pierwsze telewizory, nasza rodzina zapewne była pierwszą na naszej ulicy wyposażoną w odbiornik telewizyjny marki Wisła. Pamiętam zastrępy kolegów i przyjaciół, prawdziwych i przyszywanych, którzy w naszym saloniku przeżywali pierwsze chwile sam na sam z tym wspaniałym wynalazkiem. Kiedy koszule nylonowe pojawiły się w sprzedaży w tak zwanych galluxach, ojciec dumnie nosił jedną z pierwszych w stolicy. Kiedy można było posiadać prywatnie tak zwane łodzie motorowe, ojciec był jednym z pierwszych prywatnych członków klubu motorowodnego „Wisła” na Wale Miedzeszyńskim. Pamiętam jego czerwoną, spaloną żywcem przez nadwiślańskie słońce, skórę, trzymającą w ryzach tę masę kości, mięśni i tłustego mięsa, jednakowo różową w wodzie i w powietrzu.

Zaspokojenie potrzeb jego ciała nie było łatwe, ale jakoś dawał sobie, oczywiście, radę. Potrzeby były niemałe. Jego ciało tylko w momentach tak zwanej kuracji-cud schodziło poniżej granicy stu kilo żywego mięsa, otwartego na wszelkie formy żywienia, a zwłaszcza te, które nie były dostępne, nad Wisłą, dla każdego śmiertelnika. Więc nie wystarczały mu (im, ojcu i jego ciału) zwykłe lokale dla tych, co mogli sobie na to pozwolić, nie, Szanghaj na Marszałkowskiej, nieco dalej Balaton, kubańska Habana tuż obok, wieczorem Foksal, Kamealna, a na początek nocy gęsi pipek lub karp po żydowsku na placu Grzybowskim, no i potem jeszcze szybko do Bazyliszka na prosiaczka z jabłkiem w gębie. I jakby tego nie było dość, to jeszcze dziś w moich snach nawiedzają mnie ojcowskie nokturny, jego rytmiczne wyprawy do lodówki o bladym świetle, człapanie po parkiecie przedpokoju tudzież seledynowym linoleum w kuchni, stukilowe kroki nieraz budziły mnie kilka razy w ciągu nocy. Kroki do kuchni, odgłos otwieranej lodówki, odgłos zamykanej lodówki, odgłos połykanej żywności, tak w postaci płynnej, jak i stałej, kroki z kuchni do sypialni. Pociły mu się ręce, pociły mu się – skandalicznie – stopy. Ale to chyba nic niezwykłego, przy takiej masie własnej, przy takiej masie do konsumpcji.

Wracając do sprowadzenia prochów ojca ojca z powrotem do Warszawy: kiedy sprowadzenie prochów Maksymiliana okazało się praktycznie niemożliwe, ojciec sprowadził po prostu do Warszawy Maksymiliana bez prochów, najzwyczajniej w świecie – a może nie tak zupełnie zwyczajnie – pochował własnego ojca symbolicznie, jak powiadał, symbolicznie, ale w konkretnym miejscu, w konkretnej ziemi, polskiej oczywiście, własnej rzecz jasna, kupionej za własnoręcznie zarobione pieniądze, pod tablicą, na której Maksymilian do dziś sąsiaduje z Apolonią, jego pierwszą żoną, która, w odróżnieniu od Maksymilia-

na na warszawskich Powązkach była fizycznie obecna, w tej rodzinnej powązkowskiej krypcie, czyli w specjalnie w tym celu nabytym przez ojca grobie, oczywiście za ciężkie pieniądze, nie muszę dodawać: nieopodal Alei Zasłużonych.

Apolonia. Apolonia to odrębna historia, nasza babcia Apolonia (imię wymyślili jej rodzice, patrząc na obraz Grottgera), również sto kilo żywej wagi, żona oficera (nieważne, że rozstali się zaraz po urodzeniu drugiego syna, kiedy ona uniosła się ambicją, za to że on w twierdzy Modlin grał w karty i był, cytując jej wypowiedzi, kobieciarzem, i kiedy wróciła do superpolskiego domu w Grodnie, prowadzonego przez mojego ojca wkrótce po ukończeniu przez niego piętnastego roku życia, że tak powiem w zastępstwie dziadka, czyli jej męża, to znaczy jego ojca).

Kiedy po dwóch miesiącach spędzonych przeze mnie w pierwszej klasie, szkoły podstawowej, moja wychowawczyni, pani Maria Tomulewicz, postanowiła przenieść mnie do drugiej, ojciec, naturalnie rzecz jasna, potraktował to jako jeszcze jeden znak własnej operatywności na świecie, mógł się bowiem chlubić tym, że dziecko miał zdolne, a więc miało to po nim, tak jak pierwszym telewizorem na całej ulicy. Ale kiedy kilka lat później, w rocznicę wybuchu wojny, czyli na uroczystości rozpoczęcia nowego roku szkolnego w Szkole Podstawowej nr 181, w czasie apelu uczniów wszystkich klas, uroczystego oczywiście, kierowniczką Zyta Cempel zaproponowała uczcić rocznicę socjalistycznego czynu czynem społecznym, polegającym na wyrównywaniu boiska i zarządziła głosowanie, kto jest za. Za byli wszyscy. Kto przeciw? Nie widać nikogo. Kto wstrzymał się od głosu? Podniosły się dwie ręce. Mojego kolegi Duszczyka i moja. Wtedy pani kierowniczką wywołała nas przed wszystkich zgromadzonych i rozpoczęła tyradę, której nicią przewodnią, jak mówiła, było to, że prawdziwymi wrogami nie są ci, którzy są przeciw, bo oni przynajmniej mają odwagę być przeciw, prawdziwymi wrogami są ci, co wstrzymują się od głosu, są przeciw, ale tchórzliwi, nie mają odwagi. Czerwień się na oczach całej szkoły. Nie chcę tylu spojrzeń. Ale to nie koniec, wkrótce potem pani Cempel, nauczycielka historii, powstała autentyczna, można sprawdzić w portalu nasza klasa, wzywa mojego ojca na rutynową w takich wypadkach rozmowę. Czekam na ojca przed gabinetem kierownika szkoły, widzę moment, kiedy wychodzi z jej gabinetu. Czekam, aż powie, że jest ze mnie dumny, a przynajmniej, że na moim miejscu postąpiłby tak samo, a przynajmniej, żebym się nie martwił. Ojciec podchodzi do mnie bez słowa, karcącym gestem pokazuje, że mam za nim iść, schodzimy na dół, na ulicy spogląda na mnie tak jak Zyta Cempel, z tym, że zamiast tyrady, daje mi jej skróconą wersję: „Jak można być takim skończonym idiotą?”.

Dla ojca w świecie (i niestety też w ojca świecie, czyli poniekąd moim, w pewnej części lub w pewnej mierze, wówczas decydującej) liczył się ten, kto był silny, a silnym był ten, tylko ten, kto trzymał sztamę z „właściwymi” ludźmi, z ludźmi na właściwym miejscu, i, trzeba tu uściślić, w odpowiednim momencie. Bo momenty też się zmieniały. *Homo sovieticus à la polonaise*. Przedsiębiorczy, z całkowitym oddaniem pracował dla jednoosobowego przedsiębiorstwa pod szyldem JA. Prymityw nie z tej ziemi. A przecież całkiem na miarę tej ziemi został przez własnych rodziców, i nie tylko, jeśli nie skrojony, to splodzony. Tak, całym swym postępowaniem mówił mi, że w życiu trzeba być dużym. A jak się jest dużym, to jeszcze tylko trzeba być sprytnym, wyczuwać prędko z której strony wieje wiatr, czyli być inteligentnym, na tym polega inteligencja. No i odważnym, czasami bronić się uderzeniem przed atakiem. Ale być realistą, nie rzucać się z motyką na słońce. Realizm to słowo klucz. I prymityw. Choć wielu, zwłaszcza prymitywnych, uderzała jego inteligencja, był człowiekiem prymitywnym, przede wszystkim dlatego, że wszystkie swoje zasoby inteligencji zmobilizował aby dokonać jednego: zapewnić sobie wpływy, a nam dzieciom – godziwą egzystencję, tak to nazywał. Sądząc jednak po jego własnej, jeżeli nasza miała być na podobieństwo jego, chciał dla nas egzystencji niegodziwej.

Dlatego, właśnie dlatego, żyłem, umyślnie i bezwiednie, *przeciw* ojcu. Jeszcze zanim mogłem to sobie racjonalnie, bądź na wpół racjonalnie, wytłumaczyć. Ponieważ ojciec nie lubił teatru, tacy ludzie teatru nie lubią, choć im imponuje, wręcz go nienawidzą, ja chodziłem dzień w dzień na spektakle w Ateneum, *vis-à-vis* naszej bramy, na początku chyba po to tylko, by zabić ojca w sobie. Podobnie jak chodziłem na koncerty do filharmonii *przeciw* ojcu, wiedziałem bowiem, że jest niemuzyczny, matka mówiła, że słoń nadepnął mu na ucho, choć wysyłał dzieci do pani Jadzi na tak zwane koncerty niedzielne, poranki dla dzieci i młodzieży, to przecież był *przeciw* muzyce, tak jak ja byłem *przeciw* niemu. Wiedziałem, że wysyła nas wyłącznie po to, by móc się chlępić tym, że w niedzielne przedpołudnia wysyła nas na koncerty. Ponieważ ojciec nie znał języków obcych, na samo słowo język obcy, reagowałem jak na nieobce mi słowo, traktowałem jak swoje. Uczyłem się tych języków *przeciw* ojcu, gdzieś musiały być inne światy, na granicy ojczystej mowy kończyła się jurysdykcja ojca, tłumszenie ludzi, gdzieś były inne stroje, ludzie inaczej jedli, inaczej pili.

Zresztą ojciec sam się temu przysłużył, sam rozpoczął ten proces likwidacji ojca we mnie, załatwiwszy nam, oczywiście bez problemów i rzecz jasna jednego z najlepszych w stolicy, nauczyciela angielskiego, a potem nauczycielkę, która nam wprawdzie niewiele dała, ale jemu chyba tak, pamiętam raczej burz-

liwą wymianę zdań na jej temat między ojcem a matką, dlatego potem byli już tylko nauczyciele płci męskiej. Ojciec spóźnił się o kilkadziesiąt lat na spektakl pt. *Bratanek Rameau*, o dwieście, gwoli dokładności.

Z wyjątkiem rosyjskiego, którym mówił płynnie, nawet jeśli z błędami, języków obcych sobie nie przyswoił, widać trudniej było „załatwić to sobie” niż zaliczenie egzaminu z niemieckiego na studiach. Wyjście zastosowane w wypadku grobu dziadka tutaj się nie sprawdzało. Można było się o tym przekonać, gdy tylko otwierał usta, by wykrztusić z nich najprostsze zdanie w obcym języku, co do grobu natomiast, trzeba byłoby podnieść tonę granitu, by się przekonać, że nie ma tam śladu Maksymiliana. Języki były moją pierwszą obroną przed ojcem. Ilekroć wymówiłem parę słów nie po polsku, byłem przekonany, że wykluczam ojca ze świata, umieszczam go poza nawiasem. Języki obce, a więc nie jego. Obce *jemu*, na zawsze, nie mnie. Bo oczywiście wysiłek włożony w naukę języków jest niewspółmierny do osiągniętych przez to dóbr materialnych. Nie mogłem, rzecz jasna, uniknąć tego, że noszę w sobie mojego prymitywnego ojca, nie można było wykluczyć nawet tego, że on się we mnie rozrośnie i zabije we mnie wszystko inne. Jediną perspektywą przetrwania było dla mnie wyrzucić z siebie ojca, jedyną drogą – przewyżczenie w sobie tego ojca-prymitywa. I tu ważnym krokiem były języki. Uczyłem się ich jak popadnie, czasami wręcz na ślepo, im więcej tym lepiej, kiedy zapisałem się na kurs chińskiego, czułem, że to nie wystarczy, więc w tym samym budynku na Senatorskiej uczyłem się japońskiego. Wszystkich języków uczyłem się przeciw ojcu, włącznie z ojczystym.

Zwracałem się, intuicyjnie i z wyrachowania, ku temu, w czym on był słaby, do czego nie był zdolny lub czego nie lubił, co on negował albo co jego negowało, dla mnie to był znak, iż może mam do czynienia z czymś wartościowym, pozytywnym. W ten sposób mogłem przyswoić sobie wiele rzeczy, które on wskazał mi swoją niechęcią lub niewiedzą, z drugiej strony jednak niemal automatycznie zniechęcał mnie do tego, czym się szczególnie przejmował lub co go bardzo interesowało. W wypadku dóbr materialnych to było oczywiście błogosławieństwo. Ale zniechęcił mnie też do rzeczy, ku którym zapewne zwróciłbym się, gdyby nie to, że były one dla niego ważne lub interesujące i tym samym traciły dla mnie wartość. Pamiętam, kiedy mówił o swoim ojcu, podkreślał zawsze, że był oficerem, przedwojennym oficerem. Mój ojciec synem przedwojennego oficera! Już samo to nastawiło mnie niechętnie do wszelkiego wojska, wszystkich oficerów i całego przedwojnia. Dlatego zawsze broniłem się przed pójściem do wojska, muszę powiedzieć, że dość skutecznie. Instykt

podpowiadał mi, żebym unikał tematu dziadka. Z wielką premedytacją urywałem to, co w moim mniemaniu było sentymentalnymi wspominkami Apolonii, moimi docinkami w stylu: Tak, oczywiście, przed wojną wszystko było lepsze. Ilekroć powracał temat grobu w Holandii, ja, nastroszony, gdy tylko padło słowo grób, miejsce pochówku dziadka, instynktownie zwracałem się przeciw dziadkowi, no może nie zwracałem przeciw, tylko wykazywałem opór, zgłaszałem wewnętrzny sprzeciw, wytwarzałem w sobie wielką obojętność. Z jego powodu, z powodu mojego ojca, nie byłem w stanie lubić jego ojca, mojego dziadka, choć nie miałem powodu, by go nie lubić. Po prostu nie byłem ciekawy dziadka, choć muszę przyznać, że jedyne, co mówił mi ojciec – przynajmniej tylko to pamiętam – to że dziadek był oficerem i zmarł we Francji przed moim urodzeniem i że był częścią konspiracyjnej Moniki. Konspiracyjna Monika, no dobrze, niech będzie, słuchałem cierpliwie, niech się wygada. Ale zamykałem uszy. Nie chciałem tego słuchać.

Kiedy mój brat wysłał mi email, zapowiadając nadejście listu z kopiami dokumentów o Maksymilianie, bo jak się wyraził, nagle będąc w Anglii, na wpół przypadkowo, natrafił na ślad, który doprowadził go do pewnych informacji, od lat bezskutecznie przez nas poszukiwanych (ja nie szukałem!), przyjąłem to, z podziękowaniem, do wiadomości, kiedy jednak nadszedł zapowiadany list, list ten odłożyłem, nawet go nie otworzywszy, a może i otworzyłem, ale na później odłożyłem czytanie, już nie pamiętam, może tę kopertę otworzyłem, ale przeczytawszy tylko krótką uwagę brata, że przesyła mi dokumenty, czytanie tychże odłożyłem na później, zabrałem się do niego dopiero po kilku tygodniach, zresztą przypadkowo. Natychmiast jednak, gdy tylko dokumenty te przeczytałem, błyskawicznie, w ciągu kilku minut, powziąłem decyzję, żeby zadzwonić do Pierre'a, a kilka minut po rozpoczęciu z nim rozmowy spytałem go wprost, czy mogę do niego przyjechać i zaledwie kilka minut po odłożeniu słuchawki zarezerwowałem bilet do Johannesburga.

W trakcie rozmowy Pierre zaznaczył, raczej nieśmiało, że dzwonię w dniu jego urodzin. I że to dobry *omen*. Zerknąłem na trzymane w ręku kopie dokumentów, rzeczywiście, nie przyszło mi do głowy, że dzwonię akurat w dniu jego urodzin. Tak, Pierre, powiedziałem, mam przed sobą przysłany mi z Londynu kwestionariusz osobowy Maksymiliana, w którym jako trzeci syn figuruje Piotr Kedzierski, urodzony 16 grudnia 1941 roku w Grenoble. Piotr, nie Pierre, a od kiedy nazywają go Pierre? Od urodzenia, od kiedy pamięta, zresztą to imię zapisano w metryce urodzin. Choć pamięta, że ojciec nazywał go Piotrusz (tak to wymawia), a matka zwracała się do ojca Makszu, i zawsze potem o nim

**CARTE D'IDENTITÉ**

Nom: *Debon*

Prénoms: *Antoin*

Nationalité: *Français*

Profession: *ingénieur*

Né le: *14.5.1884*  
à *Charvines* Dépt *Grande*

Domicile: *Paris, rue Seribe 10.*

**SIGNALEMENT**

Taille: \_\_\_\_\_ Nez: *10* Base: \_\_\_\_\_  
Cheveux: \_\_\_\_\_ Dimension: \_\_\_\_\_  
Moustache: \_\_\_\_\_ Visage: \_\_\_\_\_

Yeux: \_\_\_\_\_ Teint: \_\_\_\_\_

Signes Particuliers: \_\_\_\_\_

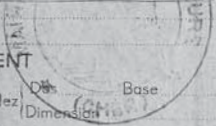
Le Titulaire, \_\_\_\_\_

Témoins: \_\_\_\_\_

R. V. Vu pour la légalisation \_\_\_\_\_  
Mairie de *Charvines* (CHER) le *24 JANV 1938*

Signature: *Antoin Debon*

EMPREINTE D'ONCLE





mówiła Makszu. Twój ojciec Makszu. Tak to wymawia Pierre, a na piśmie podaje Maxiu.

Powiedziałem Pierre'owi, że z przysłanych mi przez brata dokumentów sporo się dowiedziałem, zawierały sporo informacji, niezwykle cennych, kiedy, jak w moim wypadku, startuje się od zera, od kompletnej niewiedzy, kiedy praktycznie niczego się nie wie, wszystko może być na wagę złota. Ale nic nie zastąpi bezpośredniej rozmowy. W kwestionariuszu nie ma słowa o tym, że dwóch pierwszych synów Maksymiliana urodziła moja babka Apolonia, natomiast trzeciego i czwartego Alida z domu Klapwijk, którą poznał, kiedy internowano go w Rumunii. Właściwie kwestionariusze były dwa, jeden po polsku, wypełniony odręcznie, jedna strona, drugi po angielsku, dwie strony, wszystko na maszynie. Ten po polsku zawierał fotografię, od razu uderzyło mnie, że Maksymilian był człowiekiem szczupłym, jego twarz niemal ascetyczna, zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem, Apolonia wciąż wpatrzona w ojca, czyli swego syna, jak w obrazek, zawsze nam opowiadała, że ojciec to wykapany Maksymilian, że mój ojciec to jej wykapany mąż, a tu spoglądał na mnie zupełnie inny człowiek, choć jakieś podobieństwo między nim a moim – i jego – ojcem można było oczywiście zauważyć. Teraz, szesnastego grudnia, ciekawy jestem, z jakiego świata jest Pierre, mój rozmówca, z jakiej materii, że tak powiem, stworzony, bo z jakiej gliny przynajmniej w połowie mogę się domyślać, więc nasz pierwszy telefon przeciąga się w nieskończoność. Słuchając Pierre'a, zastanawiam się, jak wygląda, ponieważ go nie widzę, tym bardziej skupiam się na tym, co mówi. I jak mówi. Rozmawiamy po angielsku, pytam go o język ojczysty, który oczywiście w języku, w którym rozmawiamy, w jego języku, brzmi *mother tongue*. Matka, Alida, mówiła po rumuńsku i holendersku, ojciec, Maksymilian, po polsku, reszta świata po francusku, trzy pierwsze wiosny życia Piotr czyli Pierre spędził w alpejskich krajobrazach, cztery następne w podparyskim miasteczku nad Marną, pięć kolejnych w Hadze z dziadkami i mamą, a resztę życia na południu kontynentu afrykańskiego. Jego brat, urodzony cztery lata później, już po wyzwoleniu Francji (niestety, zmarł na raka w Kapsztadzie w wieku pięćdziesięciu lat) o swym ojcu miał bardzo mgliste wspomnienia, głównie nastroju, jaki panował, kiedy ciało ojca przywieziono do Bry-sur-Marne.

W maju 1948 roku ten zdrowy mężczyzna, słowa Pierre'a, Maksymilian, załbiał nagle, idąc przez park w Lille, tak przynajmniej napisał w oficjalnym akcie zgonu lekarz. Lekarz, który zrobił mu zastrzyk i w chwilę potem stwierdził zgon, natychmiast się ulotnił. Według Pierre'a, według tego, co mówiła mu matka, wszystko spadło jak grom z nieba, ten lekarz był podejrzany, podejrzenie się



zachował, a potem przepadł bez śladu. A kuzyn Alidy, Jan Visser, z którym Maksymilian rozmawiał dosłownie parę dni przed śmiercią, od razu tę śmierć skojarzył z tym, o czym wspominał mu Maksymilian kilkakrotnie, kilkakrotnie w ich rozmowie padło słowo Katyń. Jan Visser powiązał to słowo ze śmiercią Maksymiliana, przekonany, że Katyń był tej śmierci przyczyną, jedną więcej dodaną do tysięcy, a potem przez wiele lat gromadził informacje o Katyniu, w tamtych czasach, były to lata pięćdziesiąte, nikt w Holandii o Katyniu nie wiedział, Jan Visser zgromadził całą bibliotekę o Katyniu.

Maksymilian kursował między obozem zbornym Wojska Polskiego nr 3 w Lille a Bry-sur-Marne, gdzie mieszkała Alida z Pierrem i Antoinem. Co tydzień, aby ich odwiedzić, pokonywał autem odległość dwustu kilometrów, wówczas to były cztery godziny jazdy. Dziesiątego maja, niedługo po otrzymaniu z Lille telegramu o śmierci Maksymiliana, Alida zauważyła nagle na rue Aristide Briand, przy której mieszkali, w Bry, dwieście kilometrów od Lille, jego samochód. Przekonana, że ktoś tropi rodzinę zabitego, słowa Pierre'a, w pośpiechu spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, załatwiła formalności i trzy dni później przekroczyła wraz z dziećmi – tym samym pociągiem, który wiozł ciało jej męża – granicę holeder-ską. Nie czując się bezpieczna, złożyła wniosek o wydanie wizy emigracyjnej. Do Afryki Południowej. Daleko, jak najdalej od Francji, Polski, Europy. Dlaczego? Dlaczego mieli ich ścigać? Dlaczego nie czuła się bezpieczna? Nie czuła się bezpieczna, słowa Pierre'a, ponieważ od marca 1940 roku, kiedy w Modane wraz z Maksymilianem przekroczyła granicę francusko-włoską, była jego konspiracyjną współpracowniczką. Wiedziała o wszystkim, o czym wiedział Maksymilian. Niemał wszystkim, słowa Pierre'a.



Śmierć Maksymiliana była oczywiście wielkim szokiem dla Alidy, ale nie było czasu na rozpacz, musiała działać szybko, bała się o dzieci, decyzję podjęła błyskawicznie, postanowiła wyjechać do Hagi i zatrzymać się u rodziców. Trzeba było załatwić formalności, wiele formalności związanych z przewiezieniem zwłok za granicę, w tamtych czasach wymagało to licznych zaświadczeń, pozwoleń i tak dalej, słowa Pierre'a, ale była kobietą twardą, tamte czasy wymagały twardości, zwłaszcza cztery lata w Résistance nauczyły ją działać szybko i zdecydowanie. Jan Visser twierdził, że zagrożenie nie było ze strony kolarantów z południa Francji, o których Maksymilian zbyt dużo wiedział, on zagrożenie łączył ze słowem Katyń, dlatego radził kuzynce wyjechać jak najdalej od Katynia, Afryka Południowa była wtedy bardzo daleko, dużo dalej niż teraz, słowa Pierre'a. Z tego powodu Alida nie chciała słyszeć o Polsce i krajach komunistycznych, stąd jej milczenie, brak chęci nawiązania kontaktu z rodziną w Polsce, aż do śmierci w 1979 roku.

I jeszcze ta zbieżność dat. Maksymilian zmarł dziesiątego maja. Dziesiąty maja to była data jego planowanej demobilizacji. Dziesiątego maja zlikwidowano kompanię Wojska Polskiego w Lille. Przez kilka miesięcy Polacy się przed tym wzbrażali, władze francuskie chciały odesłać ich do Polski, a przynajmniej do Wielkiej Brytanii, niech Anglicy martwią się o to, co z nimi zrobić. Protesty były na tyle gwałtowne, że lokalna prasa donosiła o głodówkach polskich żołnierzy. Tych ludzi trzeba było karmić, czasy były ciężkie, materialnie, a Polaków były dziesiątki tysięcy, spełnili swoją rolę, to było już cztery lata po tym, jak ich rola się skończyła, a oni wciąż w swoich obozach. W dodatku, w odróżnieniu od Anglików czy Amerykanów, trudno było z nimi się dogadać. Nie tylko językowo. Obca francuskiej mentalność. W ogóle byli tacy inni. Niewielu chciało wracać do domu, do Polski. Więc niech jadą do Anglii, Szkocji, Ameryki, we Francji ich misja uległa końcowi, dobiegła kresu. W dodatku większość polskich żołnierzy była mocno antykomunistyczna, a we Francji, zwłaszcza w departamentach północnych, nadawali wtedy ton komuniści. Więc można mówić o wzajemnym braku sympatii.

Dziękuję Pierre'owi za długą rozmowę, odkładałam słuchawkę i lecę do Afryki, parę dni później w samolocie z Frankfurtu do Johannesburga jeszcze raz czytam zdobyte przez brata w Ministry of Defence materiały. Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem niektóre określenia, zwłaszcza skróty. Zeszyt Ewidencyjny w języku polskim podaje u góry strony: Wcielony do P.S.Z. pod dowództwem bryt. w dniu 14.12.1940 r. / Roz.dz.Ob.Zb.N. Lille, Nr 72/47 KORPUS OSOBOWY 2743. KĘDZIERSKI Antoni, imię ojca Waclaw, matki Wincentyna z domu Tomassi. Stopień: Kapitan. Starszeństwo: 1 styczeń 1931. Przynależność służbo-

wa: Obóz zborny WP Nr 3 Lille. Adres Bry sur Marne. Urodzony 14 kwiecień 1900, miejsce Sosnowiec, powiat Będziński, województwo Śląsko-Dąbrowskie. Stan cywilny: żonaty, żona Klapwijk Alida wyznanie rz-kat, narodowość Polska i dzieci: czterech synów Andrzej 1929, Józef 1933, Piotr 1941, Antoni 1945.

To tylko pierwsza strona Zeszytu Ewidencyjnego. Z adnotacją: *I am unable to provide you with a copy of the reverse of this form as the information it contains is held in confidence. According to our records the above named died in Lens, France on May 10 1948.* Informacja o śmierci w Lens koło Lille. Reszta Zeszytu Ewidencyjnego w dalszym ciągu jest utajniona, jeszcze dziś, siedemdziesiąt lat później.

Teraz stoję w pokoju Pierre'a Kędzierskiego, w jego domu na przedmieściach Johannesburga, strzeżonym przez elektroniczny system alarmowy zamkniętego osiedla z nieodłącznymi zasiekami z drutu kolczastego. Pierre pokazuje mi dokumenty matki. *Death Certificate*, Alida Ingwersen 30.3.1915–1.3.1979 zmarła w Claremont Cape, na raka trzustki. Ostatni paszport. Paszport podaje wzrost 169 cm. A tu? Odczytuję: *Temporary Military Identity Card*. Tymczasowa książeczka wojskowa, czy jak to się nazywa? Alida Kędzierska, oczy brązowe, włosy jasne, wzrost 6 i pół stopy!!! Była tak wysoka? Czy to możliwe? Pierre jest zdania, że była nieco niższa od niego, czyli miała około 174 cm wzrostu. Według tego dokumentu – oficjalnego! – Alida jest żołnierzem Armii Polskiej. Holenderka z Rumunii będąca żołnierzem Armii Polskiej we Francji okupowanej przez Niemcy!

Inny dokument: na pożółkłej kartce wielkości jednej trzeciej arkusza A4, z nagłówkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Wydział Ogólny, ministerstwo zaświadcza, że Alida Kędzierska z domu Klapwijk, żona p. Kędzierskiego Antoniego, urodzona 30 marca 1915 roku w Arbanassi, złożyła w tut. Ministerstwie Paszport Dyplomatyczny za N. 245, wydany przez M.S. Zagr. w Warszawie w dniu 5 lipca 1939 roku. Poświadcza to Kierownik Biura MSZ Malinowski 12.3.40 w Angers, mieście będącym wiosną 1940 roku siedzibą rządu RP, już pięć dni po przekroczeniu przez Alidę i Maksymiliana granicy włosko-francuskiej. A przecież Alida nigdy nie była w Polsce, Maksymilian poznał ją jesienią 1939 roku w Rumunii, już po klęsce wrześniowej. Tłumaczę tekst zaświadczenia Pierrowi, mówię, że sam już sobie dawno przetłumaczył, pytam, czy ten paszport dyplomatyczny nr 245 jeszcze istnieje, Pierre odpowiada: ani śladu, nigdy takiego paszportu nie było. Uśmiecha się – to wszystko lipne.

I pokazuje inny dokument, podobnego formatu, pamiętam, jak legitymacja pracownicza mojej matki lub moja legitymacja studencka, doktoranta, pracownika naukowego. Format urzędowych dokumentów, jak widać stosowany na długo przed powstaniem PRL-u, z którym kojarzę ten format. I jak widać

nie tylko nad Wisłą, również nad Sekwaną. *Carte d'identité* opatrzona fotografią Maksymiliana, odciskiem palca, znaczkiem skarbowym za 15 franków, wystawiona w Charovines w departamencie Grenoble. Ale nie ma na niej nazwiska Kędziński, tylko... Debon, Antoine, narodowości francuskiej, z zawodu inżynier, mieszka na stałe w Paryżu, rue Scribe, a więc tuż przy Operze. A urodził się 14.5.1884. Czyli szesnaście lat później niż Maksymilian, który jest na zdjęciu. Podpisało dwóch świadków, ale brak podpisu samego właściciela. Okrążyła pieczęć merostwa Menetou-Couture (Cher). Sprawdzam, co to jest Menetou-Couture w departamencie Cher. Wioska licząca 340 mieszkańców w 2011 roku, w dolinie Loary, niedaleko Nevers, 41 km od Bourges. No tak, w tamtej epoce jednakowo odległa w czasie od Grenoble jak rue Scribe przy Operze Paryskiej.

Pierre Corstiaan, przyrodni brat mojego ojca, o którego istnieniu dowiedziałem się na dobrą sprawę przed paroma tygodniami, stoi przy mnie w swoim gabinecie w granicach wielkiego Johannesburga i pokazuje mi całą walizkę dokumentów, listów, fotografii. Zachowało się zaskakująco wiele, to moja pierwsza refleksja, zdziwienie, że to wszystko się zachowało, ocalone z chaosu wojny, że ani historia, ani geografia nie przeszkodziła w tym, żeby te dokumenty w spokoju tu na mnie czekały. No tak, konspiracja, zgoda, wszystkie niebezpieczeństwa, oczywiście, nigdy jednak nie było systematycznego niszczenia na miarę Powstania Warszawskiego. Wszystko w walizce, walizce jak w filmach z epoki, którą Alida przewiozła z Bry-sur-Marne do Hagi, a stamtąd do Johannesburga.

Tłumaczę Pierre'owi, Pierre tłumaczy mnie, obaj potrzebujemy wzajemnie sobie tłumaczyć, na przedmieściach Johannesburga usiłuję wytłumaczyć Pierre'owi siebie i swoją rodzinę, włącznie z jego bratem przyrodnim. Staram się to zrobić najobiektywniej, jak potrafię. Choć przyjechałem tu zapewne przynajmniej po części z nadzieją, żeby ostatecznie zabić w sobie ojca dziadkiem, wygnać ojca z siebie, tak jak historia wygnała z Europy dzieci i żonę dziadka. Stoję przed swoim wujem, jak to się nazywa, nie po polsku, pół-wujem i mam tłumaczyć mu egzystencję mojego ojca, a jego przyrodniego brata, ojca, wyjaśniać, kim jest mój ojciec, a jego pół-brat, przedstawiać mu półprawdy, bo o ojcu nie chciałem mówić przed Pierrem źle, chciałem wyrażać się oględnie, a pominąć tego, co o ojcu wiedziałem, a o czym nie chciałem mówić jego pół-bratu, bo było źle, było przecież okaleczeniem prawdy, z której na pewno pozostanie dużo mniej niż pół.

Stoję przed człowiekiem, który przeżył te wydarzenia, odczuł na własnym ciele, własnej psychice, ale który nie zna całej prawdy o własnym ojcu, bo ojciec zbyt wcześnie wymknął mu się z rąk, który nie zdążył ojca zrozumieć, a te-

raz ma nadzieję, że pomogę mu go zrozumieć, ja, który urodziłem się po jego śmierci, i wiedziałem o nim wyłącznie ze skąpych uwag zasłyszanych w dzieciństwie. W tym momencie nie wiedziałem, że Maksymilian kilkakrotnie pisał z Lille listy do synów w Polsce i rozważał swój ewentualny powrót do kraju, ojciec nie wspominał o tym nigdy, nawet w czasie naszej ostatniej rozmowy w gabinecie na Górnośląskiej, kiedy opowiadałem mu o pobycie u Pierre'a, a on słuchał jakby mimochodem, skoncentrowany wyłącznie na sprawie grobu. Dopiero po śmierci ojca dotarłem do dwóch listów z 1947 roku.

W pierwszym, ze stycznia, Maksymilian namawiał syna do nauki języków obcych: „nie gardź językami obcymi, nie masz pojęcia, jaką pomoc w życiu daje posiadanie języka obcego. Niestychana! Ludzie różnych narodowości tak szwędają się po całym świecie, że każdy i wszędzie różnorodnie rozmawia. Należy myśleć o świecie całym, a nie zamykać się w ścisłych ramach jednego kraju”. Dosyć dziwne, że pisał do niego jak do małego chłopca, a jego syn w ciągu dnia jeździł po wioskach i załatwiał żywność, wieczorami się uczył, a przez całą dobę kierował życiem matki i młodszego brata.

Z drugiego listu pochodzi następujący fragment:

*Mieszkam w Lille prywatnie, dość wygodnie i porządnie. Francja jest pięknym krajem, może ludzie trochę przykrzy, jednak wiele dobrych stron można by przenieść na nasz grunt. Najważniejsza dodatnia cecha to poszanowanie jednostki, równość w życiu, poważanie przekonań politycznych, no i karność społeczna. Nas cenią za patriotyzm, za miłość ojczyzny, widząc w nas dobrych synów. Z drugiej strony, uważają (tak jak i Anglicy, jeszcze w większym stopniu), tak zwanego »étrangera« za coś niższego od siebie, i mimo że go bardzo potrzebują, nie potrafią się ugiąć do roli podległego pracownika. Uważają – jako zło konieczne!*

*Tak, rozproszyła nas ta ciężka zawierucha i długo jeszcze będą się Polacy szukać po świecie. Wielu, wielu nie odnajdzie swoich... Po całym świecie masa rozsianych mogił, rzeki łez i bólu...*

BOGUSŁAW KIERC

## Niebo nie

Niebo nie. Ani trawa, w której widać prawie  
każde źdźbło połyskliwe, ani to poczucie  
szczęścia, to skoczne kocię pławiące się w trawie –  
też nie. I przekonanie, że już sobie uciekł

ze mnie ten stary fantom j a, to przywidzenie  
siebie tutaj – wciąż jeszcze nie wystarcza, żeby  
większe ode mnie chcenie Ciebie w Ciebie przenieść,  
uwolnione z natrętnie miłosnej potrzeby

czucia ciepłoty ciała i słoności potu,  
zapachu Twoich włosów i słuchania głosu  
ludzkiego, Jezu Chryste, czy jedynie po to,  
żeby przybiec do Ciebie prosto z trumny? Boso?

## Na jednej nodze

Że się popsuło chodzenie, że sypiam  
pod kamieniami walących się na mnie  
snów o podróżach, że budzi mnie ogień

w kolanie skrzypiąc, nie znaczy, że skrzypiec  
płaczących po mnie ton słyszę, że kamień  
nagrobny sobie wybieram, wszak mogę

jeszcze samemu sobie zwiać na przełaj  
lepszyc widoków na przyszłość, co teraz  
się rozpoczyna i natychmiast znika,

że nie wiadomo nawet, skąd się wzięła  
i jakim cudem pod rzęsami wzbiera  
w niebieskich oczach tamtego chłopczyka,

który mnie minął, kulawego, w drodze  
nad morze, spytał: może pomóc panu  
iść? No to idę jakoś lżej, bo jakoś

tak jak zaklęcie: leć na jednej nodze!  
wierzgnęło we mnie razem z odzyskaną  
werwą. Nie szukam znaczeń ani znaku.



## Z Memlinga

Stary i chory, łążę nago,  
bo mi się nie chce ubierać, nikogo  
nie ma, więc tylko samo tremo

sobą obrażam i powagą  
gościa z Memlinga nadrabiam tę błogo  
myloną chęć do objęć z tremą

przed Sądem Ostatecznym, ale  
to jeszcze nie ten dzień ani godzina,  
więc się odwracam jak od siebie

bym się odwracał; idę dalej  
wstecz i się wreszcie całkiem zapominam;  
może mnie z nieba ktoś wygrzebie.

**+P3**

TEATR POLSKI BYDGOSZCZ

**TEATR POLSKI**  
**FESTIWAL PRAPREMIER**  
**BYDGOSZCZ 2012**  
**29.09-07.10**  
**MIĘDZYNARODOWY ANEKS**  
**13-16.10**

[WWW.TEATRPOLSKI.PL](http://WWW.TEATRPOLSKI.PL)  
[WWW.PRAPREMIERY.PL](http://WWW.PRAPREMIERY.PL)

MAREK WENDORFF

## Kolaże, montaże i różne inne awantaże, czyli prapremiery polskie 2012

Specjalistka ds. promocji Teatru Polskiego im. Hieronima Konieczki w Bydgoszcy poinformowała, że akredytacja na tegoroczny Festiwal Prapremier została przyznana na siedem z dwunastu spektakli. Na nic zdały się wyjaśnienia, że nie można opisać całości, widząc tylko jej część. Pani specjalistka pozostała nieugięta.

Na początek z Teatru Rozrywki z Chorzowa „rewia położnicza” duetu Paweł Demirski & Monika Strzępka – *Położnice Szpitala Świętej Zofii*, czyli publicystyka w teatralnych szatkach.

Z *Małego słownika teatru Strzępki i Demirskiego* Witolda Mrozka dowiadujemy się, że jednym z „podstawowych” tematów przedstawień tej pary jest „napięcie pomiędzy »panami« a »chamami«”, a „podstawowe” dla nich pytanie to: „Jak oddać głos tym, którzy są go pozbawieni?” Trzeba przyznać, że iście to gombrowiczowsko-papieskie zadanie!

Ci zbuntowani koniunkturaliści, podczepieni z jednej strony pod „Krytykę Polityczną” i z „Paszportem Polityki” w kieszeni, z drugiej strony deklarują się jako zwolennicy Jarosława Kaczyńskiego, z którym jednak, jak stwierdza Strzępka, nie jest im po drodze, chociaż po drodze jest im z jego elektoratem (to chyba mówi poważnie). W poprzednich przedstawieniach kpili i żartowali m.in. z Andrzeja Wajdy, organizując mu pogrzeb, z ekonomisty Leszka B., a także z Katyńia, który nazwali „elegancką narodową traumą”, tudzież ze sposobów mówienia o Zagładzie i „stosunkach polsko-żydowskich w polskiej kulturze”.

Wszelką krytykę ich przedstawień uznają za wsteczność i konserwatyzm. Dowiadujemy się, że tak mocno kojarzeni są z Teatrem Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, że reżyserom pracującym w tamtejszej placówce zarzucano, że „są »chorzy na Strzępkę« – czyli znajdują się pod jej wpływem”.

Podobno istnieje już „teatr Strzępki i Demirskiego”, a związana z „Krytyką Polityczną” badaczka nazwała sztuki tego drugiego „demidramami”, które, jak wyjaśnia autor *Małego słownika*, są „przypisaniami »kanonicznych« tekstów kultury, od *Ifigenii* po *Czterech pancernych* i od Mickiewicza po *Wajdę*” i jednocześnie stanowią „grę z pojęciem »dramy«, która chociaż dziś kojarzona jest z terapią, to niegdyś, w oświeceniu, była nazwą formy dramaturgicznej, nacechowanej skłonnością do »parafraz i jaskrawych efektów« oraz zaangażowania we współczesność”. Słownictwo i pisownia oryginalne.

Nie tak dawno był Teatr Kantora, Grotowskiego, Szajny, Swinarskiego, Grzegorzewskiego, Dejmka, Axera, Jarockiego i wiele z ich spektakli jest jeszcze do obejrzenia na taśmach, a dziś obok Teatru Wajdy i Lupy mamy teatr wyżej wymienionej pary.

Strzępka kilka lat temu została skazana przez Sąd Okręgowy, gdyż naruszyła dobra osobiste tłumaczki sztuki, dopisując do oryginalnych fragmentów dialogu dowcipy i dokonując przeróbek tak, że zmieniała się jakość i treść tekstu. Jak podaje Mrozek: „Była to jedna z najbardziej widocznych ingerencji wymiaru sprawiedliwości w repertuar teatralny w ostatnim czasie”. Być może w ten sposób Strzępka przejdzie do historii teatru?

Tym razem zajęli się, na kanwie doświadczeń własnych, „tematem położniczym”, gdyż, jak wyjaśnili, „oficjalna propaganda dotycząca tego tematu jest zabetonowana”, chociaż na pytanie, co jest właściwie tematem ich sztuki, nie odpowiedzieli. „W *Położnicach* zestawiamy kilka modeli funkcjonowania rodziny, czy raczej związku dwojga ludzi płci przeciwnej w obliczu pojawienia się potomstwa w drodze prokreacji” – mówi Strzępka, a ja zastanawiam się, jak mówiąc takim językiem można zrobić coś z sensem. I dodaje: „Myślę, że moment przyjścia na świat dziecka jest takim momentem w życiu człowieka, kiedy trzeba bardzo poważnie przemyśleć własny światopogląd. Dziecko daje szansę na weryfikację, jak mocne ma on podstawy i czy w obliczu nowych życiowych okoliczności nie wywali się na pysk”. Wasz się nie wywalił? – pyta dziennikarka, na co Demirski odpowiada: „Powiedzmy, że wymógł na nas aktualizację oprogramowania”. Po czym Strzępka stwierdza, że ich syn ma ponad dwa lata, a oni ciągle nie wiedzą, jak mają go wychować i chyba nigdy się nie dowiedzą.

Na scenie widzimy personel szpitala, czyli sponiewieranego księdza-psychologa, położne i ducha położnej sprzed wojny, ordynatorkę, doktora Wieczorka, nowego ordynatora i „prywatyzatorkę”, trzy „pary rodzące” z noworodkami, szesnaścioro noworodków i dwadzieścia czworo „dzieci generała Franco”. Aktorki i aktorzy występują w białych kitlach, w sutannach, w szlafrokach,

w płaszczach, w koszulach, w marynarkach, w krawatach i półnago, a niektórzy w pampersach. Oglądamy strajk pielęgniarek, parodiowanie rodzenia, ciągnięcie za włosy, bicie po twarzy, kroplówki, parawany, mężczyzn w ciąży, pacjentki symulantki, krzyki, skoki i szamotanie. Śpiewają, skandują i przeklinają, odgrywają jakieś scenki, skecze i brną w tę teatralną sieczkę.

„Cóż z ciebie wyrośnie, o biedne dziecko, w kraju, gdzie panoszą się macho w marynarkach i pampersach, a ojcowie cię nienawidzą, bo nie spełniasz ich oczekiwań” – tak krytyk opisuje akt drugi, który jest, czy powinien być „wyjściem w przyszłość”. Poważnie to pisze, czy żartuje?

Po takim początku mogło być już tylko lepiej. Ale czy było?

*Wszyscy święci* Wojciecha Farugi i Jarosława Jakubowskiego z Teatru Polskiego w Bydgoszczy to w najlepszym razie ponury żart sceniczny, wątpliwej jakości. Z zapowiedzi dowiadujemy się, że jest to „spektakl w konwencji reportażu, z uwzględnieniem prawdziwych historii dotyczących współczesnych fanatyków, świętych, świrów lub po prostu wyrzutków”. *Żywoty świętych osiedlowych* Lidii Amejko widziane na tym festiwalu rok temu, to przy tych „świętych” bydgoskich jest naprawdę coś.

U Farugi i Jakubowskiego trudno znaleźć jakiś sens. Obok pieśni Hildegardy z Bingen słyszymy piosenkę Violetty Villas i walenie w bęben. „Tabernakulum” znajduje się w wiszącej na ścianie apteczce. Jedna aktorka leży na kanapie, druga kręci się po scenie, a trzecia kładzie się na stole.

Oglądamy komiksową opowiadkę bez fabuły, w której widzimy m.in. opryskanego gaśniczą pianką psychiatrę, syna zmieniającego pampersy matce, przemawiającego księdza, który z ładunkiem wybuchowym stoi na telewizorze, panienkę, która jest fanką tanich lakierów do paznokci i kolekcjonerką hostii, które wynosi z kościołów i suszy w suszarce do grzybów, rekonstruktora próbującego zawisnąć na krzyżu, znerwicowaną pielęgniarkę, która ciągle sprząta, bije pacjenta, a potem chce się powiesić. Słyszymy, że „G... jest większym niż zło problemem teologicznym” i temu podobne wypowiedzi.

Żeby coś zrozumieć, zajrzałem do recenzji, z których dowiedziałem się m.in., że Wojciech Faruga „buduje swój spektakl o nieprzyjemnych odmianach specyficznej polskiej religijności i fundującym je resentymencie. *Wszyscy święci* to przestroga przed duchowym samozatruciem, od którego tylko krok do samozapłonu” oraz że „Kościół nie ma nic do zaoferowania poza świętymi figurkami”. Nic do dodania.

W *Nieskończonej historii* Artura Paługi w reżyserii Piotra Cieplaka, z muzyką Jana Duszyńskiego i w wykonaniu aktorów Teatru Powszechnego z Warszawy wróciliśmy do teatru. Tekst jest średni i dajmy spokój, żeby Paługę zestawiać z Białoszewskim. Ale przynajmniej próbuje coś opowiedzieć, rozpisując historię na dwanaście postaci, chociaż podtytuł mówi, że powinno ich być trzydzieści, a do tego chór, orkiestra i suka Aza.

Świetna jest gra aktorów, szczególnie Mariusza Benoita, Cezarego Kosińskiego, Elżbiety Kempieńskiej, Olgi Sawickiej, Marii Robaszkiewicz, Kariny Seweryn i Andrzeja Mastalerza. Znakomita jest reżyseria oraz oprawa muzyczna. Są soliści, jest partytura, orkiestra i dyrygent. Aktorzy grają na przemian solo i w zespole m.in. dwie stare pobożne kobiety, młode małżeństwo, które ciągle się kłóci, pracowniczka McDonalda, czytelnik zachwycony eposem o Gilgameszu, pan w średnim wieku, który żyje w kulcie liczb, kobieta w ciąży i trampdziwak. Słuchamy ich monologów i dialogów, arii i chórów i wszystko to wykonane jest koncertowo.

Postacie łączy opowiadka o jednym dniu ich życia i o śmierci jednej z nich. To mieszkańcy starej kamienicy, bardzo różni, ale ze sobą związani, obdarzający siebie uwagą i emocjami. Monologi i dialogi często są banalne, jak to w życiu bywa, ale uszlachetnia je i podkreca muzyka, czyli forma i rytm całości. „My gramy *Słomkowy kapelusz* – mówi reżyser – a Jan Duszyński ze swoją muzyką jest Eliotem, którego włączyłem do przedstawienia. To specyficzne połączenie kolokwialnego języka z niezwykłą dyscypliną rytmiczną i formalną jest uderzające. Daje zaskakujący rezultat. Pozwala nam rozpoznać codzienność, a jednocześnie ani przez chwilę nie udajemy, że nie jesteśmy w teatrze. To nie jest reportaż, ani publicystyka”. I tak jest.

Ciekawie zastosowane są różne konwencje teatralne. Jest zabawa w musical i są sceny oratoryjne, bardzo teatralne, a obok nich kiczowate scenki. Muzyka w tym przedstawieniu jest jakby ważniejsza od słów – tak bardzo tworzy ten spektakl, że właściwie można by go było z nie mniejszą przyjemnością tylko wysłuchać, chociaż lepiej jest i słuchać i widzieć, bo ważne jest w nim aktorstwo, ruch na scenie, gra świateł i cieni.

W recenzjach tego przedstawienia przeczytałem, że jest ono fascynujące, zachwycające, mądre, najważniejsze w sezonie, budzące entuzjazm i pomyślałem, że nie ma szans na nagrodę w tej matni.

Poza konkursem pokazani zostali *Milusińscy* – egzamin studentów III roku Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie wyre-

zyserowany przez Maję Kleczewską. Jest to sceniczna składanka, która powstała na kanwie „reportaży seksualnych” pt. *Beznadziejna ucieczka przed Basią* Katarzyny Surmiak-Domańskiej oraz filmów dokumentalnych. Dlaczego taki tytuł? Nie wiem. W zapowiedzi podano, że przedstawienie jest „próbą badania granicy między dokumentem a fikcją”.

Czego tu nie ma? Są transwestyci, zaburzenia psychiczne, wyznania gwiazdy filmów porno i erotycznej tancerki. Dziwaczenie, pimpuszenie, przeklinanie, robienie min i puszczenie oka. Studenci są zdolni i sympatyczni, ale biedni, bo zdani w tak delikatnej fazie rozwoju na Kleczewską, która niezła jest w destrukcji, tudzież robieniu jednostronnych prowokacji opartych na wulgarności.

I dalej, jakby na tej samej ścieżce: *Zbrodnia* Michała Buszewicza zrealizowana „na podstawie” *Zbrodni z premedytacją* Witolda Gombrowicza w reżyserii Eweliny Marciniak, z aktorami Teatru Polskiego z Bielska-Białej. O czym jest ten spektakl i jaka jest jego wymowa? Nie wiem. Na pewno nie ma on nic wspólnego z opowiadaniem Gombrowicza. Jest trup, detektyw, matka, córka, syn, ciotka i kontrabasista. „Detektyw wkracza w życie rodziny i zostaje wciągnięty w jej świat”. Rodzina jest „toksyczna”, czyli taka, która „wchłania niczym czarna dziura (...) i wyraca flaki”, jak podają „Teatralia”.

Z aktorów wyróżnia się pełna wigoru Jaśmina Polak, studentka III roku PWST w Krakowie. Dwa razy przebija się przez tapetę z tandetnym malowidłem, pręży się na tle złotych czaszek i kilka czy kilkanaście razy zostaje rzucona na deski przez mniejszego i wåtleszego od niej detektywa; nie wiem, czy dobrze dostrzegłem, ale po tych upadkach miała zakrwawione kolano. Postaci w tradycyjnym rozumieniu tu nie ma, są ich lepsze lub gorsze karykatury.

Czym więc jest ta *Zbrodnia*? Parodią psychoanalizy, parodią erotyzmu i seksualności, czy może parodią kryminału? „Každy z bohaterów tego spektaklu jest zarówno ofiarą jak i zbrodniarzem”, pisze Kwaśniewska w recenzji w tzw. branżowym piśmie „Didaskalia”. W innym omówieniu czytamy, że twórcy „wyostrzyli wątki zawarte u Gombrowicza, nicując jego narrację...”. Ciekaw jestem, jak „wyostrza się wątki” i jak „nicuje narrację”, a tym bardziej jak robi się to z wątkami i z narracją bądź co bądź autora *Kosmosu* i *Pornografii*. W sukurs idzie „Nowa Siła Krytyczna”, której autorka tak objaśnia ten spektakl: „Kto zabija i dlaczego? Kto jest ofiarą, a kto katem? *Zbrodnia* nie daje jednoznacznej odpowiedzi: prawda jest rzeczą nieobiektywną i najczęściej leży po środku. Tak jak w przytoczonej na scenie historii o musze, która zginęła na masce samochodu podczas zderzenia czołowego z drugim autem”.



Czy to są poważni recenzenci? Antoni Słonimski i Irena Sławińska, Konstanty Puzyna i Jan Kott w grobach się przewracają.

Mogę czegoś nie rozumieć, nie widzieć, ale po to jest krytyka teatralna, żeby w komunikatywny sposób naprowadzać na interpretacyjny trop tym bardziej, skoro już mamy do czynienia z „wyselekcjonowanymi przedstawieniami”, które pretendują, bądź co bądź, do miana najlepszej polskiej prapremiery 2012 roku.

Kolejny spektakl to *Aleksandra. Rzecz o Piłsudskim* Sylwii Chutnik w reżyserii Marcina Libera ze wspomnianego wałbrzyskiego Teatru. Jest to „opowieść” o drugiej żonie Marszałka Józefa Piłsudskiego, Aleksandrze, tu pokazanej w trzech postaciach i dziwacznie sfeminizowanej. Na scenie jest woda i są nenufary, wśród nich stoi sofa, na której siedzą, jeśli nie pluszczą się lub nie leżą w wodzie, trzy aktorki. Słyszymy grę na klawesynie i kobiece zespoły punkowe. Raz po raz wchodzi na scenę czteroosobowy chór męski, którego członkowie coś mówią, krzyczą, śpiewają albo śmieją się. A nad tym wszystkim wisi koń i domyślamy się, że jest to atrapa Kasztanki.

Z materiałów teatru dowiadujemy się, że spektakl został zaplanowany jako „współczesny melodramat, odwołujący się do tradycji gatunku, jak również wykorzystujący narzędzie współczesnego języka teatralnego, co powinno przyczynić się do emancypacji tego gatunku”. Jaśniej nie można było?

W podobnej stylistyce prezentowana jest wypowiedź współautora i reżysera: „Ten spektakl jest spontaniczną podróżą w nieznanne. (...) Istnieje duża dowolność interpretacji tego, co się dzieje na scenie. Celowo nie domykamy otwartego. Celowo pewne rzeczy są absurdałne, żeby móc sobie je pooglądać z różnych stron. Ten spektakl to kamień, który mieni się za każdym razem inaczej, ale jest zrobiony z twardej struktury”.

Współczucie budzą moknące w zimnej wodzie aktorki.

Z kolei *Awantura warszawska. Waszyngton – Moskwa – Londyn* Daniela Przystaka i Michała Zadary i w reżyserii tego drugiego, to zrealizowane w 67. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego multimedialne widowisko, próba rekonstrukcji zabiegów dyplomatycznych koalicji antyhitlerowskiej mających miejsce od 1 sierpnia do 5 października 1945 roku, jak stwierdza reżyser: „zderzenie sytuacji w 100% dokumentalnej z sytuacją w 100% skonstruowaną”.

Chodzi się między miejscami akcji, aby się czegoś dowiedzieć, słuchając na przemian Churchilla, Roosevelta, Stalina, a także polskich polityków, m.in. Sosnkowskiego, Mikołajczyka i Bieruta lub siedzi się i ogląda to, co wyświetlane jest na

telebimie. Przez głośniki opowiadana jest historia poszczególnych dni walki, słyszymy strzępy relacji powstańców, a każda ze scen filmowana jest przez dwie kamery.

Co to jest? Teatr faktu, czy coś, co podszywa się pod film dokumentalny? Co z tych scen wynika w sensie poznawczym? Pewnie wiedzą to Przastek i Zadara.

Na koniec wypowiedział się dyrektor programowy i artystyczny Paweł Sztabrowski: „Starałem się zaprosić na festiwal te przedstawienia, które tworzą pełny obraz aktualnej kondycji polskiego teatru. To właśnie było dla mnie najważniejsze i myślę, że się udało. Same spektakle trzymały mniej więcej podobny, równy poziom”.

Jaki festiwal, takie i podsumowanie.

Żał mi aktorów, ich talentów, zapachu i poświęceń, które niszczone są przez tych postnowoczesnych i postteatralnych autorów i reżyserów. Może te spektakle, których nie widziałem, czyli: *Lubiewo* Michała Witkowskiego w reżyserii Piotra Siekluckiego z Teatru Nowego z Krakowa, *Matki/Błagalnice* Einara Schleefa i Ulricha Müller-Schwefa w reżyserii Łukasza Chotkowskiego z Teatru im. Stefana Jaracza z Olsztyna, *Jak być kochaną* Agnieszki Jakimiak w reżyserii Weroniki Szczawińskiej z Bałtyckiego Teatru Dramatycznego z Koszalina, *Ciała obce* Julii Holewińskiej w reżyserii Kuby Kowalskiego z Teatru Wybrzeże z Gdańska, czy *Krwawa jatka* Michała Walczaka w reżyserii Łukasza Kosa z Grupy Coincidentia z Białegostoku, były na wyższym poziomie?

Werdykt jury – malarki i scenografki Aleksandry Semenowicz, teatrologa i menedżera Krzysztofa Domagalika oraz dziennikarza i krytyka Jacka Cieślaka – nie był trudny do przewidzenia. Za reżyserię nagrodzono Ewelinę Marciniak. Nagrodę dla autorów dostali Wojciech Faruga i Jarosław Jakubowski, a za najlepszych w przekazywaniu „społecznych treści” uznano Monikę Strzępkę i Pawła Demirskiego. Grand Prix przyznano spektaklowi *Lubiewo* za „bezkompromisowe i artystycznie oryginalne przełamanie tabu w przedstawieniu atrakcyjnego medialnie tematu”. Nagrody aktorskie otrzymali Jaśmina Polak ze *Zbrodni* i Paweł Sanakiewicz za rolę w *Lubiewie*, a honorowo wyróżniono Elżbietę Okupnik (Ordynatorka), Małgorzatę Trofimiuk (Pielęgniarka) i Marka Tyndę za rolę Adama/Ewy w *Ciałach obcych* oraz *Awanturę warszawską*.

# RENATA SENKTAS

## Czwartek, piątek

Ewie Ayton

Na zegarach za piętnaście ósma, mówi radio,  
i KARCZEW DO WARSZAWY za jakieś pół godziny.  
W Londynie rzecz jasna jest o godzinę wcześniej.  
W Sajgonie jest później  
ale, Kotuś, która?

Właściwie to tobie opowiem ten wiersz

bo dzień ma dziś coś zamknąć albo coś  
otworzyć, czyli całkiem jak wczoraj, powiesz,  
bo wróciłaś już i w końcu byłaś u Kabula.  
Więc może obeszła cię też inna wieść?

O pająkach

co wreszcie skończyły swe dzieło:  
całość zabrała cztery, może osiem lat  
(o kurka siwa! ot, rozbieżność w mediach)  
i trafiła do muzeum.  
Raz tylko w roku taka złota sieć  
z której będzie przędza, z której będzie płaszcz.  
Pająki podobno nic nie ucierpiały,  
nazywają się, jak dawniej – Nephilia

zaś z maszyn, co snuły ten jedwab  
wysnuła się baśń: wyobraź sobie  
zwoje, szpule, opowieści z nici,  
nici z opowieści.

Bo nawet kiedy będzie już po wszystkim  
i odjedzie 8 milionów

wietnamskich motocykli, i te przewiozą  
szczęście w doniczkę, a tamte dobrobyt,  
to ich koła będą zapętleć  
ślady całej naszej trójki, w nieskończoność

## Dwie fotki z Otwocka

Sam widzisz, kto uwierzy  
w reprinty, źródła?

Gąszcz akacji: to jest dom  
w którym mieszkał.  
Już go tu nie ma.

Wywrócona sosna, piasek, ślady kół:  
a ten miał być twój, Mój,  
mówisz, i już go nie masz.

ALEKSANDRA OPALIŃSKA

## Oczekiwanie

ciało może być słońce wyrzucać z siebie  
krople palące w język może leżeć bez ruchu  
czarne jak wynajęty garnitur na ostatnią podróż  
kobieta albo mężczyzna obcy człowiek bliska osoba  
dziecko zatrzymane na krawędzi lustra  
chłopiec niosący przed sobą skrzynię pełną skarbów  
śmierci którą zakopuje się w ziemi i czeka  
aż się obudzi z wczorajszego snu

## Słowa

teraz kiedy świat rozjaśnia lampka nocna  
twoje słowa wpadają do środka moich źrenic

czytam je bez poruszania rzęsami  
są niebieskie i ciepłe jak rozgrzane niebo  
mogę z nimi rozmawiać jak z kimś obecnym  
kogo się widzi i czuje  
czcionka jest trawą zieloną i soczystą wyrasta z białej kartki  
dotyka ust  
powietrzem wpadającym przez okno

## Nadzieja

chwila która zapada w ciemność  
i podnosi się z ciemności jest nadzieją  
można ją nosić pod powieką albo wymachiwać  
jak białą chusteczką na pustym peronie  
gdzie tylko widok zwiastujący kogoś w oknie pociągu  
może przeciągnąć linę nad suchą rzeką  
po której będą biec słowa  
tam i z powrotem

poezja  
proza  
esej  
dzienniki  
listy  
rozmowy  
recenzje  
noty o książkach  
numery  
monograficzne  
najwybitniejsi  
pisarze  
współcześni

**KWARTALNIK  
ARTYSTYCZNY**

„... jest pismem,  
na które zawsze czekam”  
Wisława Szymborska

„...to pismo niezastąpione...”  
Krystyna Zachwatowicz  
Andrzej Wajda

„...jest jednym z najważniejszych  
pism literackich w Polsce”  
Michał Głowiński

„...druk w tym piśmie  
uważam za wyróżnienie”  
Julia Hartwig

**kwartalnik.art.pl**



# NUMERY MONOGRAFICZNE I TEMATYCZNE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

- JERZY ANDRZEJEWSKI: 4/1997 (16), 4/2009 (64)  
FRANCIS BACON: 4/2005 (48)  
SAMUEL BECKETT: 4/1996 (12), 4/1999 (24), 3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2008 (60), 4/2010 (68)  
THOMAS BERNHARD: 2/2009 (62), 3/2009 (63)  
JAN BŁOŃSKI: 1/2010 (65)  
LOUIS BOURGEOIS: 4/2011 (72)  
LOUIS-FÉRDINAND CÉLINE: 1/1998 (17)  
STEFAN CHWIN: 3/2010 (67)  
EDITIONS DE MINUIT: 2/2000 (26), 3/2001 (31)  
ALBERTO GIACOMETTI: 2–3/2003 (38–39)  
ALLEN GINSBERG: 3/1997 (15)  
MICHAŁ GŁOWIŃSKI: 2/2010 (66)  
JULIA HARTWIG: 3/2011 (71)  
ZBIGNIEW HERBERT: 2/1999 (22), 2/2008 (58)  
KAZIMIERZ HOFFMAN: 1/1999 (21), 4/2008 (60)  
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI: 1/2006 (49)  
MICHAŁ ANIOŁ: 1/2008 (57)  
ARTUR MIĘDZYRZECKI: 3/2007 (55)  
CZESŁAW MIŁOSZ: 2/2001 (30), 3/2004 (43), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52), 4/2007 (56), 3/2008 (59), 2/2011 (70)  
ROBERT PINGET: 2/1998 (18)  
HAROLD PINTER: 1/2005 (45)  
EZRA POUND: 3/1998 (19)  
TADEUSZ RÓŻEWICZ: 3/2002 (35), 2/2006 (50), 4/2011 (72)  
WISŁAWA SZYMBORSKA: 1/2012 (73)  
SUHRKAMP VERLAG: 4/1998 (20)  
KS. JAN TWARDOWSKI: 3/1998 (19)  
LITERATURA CZESKA: 2/1997 (14)  
LITERATURA IZRAELSKA: 1/2000 (25), 4/2004 (44)  
LITERATURA ROSYJSKA: 2/1996 (10)  
POECI AMERYKAŃSCY: 1/1999 (21)  
POECI CHORWACCY: 1/2008 (57)  
POECI MACEDOŃSCY: 1/2009 (61)  
POECI Z SARAJEWA I ZE SŁOWENII: 3/1995 (7)

# GŁOSY I GŁOSY W „KWARTALNIKU ARTYSTYCZNYM”

1996 nr 4 (12)

– Samuel Beckett

Samuel Beckett, Vaclav Havel, Edward Beckett, Andre Bernold, Roger Blin, Harold Bloom, Gotfried Büttner, John Calder, Steven Connor, Ria Endres, Charles Juliet, Martin Esslin, Georges Pelorson (Belmont), Rosemary Poutney, David Warrilow, Billie Whitelaw, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Myszkowski

1997 nr 4 (16)

– Jerzy Andrzejewski

Aleksander Fiut, Henryk Grynberg, Jarosław Klejnocki, Julian Kornhauser, Ryszard Matuszewski, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Wajda, Andrzej Fiett

1998 nr 3 (19)

– 5 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Jacek Bocheński, Jerzy Giedroyc, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Ryszard Kapuściński, Zygmunt Kubiak, Stanisław Lem, Czesław Miłosz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Józef Szczepański, ks. Jan Twardowski, Andrzej Wajda

1999 nr 2 (22)

– Zbigniewowi Herbertowi *in memoriam*

Alain Besançon, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jerzy Gizella, Krzysztof Karasek, Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Bronisław Maj, Czesław Miłosz, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, ks. Jan Twardowski, Zbigniew Żakiewicz

2001 nr 2 (30)

– Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin Krzysztof Myszkowski, Julia Hartwig, Joanna Pollakówna, Stanisław Lem, Jan Józef Szczepański, Jan Błoński, Irena Sławińska, Aleksander Fiut, Janusz Szuber, Zofia Zarębianka

2002 nr 1 (33)

– o *Drugiej przestrzeni* Czesława Miłosza

Jacek Bolewski SJ, Mirosław Dzień, Krzysztof Myszkowski

2002 nr 4 (36)

– o *Orfeuszu i Eurydyce* Czesława Miłosza

Irena Sławińska, Krzysztof Myszkowski, Zbigniew Żakiewicz

2003 nr 2–3 (38–39)

– Alberto Giacometti

Ernst Scheidegger, Jean-Paul Sartre, Jean Genet, David Sylvester, Jacques Dupin, Tahar Ben Jelloun, Charles Juliet, Magnus Hedlund

2003 nr 4 (40)

– 10 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Krzysztof Myszkowski, Julia Hartwig, Czesław Miłosz

2004 nr 3 (43)

– Czesławowi Miłoszowi *in memoriam*

Jan Paweł II, Marzena Broda, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Grzegorz Kalinowski, Julian Kornhauser, Ryszard Krynicki, Antoni Libera, Rafał Moczkoan, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Ewa Sonnenberg, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Wisława Szymborska, Zbigniew Żakiewicz

2005 nr 3 (47)

– w 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosza

Kazimierz Brakoniecki, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Bogusław Kierc, Janusz Kryszak, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Grażyna StrumiHo-Miłosz, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, Bolesław Taborski, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 2 (50)

– na 85. urodziny Tadeusza Różewicza

Wisława Szymborska, Robert Cieślak, Mirosław Dzień, Anna Frejlich, Aleksander Jurewicz, Bolesław Kierc, Olga Lalić, Jacek Łukasiewicz, Piotr Michałowski, Stanisław Różewicz, Andrzej Skrendo, Piotr Sommer, Agata Stankowska, Leszek Szaruga, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 3–4 (51–52)

– o *Wierszach ostatnich* Czesława Miłosza

Julia Hartwig, Agnieszka Kosińska, Mirosław Dzień, Aleksander Jurewicz, Julian Kornhauser, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2007 nr 3 (55)

– o Arturze Międzyrzeckim

Aleksander Jurewicz, Wojciech Ligęza, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2008 nr 2 (58)

– w 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta

Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Maria Kalota-Szymańska, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Piotr Michałowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Kazimierz Nowosielski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2008 nr 4 (60)  
– o *Znakach* Kazimierza Hoffmana  
Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Leszek Szaruga

2009 nr 1 (61)  
– o *Tutaj* Wisławy Szymborskiej  
Edward Balcerzan, Aleksander Jurewicz, Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Zofia Król, Krzysztof Myszkowski, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 2 (62)  
– o *Jasne niejasne* Julii Hartwig  
Krystyna Dąbrowska, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 4 (64)  
– w 100. rocznicę urodzin  
Jerzego Andrzejewskiego  
Julia Hartwig, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Dariusz Nowacki, Leszek Szaruga

2010 nr 1 (65)  
– w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego  
Aleksander Fiut, Marek Kędziński, Paweł Mackiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga

2010 nr 2 (66)  
– o *Kręgach obcości* Michała Głowińskiego  
Julia Hartwig, Wojciech Gutowski, Wojciech Ligęza, Jacek Łukasiewicz, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Skrendo, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Wojciech Tomasiak

2011 nr 2 (70)  
– najważniejsze książki i wiersze Czesława Miłosza  
Jacek Bolewski Sj, Kazimierz Brakoniecki, Václav Burian, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Olga

Glondys, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Henryk Grynberg, Jacek Gutorow, Wojciech Gutowski, Julia Hartwig, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, ks. Janusz A. Kobierski, Antoni Libera, Krzysztof Lisowski, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Leszek Aleksander Moczulski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Mieczysław Orski, Jerzy Plutowicz, Jan Polkowski, Marek Skwarnicki, ks. Jan Sochoń, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Andrzej Szuba, Janusz Szuber, Marta Wyka, Joanna Zach, Andrzej Zawada

2011 nr 3 (71)  
– na 90. urodziny Julii Hartwig  
Wisława Szymborska, Jacek Bocheński, Kazimierz Brakoniecki, Renata Gorczyńska, Anna Janko, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka, Leszek Szaruga

2012 nr 1 (73)  
– *Wisławie Szymborskiej in memoriam*  
Julia Hartwig, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Wojciech Gutowski, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 2 (74)  
– o *Wystarczy* Wisławy Szymborskiej  
Julia Hartwig, Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

## MISTRZOWIE LITERATURY W FILHARMONII

WILLIAM STAFFORD  
ALLEN GINSBERG  
CZESŁAW MIŁOSZ  
ANDERS BODEGÅRD  
ADAM ZAGAJEWSKI  
RYSZARD KRYNICKI  
KS. JAN TWARDOWSKI  
ZYGMUNT KUBIAK  
JULIA HARTWIG  
PIOTR SOMMER

## ROZMOWY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

- z AGNIESZKĄ HOLLAND: 0/1993  
z JÓZEFEM TISCHNEREM: 1/1994  
z TADEUSZEM RÓŻEWICZEM: 2/1994  
z CZESŁAWEM MIŁOSZEM: 3/1994, 3/2000 (27), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52)  
z MICHAŁEM GŁOWIŃSKIM: 3/1994, 2/2010 (66)  
z TADEUSZEM KANTOREM: 4/2010 (68)  
z JOHNEM BANVILLEM: 1/1995 (5)  
z JANUSZEM STYCZNIEM: 2/1995 (6)  
z MARIANEM CZUCHNOWSKIM: 3/1995 (7)  
z JANEM BŁOŃSKIM: 4/1995 (8), 2/2010 (66)  
z EUGÉNEM IONESCO: 1/1996 (9)  
z JACKIEM BACZAKIEM: 1/1996 (9)  
z KRYSZYŃKĄ I CZESŁAWEM BEDNARCZYKAMI: 3/1996 (11)  
z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM: 2/1997 (14), 1/2006 (49)  
z ALLENEM GINSBERGIEM: 3/1997 (15)  
z ZYGMUNTEM KUBIAKIEM: 4/1997 (16)  
z ROBERTEM PINGETEM: 2/1998 (18)  
z RYSZARDEM KRYNICKIM: 2/1998 (18)  
z KS. JANEM TWARDOWSKIM: 3/1998 (19)  
z THORSTEM AHRENDEM (SHURKAMP VERLAG): 4/1998 (20)  
z JAROSŁAWEM MARKIEM RYMKIEWICZEM: 4/1998 (20)  
z PAWŁEM HERTZEM: 4/1998 (20)  
ze STANISŁAWEM LEMEM: 4/1998 (20)  
z GUSTAWEM HERLINGIEM-GRUDZIŃSKIM: 1/1999 (21), 1/2000 (25)  
z KAZIMIERZEM HOFFMANEM: 1/1999 (21), 4/2008 (60)  
z JULIANEM KORNHAUSEREM: 3/1999 (23)  
z JÉRÔME LINDONEM (EDITIONS DE MINUIT): 2/2000 (26)  
z IRÈNE LINDON (EDITIONS DE MINUIT): 3/2001 (31)  
z ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)  
z JAMESEM LORDEM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)  
z ERNSTEM SCHEIDEGGEREM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)  
z JULIĄ HARTWIG: 2/2004 (42)  
z FRANCISEM BACONEM: 4/2005 (48)  
z BARBARĄ BRAY o SAMUELU BECKETCIE: 3–4/2006 (51–52), 4/2008 (60)  
MAREK KĘDZIERSKI i KRZYSZTOF MYSZKOWSKI o SAMUELU BECKETCIE:  
3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2010 (68)  
z ROSWITHĄ QUADFLIEG o SAMUELU BECKETCIE: 1/2007 (53)  
z WALTEREM D. ASMUSEM: 1/2007 (53)  
z ALEKSANDREM FIUTEM: 2/2008 (58)  
z MARKIEM SKWARNICKIM: 1/2009 (61)  
z EWA LIPSKĄ: 1/2009 (61)  
z THOMASEM BERNHARDEM: 2/2009 (62)  
z PETEREM FABJANEM o THOMASIE BERNHARDZIE: 2/2009 (62)  
ze STEFANEM CHWINEM: 3/2010 (67)  
z ANDRZEJEM BUSZĄ o CZESŁAWIE MIŁOSZU rozmawia ALEKSANDER FIUT: 2/2011 (70)  
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI w rozmowach z TADEUSZEM RÓŻEWICZEM: 4/2011 (72)  
z MARIE-LAURE BERNADAC rozmawia EWA WOHN: 4/2011 (72)  
z ULFE KÜSTEREM rozmawia MAREK KĘDZIERSKI: 4/2011 (72)  
z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ rozmawiają KRYSZYŃKA i STEFAN CHWINOWIE: 1/2012 (73)  
RENATA GORCZYŃSKA w rozmowach z JULIĄ HARTWIG: 2 i 3/2012 (74 i 75)  
z JANUSZEM SZUBEREM rozmawia MAŁGORZATA SIENKIEWICZ: 3/2012 (75)

# ANKIETY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

## Po co piszę?

Czesław Miłosz – nr 4/1995 (8), Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser – nr 1/1996 (9), Jan Józef Szczepański, Tadeusz Konwicki, Zbigniew Żakiewicz, Aleksander Jurewicz, Andrzej Stasiuk – nr 2/1996 (10), Henryk Grynberg, Stefan Chwin, Kazimierz Brakoniecki – nr 3/1996 (11), Tadeusz Różewicz, Urszula Koziół – nr 4/1996 (12), Michał Głowiński, Bogdan Czaykowski – nr 1/1997 (13), Kazimierz Hoffman, Janusz Styczeń – nr 2/1997 (14), Grzegorz Musiał, Krzysztof Karasek – nr 3/1997 (15), Florian Śmieja, Maciej Niemiec – nr 4/1997 (16), Bolesław Taborski, Ewa Sonnenberg – nr 1/1998 (17), Marek Kędzierski, Leszek Szaruga – nr 2/1998 (18), Ludmiła Marjańska, Janusz Szuber, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski, Bohdan Zadura – nr 3/1998 (19), Adriana Szymańska, Ewa Kuryluk, Urszula M. Benka – nr 4/1998 (20), Józef Kurylak, ks. Jan Sochoń – nr 1/1999 (21), Ryszard Kapuściński, Aleksandra Olędzka-Frybesowa – nr 2/1999 (22), Maciej Cisło, Mirosław Dzień, Piotr Szewc – nr 3/1999 (23), Krzysztof Ćwikliński, Krzysztof Lisowski – nr 4/1999 (24), Stanisław Lem – nr 1/2000 (25), Anna Nasiłowska, Tomasz Jastrun, Jarosław Klejnocki – nr 2/2000 (26), Maria Danilewicz-Zielińska, Jerzy Gizella – nr 3/2000 (27), Małgorzata Baranowska, Teresa Ferenc, Bogusław Kierc – nr 4/2000 (28), Jacek Bolewski SJ, Jacek Łukasiewicz, Artur Szłosarek – nr 1/2001 (29), Zbigniew Jankowski, Kazimierz Nowosielski – nr 2/2001 (30), Joanna Pollakówna, Janusz Anderman, Jerzy Pilch, Wojciech Wencel – nr 3/2001 (31), Anna Janko, Piotr Michałowski, Piotr Mitzner – nr 4/2001 (32), Katarzyna Boruń, Bogusława Latawiec, ks. Janusz A. Kobierski, Henryk Waniek – nr 1/2002 (33), Krzysztof Myszkowski – nr 2/2002 (34).

## Trzy wiersze

Czesław Miłosz – nr 3/1997 (15), Stanisław Lem – nr 4/1997 (16), Jan Józef Szczepański – nr 1/1998 (17), Ryszard Krynicki – nr 2/1998 (18), ks. Jan Twardowski – nr 3/1998 (19), Jarosław Marek Rymkiewicz – nr 4/1998 (20), Kazimierz Hoffman – nr 1/1999 (21), Julian Kornhauser – nr 2/1999 (22), Leszek Szaruga – nr 3/1999 (23), Piotr Sommer – nr 4/1999 (24), Gustaw Herling-Grudziński – nr 1/2000 (25), Maria Danilewicz-Zielińska – nr 2/2000 (26), Ryszard Kapuściński – nr 3/2000 (27), Michał Głowiński – nr 4/2000 (28), Zbigniew Żakiewicz – nr 1/2001 (29), Bogusław Kierc – nr 3/2001 (31), Julia Hartwig – nr 2/2004 (42).

## Jaki jest teraźniejszy stan literatury polskiej?

Czesław Miłosz – nr 3/2001 (31), Henryk Grynberg, Stanisław Lem, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 4/2001 (32), Julia Hartwig, Jerzy Gizella, Mieczysław Orski, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski – nr 1/2002 (33), Ludmiła Marjańska, Adriana Szymańska, Edward Balcerzan, Kazimierz Brakoniecki – nr 2/2002 (34), Anna Nasiłowska, Mirosław Dzień, Michał Głowiński, Jarosław Klejnocki, Kazimierz Nowosielski – nr 3/2002 (35), Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Piotr Michałowski, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski – nr 4/2002 (36).

## Po przełomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009

Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 1/2009 (61), Mirosław Dzień, Andrzej Zawada – nr 2/2009 (62), Anna Nasiłowska, Ewa Sonnenberg – nr 3/2009 (63), Wojciech Ligęza, Arkadiusz Morawiec, Andrzej Skrendo – nr 4/2009 (64).

## BIBLIOTEKA „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”



- Grzegorz Musiał, *Al Fine*, Gdańsk 1997  
 Mirosław Dzień, *Cierpliwość*, Warszawa 1998  
 Michał Głowiński, *Czarne sezony*, Warszawa 1998  
 Jarosław Klejnocki, *W drodze do Delft*, Warszawa 1998  
 Piotr Matywiecki, *Zwyczajna symboliczna prawdziwa*, Warszawa 1998  
 Krzysztof Myszkowski, *Funebre*, Warszawa 1998  
 Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, Warszawa 2000  
 Maria Danilewicz-Zielińska, *Biarke Konopnickiej*, Warszawa 2000  
 Janina Kościółkowska, *Bił me!*, Warszawa 2000  
 Grzegorz Musiał, *Dziennik z Iowa*, Warszawa 2000  
 Grzegorz Musiał, *Kraj wbronionej miłości*, Warszawa 2001  
 Jerzy Andrzejewski, *Dziennik paryski*, Warszawa 2003  
 Mieczysław Orski, *Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*, Warszawa 2003  
 Tadeusz Nowakowski, *Obóz Wszystkich Świętych*, Warszawa 2003  
 Kazimierz Hoffman, *Znaki*, Bydgoszcz 2008

STEFAN CHWIN

## Dawne słowa

Ałun był biały i kruchy jak kostka cukru. Stał w łazience na parapecie obok pędzla do golenia i czasami ciemniał od kropli krwi, gdy Ojciec zaciął się przy goleniu i kruchą biel przykładał do szyi, zaróżowionej od dotknięć żyłką. Pochodzenie ałunu było tajemnicze. Sięgało w zimną głębinę Ziemi, skąd ałun – jak sobie wyobrażałem – wyłamywano kilofami ze skał, podobnie jak z głębi Ziemi wyłamywano kilofami szare kawałki krystalicznej soli. Ałunu nie wolno było lizać. Ten zakaz, rzucany mimochodem podczas przemarszów do łazienki, nadawał mu charakter rzeczy trującej, która mogła poparzyć czubek języka. Choć ałun był kamieniem, poprzez swoją zdolność wchłaniania krwi – a więc nasiąkliwą porowatość, spragnioną żywej wilgoci – był dziwnym zaprzeczeniem wszystkiego, co wiedziałem o kamieniach. Gdy oświetlało go słońce, na kruchych brzegach opalizował tęczowymi kolorami, jak muszla wyciągnięta z ciepłej wody tropikalnego oceanu.

Kryształowe i porcelanowe cacka, naczynia i puzderka z laki leżały na półkach etażerki. Był to – jak dzisiaj byśmy powiedzieli, zastępując słowa dawne słowami nowszymi – regał z mahoniowego drewna o różowawym, azjatyckim odcieniu, wytarty na brzegach, niewysoki, z delikatnymi ozdobami z siatkowej rafii, którego żeńska nazwa pachniała oddalonym Paryżem, wytworną francuszczyzną, znaną mi tylko z filmów i książek. W rozmowach, jakie prowadziły Matka z Babcią, wojenne wygnanki z Warszawy, etażerka pojawiała się zwykle obok tajemniczego szezlonga, o którym wiedziałem tylko, że służy do siedzenia. Było to coś długiego, fantazyjnie wygiętego, wspartego na krzywych nogach, kanapowatego, obciążonego grubą, szorstką materią w wielkie fioletowo-zielone kwiaty, na czym można się było sennie wyciągnąć z rękami pod głową i drzemać bez jednej myśli. Szezlong należał do rzeczy nieistniejących, które spłonęły razem z całym mieszkaniem rodziny C. w Powstaniu, ulatując płatkami spalonej materii w chmurę dymu pod sierpniowe słońce roku czter-



dziestego czwartego, gdy dom Babci na Kwiatowej podpalili Ukraińcy z brygady Dirlewangera.

To właśnie z tamtego, warszawskiego domu pochodziło równie tajemnicze słowo lambrekin, pobrzmiwające włoskimi aromatami. Lambrekin ciągnął się pod sufitem – mosiężna rura o zielonawym odcieniu, z kulami na obu końcach, po której przesuwaly się żabki, trzymające metalowymi ząbkami białą tkaninę firanki, udrapowaną w miękkie, pajęczce fałdy. Lambrekin był przytwierdzony do ściany nad oknem na dwóch łapowatych podpórkach z mosiądzu i wydawał szorstki, metaliczny dźwięk, gdy matka długim, stanowczym ruchem ręki przy pomocy kija od szczytki w każde rano odsłaniała firankę, by do pokoju, wystygłego po nocy, wpuścić iluzyjną zapowiedź dobrej pogody. Mosiężne kółka wędrowały po obłym metalu, brzęcząc cicho jak odkładane na stół platerowe sztucce.

Zapalając światło w pokojach naciskało się na kontakt z ebonitu. Wszystkie kontakty były czarne albo brązowo-czarne, bo ebonit miał taką barwę, ciemną i przydymioną. Wiedziałem, że jest to tworzywo sztuczne, dzieło mądrości chemicznej, zawsze ciepłe i lekkie, niepodobne do rzeczy zrobionych z metalu. Ebonitowe kontakty były wypukłe, wystawały ze ściany jak czarne narośle połączone ze sobą rurkami z drutami elektrycznymi w środku, które pięły się po ścianach prostokątnym zygzakiem, przyłączone do tynku błyszczącymi blaszkami. Ebonit palił się opornie, gdy jesienią do ogrodowego ogniska wrzucaliśmy zużyte rzeczy, resztki po remoncie pokoju. Pod wpływem ognia marszczył się na powierzchni, puchł bąblowato, wzbierał czarno-czerwonymi bańkami, pękał z sykem, zanim nie zmienił się w żuźlowatą masę, kruchą i stwardniałą na brzegach jak spotworniały sopel czarnego lodu.

Z ebonitu całe było małe radio o nazwie Tesla, które stało na etażerce obok kryształów, nie większe od pokaźnej cegły, bez okienka z fosforyzującym wskaźnikiem z nazwami radiowych stacji. Radiowy ebonit był gładki, wpadał w chłodny odcień grafitu, zawsze bezradnie podatny na zranienia, rysy i skałeczenia, gdy przesuwał radio pod okno, zaczepialiśmy niedbale boczną ścianką o ostrą, szlifowaną krawędź któregoś z kryształów. Kurz, który na nim osiadał, miał lekkość wczesnopaździernikowego szronu. Po pociągnięciu palcem, zostawał na nim czarny, nagrobny ślad, wilgotny i świeży. To właśnie do tego czarnego pudełka z obłymi rogami ojciec przykładał ucho, jak do piersi chorego, wsłuchując się w trzaski i potężne rżenia zagłuszarki, która nie pozwalała się przedrzeć do naszego domu dźwiękom z Londynu.

Totalitaryzm totalitaryzmem, ale jakaż to była przyjemność – wtedy niedoceniana – tak iść sobie ulicą, wracając ze szkoły po trzeciej lekcji, a więc w samo

południe i słyszeć, jak z otwartych okien – wszystkich otwartych okien w całej dzielnicy – płyną te same mosiężne dźwięki krakowskiego hejnału, nadawane z wieży kościoła Mariackiego przez Polskie Radio. Metaliczne dźwięki hejnału dzwoniły w powietrzu południa, załamywały się w korytarzach i przejściach, ślizgały się po szybach otwartych okien, wprawiając szkło w niewidzialne drżenie, a wszystko to – lekkie, zabarwione aromatem kwitnących ogrodów – zmieniało komunistyczną Polskę w domową okolicę, w której wszyscy, nawet ci, którzy się wzajemnie nienawidzili, lubili słuchać w południe dźwięków wydawanych przez mosiężną trąbkę krakowskiego strażaka. Dźwięki hejnału to wzbijały się, to gasły w listowiu jabłoni i śliw, to przeciekały przez ażurowe korony brzoź, zszywając odległe domy pajęczą nicią chwilowego porozumienia, która nagle na kilka chwil łączyła obcych.

A wszystko to dzięki kukuruźnikom. Nie, nie chodziło wcale o samoloty radzieckiej produkcji, które przelatywały nad domami znad niedalekiego lotniska w stronę morza, nie za szybko, nie za wolno, śmiesznie terkocząc, jakby pilot podczas lotu prawą ręką kierował maszyną, a lewą kręcił terkoczącą maszynką do mielenia kawy, prósząc na miasto palonymi ziarnami spod chmur. Kukuruźniki były ruskie, ale swoim niepoważnym wyglądem – ażurowo-szkieletowe, dwupłatowe, obciążone gumowanym płótnem szarozielonej, podwodnej barwy, na którym wymalowano biało-czerwoną szachownicę, znak polskiego lotnictwa, łagodziły straszność Rosji, kołyszając się w przelotach ze skrzydła na skrzydło pod byle podmuchem nadmorskiego wiatru. Więc nie chodziło wcale w tej ruskiej nazwie, w której kukurydza zagadkowo mieszała się z dróżnikiem, o te dziwne samoloty, podobne do dziecięcej zabawki nakręcanej na kluczyk.

Kukuruźniki to były radiodbiorniki zamontowane w mieszkaniach na ścianie, drewniane skrzyneczki z jasnego jesionu, obciążone karbowanym, szorstkim materiałem o żółtawym odcieniu, który zasłaniał siatkową membranę głośnika. Z boku obracało się pokrętkiem z ebonitu, które służyło tylko do włączania i wyłączania, bo kukuruźniki nie miały skali ze szkiełkiem, na którym figurowały nazwy radiowych stacji. Program radiowy był tylko jeden, warszawski, na całą Polskę, od Wybrzeża do Tatr i słuchając kukuruźnika, mogłeś mieć pewność, że w tej magicznej chwili jesteś częścią milionowej rzeszy radiosłuchaczy, którzy słuchają tego, co ty, mimochodem, przy okazji różnych domowych zajęć, nie przerywając sprzątnia, gotowania i prasowania. W mieszkaniach rzeczy domowe szły swoim torem, a tu ze wszystkich okien informowano nas, mieszkańców dzielnicy, o bieżącym stanie wody na Bugu, Wiśle i Narwi, który był podawany pełnym powagi głosem spikera, niczym wojenne obwieszczenie zbliżającego

się bombardowania, ale ten południowy głos spikera o Bugu, Narwi oraz Wiśle pod Zawichostem miał w sobie uspokajającą siłę, dawał do zrozumienia, że nic złego nie może się stać pod słońcem, dopóki wskaźniki stanu wody są odczytywane przez polskich meteorologów. Potem dzwonieniem kilofów wkrczał na radiową antenę S t a l i n o g r ó d, który przed wojną nazywał się po prostu Katowice i zaczynała się polityka.

Kukuruźniki wysyłały w przestrzeń komunikaty o stanie polskich rzek, zapewniały, że wszystko w porządku w hutach i stoczniach i choć nad światem wisiał portret Stalina, w ogrodach i na podwórkach było jasno od rzęskiego słońca, a na czereśni, odziobywanej przez wróble i szpaki, słońce obracało liśćmi, załamując się blaskami na lśniącej zieleni, która co parę chwil wzburzała się z niecierpliwym szelestem pod lekkimi popchnięciami wiatru.

Czas był straszny, ale czerwcowe niebo, piękne i nieskończenie wysokie, sprawiało, że dziecko czuło się bezpieczne, nietykalne, swobodne i nieobecne, porzucone w dobrej chwili przez szkołę, umieszczone poza historią dorosłych, otoczone zapachem agrestowego powietrza, w którym nieśpiesznie dojrzewały żółte papierówki na starej jabłoni, a pomidory, ciężkie od czerwieni, z lekkim nalotem żółtego kurzu na skórce, grzały się w słońcu, starannie podwiązane kolorowymi szmatkami do wysokich tyczek.

W piekarni z wysokim kominem, poczeriałym od dymu, kupowało się chleb sandomierski, okrągły, ponacinany po wierzchu, chrupiący chleb zakopiański, podłużne jak liść b u ł k i s z w e d k i z jaśniejszym rowkiem na grzbiecie, brązowe rogalce obsypane makiem, tortowe ciastka o nazwie stefanka, oprószone cukrem, plastrowate, spiętrzone napoleonki, w których dawało się wyczuć ciemny zapach miodu i skórki cytrynowej, utartej na drobnej tarce i wsypywanej do mąki. Ziemniaki, które kupowało się w wozowni u pana L., nie miały nazw, nazywały się tylko ziemniakami, nikt nie myślał o subtelnych odmianach tej podstawowej potrawy, tak jak żółty ser nazywał się po prostu żółtym serem. Stojąc w kolejce po masło, słyszałem, jak ktoś mówił na pieczoną kurę p u l a r d a. Landrynki piętrzyły się w szklanym słoju na ladzie z blaszanym blatem, podobne do pokruszonych, pokrytych szronem rubinów i ametystów. „Płynny owoc” w zielonych butelkach z czerwonawą naklejką stał rzędami na półkach sklepu spożywczego, a brązowe butelki piwa, przenoszone z brzękiem w skrzynkach z surowego drewna, wetknięte w kratkę z listewek, otwierane kciukiem przez mężczyzn stojących pod kępą bzu, trzaskały pryśnięciem piany spod porcelanowego krachla, którego różową gumkę, przytrzymywał sprężynowaty haczyk z mocnego drutu. Krachle były kremowobiałe, dopasowane ciasno do butelko-

wej szyjki, a kiedy odpadały od ujścia butelki, podzwaniały, uderzając o szkło mokre od ściekającej piany. Robotnicy, pijący „Piwo Jasne”, mieli na głowach oprychówki, płaskie czapki z grubego sukna, z ostrym, ptasim daszkiem, przysłaniającym oczy, chodzili w granatowych watówkach z gęstym stebnowaniem i gumowcach z filcową cholewą. Niektórzy nosili na głowach granatowe berety z antenką, skrawkiem filcu, małym jak obcięty krótko ogonek myszy, który sterczał na czubku głowy. Palono sporty i giewonty, papierosy bez żadnych filtrów, wtykane w spierzchnięte usta, zwitki brudnawej bibułki o ostrym smrodliwym zapachu, który mało komu przeszkadzał...

Jeszcze musiało minąć trochę czasu, zanim pojawiły się d e g o l ó w k i i o r t a l i o n y. Księżyc, który wschodził nad morzem pomarańczową kulą, był czysty, nietknięty ludzką stopą. Morzem płynęły do portu f r a c h t o w c e, ciągnąc za sobą smoliste warkoczce dymu. Niebo było gładkie, cierpliwie przyjmowało obracające się światła latarni morskiej. Nikt jeszcze nie marzył o psie, który miał polecieć s p u t n i k i e m w kosmos...

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

## Pani nie ma w domu

– Pani nie ma w domu, proszę zadzwonić jutro.

To były pierwsze słowa, jakie usłyszałem, gdy zadzwoniłem pod numer, jaki znalazłem w „Życiu Warszawy” wśród ogłoszeń, konkretnie w dziale „Nauka”. Po tym, jak się przedstawiłem i powiedziałem, w jakiej sprawie dzwonię. Nie byłem tą odpowiedzią zachwycony, łatwego dostępu do telefonu nie miałem, w ogóle w Polsce przed półwieczem w tej dziedzinie marnie się działo. W Warszawie było trochę budek z tak zwanymi automatami, można było z nich korzystać po wrzuceniu odpowiedniej monety, na ogół jednak były popsute. Oficjalnie mówiono, że za sprawą chuliganów, miał to być bowiem przedmiot ulubiony, na którym wyładowywali swą pasję niszczenia, wydaje się jednak, że często odmawiały posłuszeństwa, czyli – jak się zwykło mówić – wysiadały, same przez się, po prostu były tandetne. W Miasteczku nie zainstalowano nawet czegoś

takiego, posiadaczem własnego aparatu stałem się po długotrwałych zabiegach kilka lat później, musiałem więc, gdy chciałem z kimś się skontaktować, biec na pocztę. Na załatwieniu sprawy mi zależało, posłuchałem rady, zadzwoniłem dnia następnego.

Zdziwiło mnie to zdanie, wypowiedziane w czasie pierwszego kontaktu z pewnego powodu, który zresztą nie miał dla mnie większego znaczenia: zabrzmiało ono tak, jakby wypowiedziała je służąca – i robiło takie wrażenie, jakby pochodziło z całkiem innej, bo przedwojennej epoki. Słowo „pani” padło bez nazwiska, w tej sytuacji było jednoznaczne – „pani” to osoba, która mnie zatrudnia, w której domu pracuję, której polecenia muszę wykonywać. W ten właśnie sposób służące w dawniejszych czasach mówiły o swoich pryncypałkach. Przed wojną zbyt byłem mały, by wiedzieć o tym z własnego doświadczenia, znałem jednak tę praktykę z licznych powieści i sztuk teatralnych. Nic o osobie, u której zamierzałem uczyć się języka Racine’a i Stendhala, nie wiedziałem poza jednym, zatrudnia pomoc domową, czyli właśnie – jak się mówiło za ponurych czasów sanacji (ale także wcześniej) – służącą. Szybko wszakże miałem się przekonać, iż należy to między bajki włożyć. Gdybym wówczas znał *Pokojówki* Geneta, sytuacja niewątpliwie skojarzyłaby mi się z tym dramatem.

Kiedy zadzwoniłem po raz drugi, szczęśliwie natrafiłem na „panią”. Ustaliliśmy termin pierwszego spotkania, jeszcze nie lekcji, bo zanim rozpoczniemy naukę, moja rozmówczyni chciała nas poznać. Nas, bo namówiłem jednego z kolegów, byśmy na te lekcje chodzili we dwóch, on zresztą szybko się wycofał, zrezygnował, bo uznał, że to zawracanie głowy, irytująca strata czasu i pieniędzy. Myślę, że nie miał racji, zajmowały go wtedy jakieś kłopoty osobiste, trudno było mu się skupić na gramatyce czy przyswajaniu słówek i idiomów. Kiedy zjawiliśmy się o umówionej porze, drzwi nam otworzyła kobieta w wieku średnim, od razu się zorientowaliśmy, że to nie ona będzie nas wprowadzała w tajniki francuszczyzny, bo zadała pytanie tak, jakby chciała się upewnić: panowie do pani... (i tu padło jakieś nazwisko) w sprawie lekcji, prawda? I niemal nie czekając na odpowiedź, powiadomiła: już ją proszę. W tym momencie w małym przedpokoju pojawiła się osoba w wieku zaawansowanym, siwiuteńka i mocno przygarbiona. Wyobrażenia starości bywają względne, w dużej mierze zależą od tego, w jakim są wieku osoby, które dokonują oceny, a my wtedy ledwo przekroczyliśmy dwudziestkę. Ale nawet gdy zna się pewną relatywność tej kategorii, nie można było przeczyć, że nasza przyszła *Madame* nie tylko młodość, ale także wiek średni ma już dawno za sobą. Kobieta, która drzwi nam otworzyła, zwracała się do niej „mamusiu”.

Jak zwykle w takiej sytuacji wstępna rozmowa dotyczyła spraw finansowych i terminów. Ale nasza ewentualna nauczycielka chciała się też dowiedzieć, czy jeśli o francuski chodzi, wiemy cokolwiek, czy też będzie musiała zaczynać od elementarza. Obydwaj w czasie studiów chodziliśmy na lektorat, coś tam umieliśmy, z pewnością niezbyt wiele. Prowadziła go romanistka, doskonale znająca język; bardzo się starała, by nas czegoś nauczyć, ale niewiele mogła, przyznano na naukę języka godzin mało, a grupa była duża, składała się bodaj z trzydziestu osób. Naszej rozmówczyni zależało jednak nie tylko na poznaniu zakresu umiejętności, pragnęła jeszcze coś o nas wiedzieć – i już na samym wstępie usłyszała, że jesteśmy świeżo upieczonymi magistrami polonistyki, chyba ją to zadowoliło. Przyglądała się nam z zaciekawieniem, chciała się utwierdzić w przekonaniu, że nie jesteśmy złoczyńcami, którzy zamierzają przychodzić do mieszkania pod pozorem lekcji po to, by ją okraść lub zrobić coś jeszcze gorszego. Chyba w tym samym celu zaglądała do pokoiku, w którym rozmawialiśmy, córka, jej także zależało, by się czym prędzej dowiedzieć, z kim mamusia będzie miała do czynienia. O ile dobrze pamiętam, na moment panie pozostawiły nas samych, naradziły się – i w następnym momencie tych działań usłyszeliśmy: możemy rozpocząć kurs francuskiego. Obydwie najwidoczniej nabrały pewności, że nie jesteśmy zakapiorami, można nam zaufać.

Nie będąc relacjonował lekcji, były rutynowe, w istocie swej pożyteczne, interesujące było to, co im towarzyszyło i co poza nie wykraczało. Zaciekawienie mogło budzić samo mieszkanie, złożone z dwóch miniaturowych pokoi i z przedpokoju, w którym z trudem mieścił się wieszak i niewielki fotelik, zapewne przeznaczony dla ucznia, bo przyszedł trochę wcześniej i musiał chwilę czekać, gdyż lekcja poprzednia jeszcze się nie skończyła. Mieściło się ono w ładnej stylowej kamienicy nieopodal placu Trzech Krzyży, a więc w samym centrum miasta. Nie wiem, czy uniknęła ona zniszczenia w czasie Powstania, czy też rujnacja była stosunkowo niewielka, tak że dom mógł zostać w miarę szybko odbudowany. Mieszkanko zajmowane przez dwie kobiety znajdowało się w mansardzie, domyślam się, że dawniej było słuźbówką, w której rezydowały panny słuźące, pokojówki, kucharki. Pani nauczycielka – dopiero później dowiedziałem się, że nosi rzadkie, z cudzoziemska brzmiące imię Henrietta – powiedziała, że dom należał do jej rodziny, a w istocie do niej, nie jeden zresztą w tej dzielnicy, była to bowiem rodzina majątna. Byłej właścicielce nie łatwo jednak było uzyskać przydział na to mansardowe lokum, wymagało to wielu starań, a także pozarło wiele nerwów, w końcu jednak się udało.

Pani Henrietta lubiła przywoływać lata świetności swej familii, które nastąpiły głęboko w XIX-ym wieku, epoka pomyślności trwała długo i nieprzerwanie,

aż zburzyła ją wielka dziejowa nawałnica. Wspomniała kiedyś, że zatrudniano sporo służby. I wtedy właśnie przypomniało mi się pierwsze zdanie, jakie od niej usłyszałem, owo „pani nie ma w domu”. Miałem już wówczas pewność, że w mansardowym mieszkanku nie ma nikogo, kto mógłby w sposób uprawniony zdanie takie wypowiedzieć, lata, dekady, całe epoki, kiedy miało się służbę, minęły jak sen jaki złoty, można było już tylko wspominać dawne dobre czasy, nie zawsze przecież było się skromną nauczycielką francuskiego, zmuszoną do zarabiania w ten sposób na chleb powszedni, nie mającą nawet emerytury, bo któż mógł przypuszczać, że kiedykolwiek zamożnej osobie stanie się ona potrzebna. A wracając do tego, chciałoby się powiedzieć: inicjalnego, zdania, to dane mi było je usłyszeć nie jeden raz. Pani Henrietta w ten sposób zaczynała pertraktacje telefoniczne z każdym nowo zgłaszającym się uczniem. Po co to robiła, trudno zgadnąć, może lubiła występować w roli swej własnej służącej, było to jakby jedno z jej wcieleń. To, że umawiała się na pierwsze spotkanie tylko wtedy, gdy córka była w domu, świadczyło o przeczności i miało uzasadnienie racjonalne, owo odwlekanie wstępnej rozmowy chyba takich motywacji było pozbawione. Lubiła zresztą, gdy zgłaszały się osoby znane, zajmujące jakąś pozycję w życiu publicznym, stojące wyżej od skromnych magistrów polonistyki, którzy niczego jeszcze w życiu nie osiągnęli i zapewne nigdy nie osiągną. Kiedyś powiadomiła, nie ukrywając zadowolenia, a może nawet dumy, że będzie się u niej uczył francuskiego (wraz z żoną) pewien znany filozof. W tym przypadku jednak pani Henrietta srodze się rozczarowała. Po jakimś czasie wyznała, że żona filozofa to owszem osoba pojętna, szybko chwyta i rozumie, co się do niej mówi, natomiast on to kapuściana głowa, do której nic nie dociera. Nie zdziwiłem się tą surową oceną. Filozof ów był twardogłowym ideologiem partyjnym, często wypowiadającym się w prasie, bodaj wykładowcą materializmu dialektycznego w którejsz ze szkółek marksizmu-leninizmu dla aktywistów.

Pani Henrietta lubiła opowiadać o swojej córce, na którą od czasu do czasu natrafiałem, przychodząc na lekcje; ona z kolei wychwalała mamusię. Nosiła dziwne imię, tak w każdym razie mówiła o niej matka: Izula. Nie od razu zorientowałem się, że jest to zdrobnienie od Izabeli, tak jakby Iza było zbyt proste i nie wystarczało, początkowo przypuszczałem, że to deminutyw od Izoldy. Otóż Izula też udzielała lekcji, ale nie francuskiego, który zresztą znać miała od dzieciństwa i to perfekcyjnie, ale angielskiego. Skończyła anglistykę chyba jeszcze przed wojną. Lekcji udzielała niewiele, bo do dyspozycji miała znacznie mniej czasu, gdyż pracowała jako tłumaczka w którejsz z agencji prasowych. A ponadto zajmowała się także przekładami utworów literackich; nie wiem,



jaki w tej dziedzinie pozostawiła dorobek, nie jestem pewien, czy jakaś książka w jej spolszczeniu kiedykolwiek się ukazała. Podobno w jednym z teatrów (chyba prowincjonalnym) w jej przekładzie wystawiono pewną angielską komedię, która cieszyła się ogromnym powodzeniem. Nie mam wątpliwości, nie była to komedia Shakespeare'a.

Pani Izula ze szczególnym upodobaniem snuła opowieści o niezwykłych sukcesach swojej matki. Zapamiętałem dwie. Pierwsza dotyczyła lat wczesnych. Otóż za młodu oddawała się ona z zapałem grze w tenisa. Grała tak wybornie, że w jakimś turnieju dla młodych panien, wczasujących w Nicei w roku 1902, była najlepsza. Pointa nasuwała się sama: gdyby wówczas odbywały się zawody, byłaby ich triumfatorką, oczywiście niezawodną. Opowieść druga przedstawiała wydarzenie sporo późniejsze, z lat przedwojennych. Pani Henrietta przebywała wraz z córką na wakacjach w Biarritz. I tam na plaży poznała pewnego profesora Sorbony. Zachwyił się jej francuszczyzną, nie szczędził słów podziwu i komplementów, urzekło go, że Polka mówi lepszym, bardziej poprawnym i bardziej wyrafinowanym językiem, niż większość rodowitych Francuzów. Nie żywiłem wątpliwości, entuzjastyczna opinia paryskiego uczonego miała utwierdzić mnie w przekonaniu, że nie ma w Warszawie lepszej nauczycielki języka francuskiego. Z ochotą gotów byłbym w to uwierzyć, zwłaszcza że nie miałem żadnego porównania.

Słuchając tych opowieści, zdawałem sobie sprawę, że zostały przywołane na wokandę w wyniku świadomej i daleko posuniętej selekcji. Również pani Henrietta lubiła opowiadać o dawnych czasach, z których nic nie pozostało, zwłaszcza zaś o świetności swej rodziny, ale nie miała żadnych powodów, by starać się o to, żeby to były historie ciągłe, spójne i szczegółowe, tym bardziej że stanowiły element konwersacji, a uczeń miał nie tylko słuchać pięknej francuskiej wymowy i nią się nasycać, ale powinien sam coś wydukać przynajmniej od czasu do czasu. We wspomnieniach tych powracała postać wybitnego kuzyna, który pracując najpierw w Niemczech, a po roku 1933 w Ameryce, zdobył światową sławę jako chemik; niewiele brakowało i zostałby wyróżniony Nagrodą Nobla. Najpierw wysłuchiwałem tych opowieści z niedowierzaniem, przekonałem się jednak, że od prawdy nie odbiegają, stało się to, gdy sprawdziłem, że w suplementowym tomie przedwojennej *Encyklopedii Gutenberga* jest hasło poświęcone owemu znakomitemu dalekiemu kuzynowi. Po latach zapytałem o niego dwu zaprzyjaźnionych profesorów chemii, obydwaj potwierdzili, że był to wybitny uczonec, o którym pamięta się do dzisiaj. W opowieści o tym sławnym krewnym nie było raczej tajemnic i nieudomówień, nie stanowiło to jednak ogólnej reguły, przeciwnie, czasem miałem takie wrażenie, że pani Henrietta opo-

wiada tylko po to, by mieć temat do konwersacji bez konieczności wyjazdów do Abacji i że mówi w ten sposób, by w istocie nie powiedzieć niczego. Nie piśnęła o tym ani słowem, czym rodzina się zajmowała, że weszła w krąg wielkiej burżuazji, czym się trudnili jej członkowie, że doszli do bogactwa. Byli kamienicznikami, to prawda, ale przecież posiadanie czynszowych domów nie było z pewnością jedyną podstawą familijnej fortuny. Powściągliwość tych opowieści obejmowała nie tylko sferę materialną. Raz tylko i to mimochodem wspomniała pani Henrietta, że rodzina była ewangelicka; nie zapamiętałem, do którego z protestanckich kościołów należała. Nie miało to jednak większego znaczenia, w jej wypowiedziach i zachowaniach nie pojawiały się żadne oznaki pobożności, podobnie brakowało ich w mieszkaniu, choć wypełnione zostało do granic możliwości przedmiotami najróżniejszego rodzaju, było wśród nich niewątpliwie kilka drobiazgów uchowanych z dawnych dobrych czasów. Myślę, że owo nagromadzenie rzeczy wynikało nie z klasycznie mieszczańskiego, chciałoby się powiedzieć wiktoriańskiego strachu przed próżnią, czy z kultu rzeczy, było prostym następstwem tego, że owo mansardowe mieszkanie było tak małe.

I jeszcze jedno, wspominam tu okres powojenny. Wówczas niezależnie od środowiska, a także własnych doświadczeń, nawiązywało się nieustannie do lat okupacji, to była na ziemiach polskich praktyka powszechna, bo przeżycia z tamtych czasów wciąż ciążyły nad wszystkim i wciąż wyznaczały horyzont mentalny, można było sądzić, że nie ma od nich ucieczki, zasadnie wydawało się, że przejście nad nimi do porządku, czyli zepchnięcie ich na margines, czy wręcz swojego rodzaju wyzwolenie, w grę nie wchodziło. I pani Henriecie, i pani Izu-li to się jednak udało. Jestem przekonany, że nie za sprawą spontaniczności, to był wynik świadomie podjętej decyzji. One okupację jakby wzięły w nawias, wykreśliły z repertuaru wspomnień, uczyniły tabu. Z jakiego powodu? Dlaczego?

Te opowieści snute w nienagannej, czy – jak utrzymywał poznany w Biarritz profesor – wzorowej, wspaniałej wręcz francuszczyźnie, odznaczały się generalnie cechą raczej osobliwą: miały charakter ogólny, nie występowały w nich konkretne osoby, od jakich zwykle roi się w familijnych wspominkach: rodzice, rodzeństwo, wujowie, ciocie, stryjowie, bliźsi i dalsi kuzyni... Nic z tych rzeczy, była to z małymi, niezbyt istotnymi wyjątkami historia bez imion i nazwisk, ta rodzinna scena, nawet gdyby nie sposób było o niej powiedzieć, że charakteryzuje się pustką, nie była zindywidualizowana. Starsze panie lubią zwykle wspominać swych nieżyjących mężów, w tym przypadku nie padło na ten temat choćby jedno słowo, tak jakby nigdy nikogo takiego w życiu pani Henrietty nie było. A był na pewno, niewykluczone, że nie jeden.

W tym miejscu pojawia się kolejny wątek, zwykła się ona posługiwać aż czterema nazwiskami, zapamiętałem: Rosenberger – Szajzman – Chołodkowska – Firlewicz. Nie interesowało mnie, które z nich jest oficjalne, wiedziałem tylko, że ostatnie należy do pani Izuli, osoby niezamężnej, ale matka też go używała, jakby i jej przysługiwało. W spisie lokatorów, jaki wówczas wywieszano w każdym domu (ustawa o ochronie dóbr osobistych zaczęła obowiązywać kilkadziesiąt lat później), figurowało to właśnie nazwisko. Dziwiła mnie ta niecodzienna obfitość i to, że wszystkie przywoływane były na równych prawach. Nie chodziło z pewnością o różnice tego typu, jakie zachodziły między doktorem Jekyll-em a panem Hydem, nie miały one charakteru moralnego, czy można je zatem traktować jako swojego rodzaju dziwactwo? Punktem stałym było jedynie imię, nie udało mi się dociec, jaka obowiązywała zasada przy tej nieustannej wymianie nazwisk, może decydował o tym przypadek, może kaprys? Nie wykluczam, że przesądzały o niej jakieś głębsze problemy pani Henrietty, która zależnie od okoliczności, a może zresztą bez względu na nie, chciała być różnymi postaciami, różnymi figurami dramatu. Nie będę jednak wnikał w tajniki jej osobowości, to do mnie nie należy.

W jednym moja niegdysiejsza nauczycielka, a obecna bohaterka, była wzorowo rzeczowa i konkretna – w rozliczeniach. Można powiedzieć, że wyliczała się z każdej minuty. Lekcja trwać miała jak w szkole trzy kwadransy, ani chwili dłużej, ale też ani chwili krócej. Pani Henrietta nie dysponowała wprawdzie sto- perem, na niewielkich rozmiarów stoliku znajdował się jednak całkiem okaza- ny budzik, stanowiący ważny komponent lekcji, pełnił funkcję podobną, mimo że nie dzwonił, do szkolnego dzwonka. Gdy lekcja z jakichś powodów się przed- łużała, oświadczała: odliczę sobie na lekcji kolejnej, będzie o pięć minut krót- sza. Reguła ta działała też w stronę przeciwną; gdy z jakichś powodów lekcja musiała ulec skróceniu, komunikowała: oddam panu siedem minut na lekcji na- stępnej. Żeby niczego nie pomylić ale też nie zapomnieć, pani Henrietta wszyst- ko dokładnie zapisywała niczym właścicielka wiejskiego sklepiku, udzielająca kredytu, w specjalnie przeznaczonym na ten cel zeszytce. Można powiedzieć, że prowadziła swojego rodzaju księgowość.

Nadeszły wakacje, a z nimi w sposób naturalny przerwa. Nie zdecydowałem się na wznowienie lekcji u pani Henrietty, uznałem, że ich kontynuacja nie ma sensu. Straciłem z nią kontakt, po sporym czasie, kilku a może nawet kilkun- stu latach, przeczytałem nekrolog w „Życiu Warszawy”, dożyła późnej starości. Pojawiły się w nim tylko dwa nazwiska, niestety nie potrafię powiedzieć które. Panią Izulę niespodziewanie i nie bez zdziwienia ujrzałem na pewnym literac-

kim zebraniu. Ukłoniłem się, odpowiedziała, ale w taki sposób, że natychmiast zorientowałem się, iż mnie nie poznaje, zdumiona, że jakiś nieznajomy mówi jej „dzień dobry”. Z początku chciałem do niej podejść, ale w tej sytuacji zrezygnowałem z tego zamiaru. Na jej nekrolog, dany przez instytucję, w której wiele lat przepracowała, natrafiłem odpowiednio później.

Pani Henrietta, której zdrowie – zdaje się – stosunkowo długo dopisywało, jeszcze przez lata trudniła się udzielaniem lekcji francuskiego, przekonałem się o tym, bo kiedyś natrafiłem przypadkiem na kolejne ogłoszenie. Zapewne nadal każdą rozmowę telefoniczną z kandydatem na ucznia rozpoczynała od sakramentalnej formuły „pani nie ma w domu”. Nie ma, choć – w przeciwieństwie do Markizy – nie wyszła o piątej.

## KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

### Addenda (27)

Opowieść zestawiona z fragmentów, urywków i pojedynczych zdań. Wewnętrzna ciągłość i jedność daje jej związek z formą i z duchem całości.

Myśl przewodnia i jej echa powinny być obecne od początku do końca.

Duch w psalmie 51, z różnych tłumaczeń: ochotny, ochoczy, gorliwy, ofiarny, rządzenia, wzniosły, przedniejszy, dobrowolny, władczy.

Korespondencje. Odpowiedź na pytanie zadane w danym fragmencie może znajdować się w innym fragmencie, nawet znacznie od niego oddalonym i wydawać by się mogło, że zupełnie z nim nie związanym.

Z życzeń Julii na imieniny: Obyś pokochał *Thorna* i oby *Thorn* ciebie pokochał.

Zręby już są i teraz trzeba z uporem posuwać się naprzód.

*Alter ego* – Thorn czy Mohl?

Romain Rolland w notatkach do *Jana Krzysztofa*: „Nie piszę dzieła literackiego. Piszę dzieło wiary”. Swoją opowieść nazywa poematem prozą.

Zawory nieba i zawory otchłani.

Na Szewskiej dziewczyna o twarzy anioła z czerwonymi, żarzącymi się rogami.

Śpiewy mniszek u Świętego Andrzeja.

W prześwitach koron błyskawice.

Skałeczną do Augustiańskiej i w lewo, do skrzyżowania z Paulińską i Meiselsa, w prawo i prosto, przez skrzyżowanie z Bożego Ciała do placu Nowego, w Izaaka i w lewo, do synagogi, po wodę i chleb.

Stałe miejsca i punkty, te same widoki.

Płońscy i Błońscy, Teresa i Jan. Dziesięć lat i dwa. A jakbym widział ich wczoraj.

Błask uśmiechu, promień dobrego spojrzenia, przyjazny ruch ręki.

Wieża Skałki, wieże Kamedułów i wieże Tyńca.

Pajęczyny, szare chmury, deszcz, przenikanie światła

Patrzanie w dół. I głos, bezgłośny, ale natrętny i stanowczy: skocz, tylko jeden krok, jedna chwila i będzie spokój, koniec. I jednocześnie napięcie, jakby ktoś działał w środku.

Starorzecze, przełom, droga przez pola i łąki.

W refektarzu, a potem w ciemnym krużganku, bez klucza. Zakapturzony cień. Poruszanie się tam i przez kościół wyjście na dziedziniec.

„W ostatniej chwili życia sami niczego nie możemy uczynić poza jednym – przyjęciem, że nie przestaje działać Inny, Przychodzący”. Żegnaj Jacku!

Dom, w którym nie ma miłości, to atrapa.

Dom Thorna, dom Mohla i dom Rotha.

Dlaczego największe uniżenie jest największą chwałą? Jak to rozumieć?

Cytry, harfy i cymbały. Grajcie na nich, mówi Dawid.

Pod wydmami, na pieńku i na deskach, sam na całej plaży.

Dziewięćdziesiąt sześć kroków od brzegu.

Raz w świetle, raz w szarości.

Wszystko jest w nieustannym ruchu, w tym półkolu i w kole.

Promienie wychodzą zza chmur i kierują się ku ziemi. Podobne widziałem o świcie wchodząc do ogrodu w Tyńcu.

Piaśnica z mostku wygląda jak Niewiaża.

Widzę go, jak idzie brzegiem morza i jak wraca, chodzi tak codziennie, tam i z powrotem.

Na podmokłym skrawku, otoczony z wszystkich stron, naprzeciw fal.

Pod wydmą, za palisadą z kijów i za wałem z piasku.

Słowa wypowiedziane przez szum wiatru i szum fal.

Na skarpie, na wiązce chrustu, patrząc w dół na morze i na piasek.

Ulicą Portową, obok hotelu Hotton, wejście na Węglową. Wszystko jakby było zatrzymane.

„Dar”, plaża i klif orłowski.

Nocleg w hotelu na Łąkowej, w dawnych koszarach, w których kiedyś spędziłem ponad rok.

Regres. Rozwinąć to.

Trzy fazy pobytu Mohla u Rotha: wdzięczność i otwarcie, zrażenie się i pustka, plan i przygotowanie się do ucieczki.

MAREK SKWARNICKI

Hejnał mariacki (14)

Świat we mgle

Drugi już rok wzrok mój jest tak zniszczony, że samodzielnie nie mogę ani pisać, ani czytać, a i świat widzę jakby za grubą mgłą, nie rozpoznając różnic kolorów. Tak bywa na starość, a jednak nadal pracuję. Nieopanowana jest żądza słowa i komunikowania się z czytelnikami dla pisarza, który dzielił się z nimi swoimi myślami przeszło pół wieku. Dlatego powstała konieczność zatrudnienia sekretarzy i sekretarek, których już trochę się przewinęło przez mój gabinet, co było i jest okazją obserwowania umiejętności pisania i czytania w języku polskim pokolenia, które w szkołach średnich było w latach 1985–1995.

Pierwszy z moich pomocników był magistrem polonistyki i pisał zupełnie nieortograficznie. Wybaczałem mu to jednak, ponieważ ja też nigdy nie opanowałem ortografii. Potem był student socjologii, następny prawa karnego, a po nim zjawiła się magister kulturoznawstwa, która bardzo dobrze pisała na laptopie i miała świetnie opanowaną gramatykę i ortografię naszego języka ale, o dziwo, okazało się, że jest buddystką. To były dobre kwalifikacje jak na sekretarkę chrześcijańskiego pisarza, bo była to i jest osoba uduchowiona, co przy jej wieku – 29 lat, teraz nie jest częste. Jej poprzednicy w nic nie wierzyli. Kil-



ka miesiący temu, zjawiała się u mnie nowa osoba – doktorantka, zagłębiająca swoje myśli i serce w św. Augustynie na Uniwersytecie Jana Pawła II w Krakowie – to po prostu Opatrzność.

Z każdą z tych młodych osób przybywało do mnie żywe doświadczenie poszczególnych etapów historii naszego kraju. Tak więc jedni pamiętali, drudzy nie pamiętali, Gomułkę albo wojnę jaruzelską, a na ogół mówili, że oni się polityką nie lubią zajmować. Jeśli chodzi o obecną doktorantkę to nastał czas wojny polsko-polskiej. Kilka dni temu patrzyłem z przerażeniem na tłumy idące przez stolicę, które wrzeszczały lub wyły: „Polsko obudź się!”. Nieboszczyk by się nawet obudził i nie uspokoiłoby go zapewne kazanie księdza dyrektora Rydzyska, który pomstował na zepsucie mediów oraz prosił „co łaska” na budowę jego wyższej szkoły w Toruniu.

Żarty żartami, ale zarówno temu pochodowi jak i dziesiątkom programów przed i po towarzyszyły dyskusje na temat katastrofy smoleńskiej, co jest już tematem śmiertelnie poważnym. Przy okazji w telewizji zaczęto pokazywać różne fragmenty ubrań i ciał ofiar katastrofy. To, że pokazywano, mnie tak bardzo nie zdziwiło, bo telewizja jest sztuką obrazu, ale zaskoczył mnie fakt, że nie wzbudzało to oburzenia widzów ani dziennikarzy w gazetach, a właściwie nikogo. Zapytałem sam siebie – jak to może być, żeby ludzie byli tak nieczuli na makabrę, jaka związana jest z katastrofami, zwłaszcza lotniczymi? Dumałem, dumałem, aż doszedłem do wniosku, że znaczna część Polaków po prostu znieczuliła się widokiem zmasakrowanych ludzkich ciał w bardzo różny sposób; czy to osobiście przeżywając potworności wojny, czy, jeśli chodzi o młodszych, oglądaniem filmów o obozach koncentracyjnych i ogólniej o wojennej tematyce.

Pokazywany i powtarzany obraz amerykańskich buldożerów, które spychały w Buchenwaldzie popłątane, zgniłe szczątki tysięcy ofiar do wykopanych dołów, bo już nie wiadomo było co z tą makabrą robić, sprawia, że osoby, które były pod jego wpływem, nie są już wrażliwe, jak im pokazać nie wiadomo czyją nogę w bucie.

Pewien mój młody znajomek, z którym rozmawiałem wczoraj na rynku krakowskim, w czasie, gdy akurat grano hejnał mariacki, powiedział, że ma świetny pomysł na kryminalne opowiadanie. Mianowicie, po katastrofie jakiegoś samolotu pasażerskiego w USA, trwają poszukiwania jej przyczyny. Zebrano już wszystkie szczątki, gdy nagle ktoś znalazł szklane, sztuczne oko. Nie było mowy oczywiście, by zbadać metodą DNA, czyje to oko. Akcja opowieści staje się więc kryminalnym dochodzeniem, kto był jego właścicielem. Oczywiście zwymyśla-

łem tego młodzieńca i wytłumaczyłem mu, że proza nie polega tylko na pomyślach, ale również na różnych subtelnościach duchowych, randze moralnej słów i choćby najprymitywniejszej estetyce treści. Obraził się i poszedł.

\* \* \*

W Krakowie, jak i w wielu innych miejscach Polski – Warszawie, ale i w Szczecinie odbywają się mniejsze lub większe uroczystości, upamiętniające trzydziestą rocznicę śmierci Jerzego Turowicza – ukochanego mojego Szefa, który z powojennego absolwenta komunistycznego Uniwersytetu Warszawskiego zrobił w Krakowie człowieka i nauczył pisarstwa publicystycznego. Inną uroczystością stały się obchody ku czci dwunastu tomów pism Jacka Woźniakowskiego, wydanych przez wydawnictwo krakowskie Universitas. Jacek to też człowiek, który był dla mnie wzorem, w tym wypadku, rzeczowego i kulturalnego przedstawiania świata. W czczeniu Jacka brali udział, między innymi, Adam Michnik, ksiądz Adam Boniecki (katolicka replika Michnika), wspaniały malarz Stanisław Rodziński itd. Ponieważ, jak pisałem wyżej, fatalny mam wzrok i nie rozpoznaję nawet twarzy ludzi znajomych, nie poszedłem tam, chociaż również czczę Jacka.

Rozpoczął się rok akademicki i ulice naszego miasta zagęściły się w skrajny sposób – za Jagiellonów był tylko jeden uniwersytet, a teraz jest ich podobno dwadzieścia. Zrobił się też tłok samochodowy. Proszę Państwa, jak słucham przemówień coraz to nowszych pseudopremierów (oczywiście nie Tuska) o losie młodzieży i patrzę jak duży ich procent obecnie jeździ własnymi samochodami na wykłady, to wierzę, że Polska się obudziła. Ja chodziłem na studia w stolicy, gdy jeszcze tam jeździły rosyjskie trolejbusy, które były robione niewątpliwie w oparciu o wyliczanie czterech pasażerów na metr kwadratowy.

\* \* \*

Rozmowa z młodym prozaikiem, który wymyślił fabułę ze sztucznym okiem, uświadomiła mi pozycję polskiej prozy współczesnej w powstającej w ostatnich dziesiątkach lat literaturze pięknej. Prawdę mówiąc, proza nie tworzy obecnie ani zastanawiających myśli o współczesności, ani bohaterów wchodzących w codzienne myślenie czytelników. Po całej plejadzie wspaniałych bohaterów Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Gombrowicza, Andrzejewskiego, darmo szukać podobnych kreacji literackich, które by ogniskowały w sobie jakieś typowe cechy naszych czasów. Przyczyną tego nie jest brak wzorców, jak niektórzy mniemają, ale brak dostatecznej wiedzy o losie człowieka, o współczesnych polskich

charakterach i sposobach myślenia; chyba, że możliwości prozy współczesnej wyczerpały się na XIX i XX wieku. Jest to możliwe ponieważ proza pamiętnikarska, esej z historii ostatnich dziesięcioleci, czy nawet naukowe opracowania z historii współczesnej, czytelniczo dystansują *fiction*.

Minione formy prozy kontynuuje literatura zagraniczna, masowo czytana przez Polaków (tych, którzy w ogóle cokolwiek czytają). Trudno się temu wszystkiemu dziwić skoro polska historia XX wieku, w której absolutnie wszyscy obywatele tego kraju w jakiś dramatyczny sposób uczestniczyli, przerasta atrakcyjnością fabuły i niezwykłości przeżyć nawet najbardziej wymyślne scenariusze. Wojna stała się pożywieniem powieści akcji zarówno w mikro- jak i w makrohistoriach pojedynczych ludzi oraz całego narodu. Najwspanialsze nawet efekty, bez konieczności dorabiania czegoś fikcją, dały: kampania z 1939 roku, łącznie z najazdem sowieckim, bitwa o Anglię polskich lotników, Monte Cassino, a przede wszystkim Powstanie Warszawskie. Przypomina o nim film Andrzeja Wajdy *Kanał*. To Wajda, zużytkowując również pierwszą współczesną powieść powojenną Andrzejewskiego *Popiół i diament*, kontynuuje potem historyczne obrazy najważniejszych polskich wydarzeń, także przewrót i dzieje Solidarności. Nie ma prozy, która by wytrzymała konkurencję z tym malowaniem naszych dziejów i nas samych. To, co w ostatnim okresie czasu jest promowane wśród prozy najmłodszej generacji, czasem zaskakuje swoją subtelnością albo wulgaryzmem, ale nic poza tym; o wiedzy o bieżącej historii ludzi nad Wisłą nie mówi. Oczywiście to, co piszę jest pisaniem felietonowym, ma więc również charakter chwilowy. Pozostaje dla mnie jednak pewnikiem, że Matejką naszego czasu pozostanie Wajda, a nie Pilch.

A w problemach każdego Polaka, zwłaszcza pokoleń, które zapamiętały dobrze komunizm i nie łatwo im dzisiaj żyć, zarówno ekonomicznie jak i psychicznie, jest niesamowicie dużo materiału dla prozaików. Chyba, że proza, jako gatunek literacki, zginie razem z drukiem, a na elektronikę nie da się przemieścić. Nastąpi bogactwo form przekazu myśli i uczuć, wydarzeń i wstrząsów historycznych, ich możliwości wyrazu są tak wielkie, że pisarz nie może już podołać swoim indywidualnym wyborom etycznym i formalnym.

Czy mamy nowych bohaterów, których by nam dostarczała współczesna twórczość, a przede wszystkim literatura? Jest ich paru, ale głównie żyją filmowo.

\* \* \*

Ten krakowski felieton właściwie długo szukał swojej własnej formuły. Kończy się na tym, że jest to po prostu komentarz do wydarzeń mających miejsce

również w Krakowie, ale obejmujących całą Polskę. W tym odcinku komentarzy i rozważań uwydatniły się dwa nurty polskiego życia medialnego ostatnich miesięcy. Dalsze dywagacje na temat katastrofy smoleńskiej, dalsze usiłowania wysadzenia premiera Tuska z siodła przez przewodniczącego PiS-u, a także obchodzenie różnych rocznic, głównie związanych z dziejami „Tygodnika Powszechnego”. Ja swój półwieczny jubileusz rozpoczęcia pracy w „T.P.” przegapiłem, ale też nie wiadomo jak liczyć moją obecność w tym piśmie, bo formalnie odszedłem z redakcji w 1991 roku. Okazało się jednak, że tak byłem przez czytelników utożsamiany z pismem, że do tej pory prywatne listy nieraz wysyłają na adres redakcji.

Kolejnym, dodatkowym nurtem publicystyki, nie tylko pism katolickich jest rozważanie sytuacji Kościoła w Polsce. Przyjęto za pewnik, że jest on w kryzysie, tzn. że traci wiernych. Postępuje też dezintegracja Kościoła ze zmianą tonu ujmowania tych spraw, które wszak nie są nowe. Kiedy w 1958 roku rozpocząłem pracę na polskim, bożym poletku już sprzeczano się o głębokość kryzysu wiary, pokładając nadzieję w komunizmie, który bez ustanku atakując księży i wiarę świętą podpierał mury twierdzy Kardynała Stefana Wyszyńskiego i papieży. Nie bardzo wiem, skąd i kiedy zaczęły okraszać wypowiedzi dziennikarsko-publicystyczne pojęcia Kościoła otwartego i zamkniętego. „Tygodnik Powszechny”, a potem miesięcznik „Więź”, i „Znak” oczywiście, przygotowywały umyślowo polskich inteligentów do wydarzeń II Soboru Watykańskiego. Nigdy nie miałem pełnego przekonania do tych określeń zwłaszcza, że nader częste ich używanie w rozmaitych znaczeniach przemieniały je jakby w dodawaną do politycznej religijną „nowomowę”. Terminów tych z ochotą używała służba bezpieczeństwa, wydziały ds. wyznań i grupy tak zwanych reżymowych katolików, a przecież było tych grup parę, nie tylko Pax. Kto nie był otwarty, ten był reakcjonistą. Dzisiaj nadal się trochę tak myśli, a wielu „zamkniętych” w minionych latach rzeczywiście zamknięto. Sprawa, uważam, powikłała się bardzo po zamordowaniu, a potem beatyfikowaniu błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki. Ten cudowny ksiądz, który bez najmniejszych wahań wierzył w to, co Kościół do wierzenia podaje, a przez to, że obalił całą tę sztuczną gadaninę otwieranego i zamykanego katolicyzmu, został po prostu zamordowany. Zabito go za miłość do bliźnich, do sprawiedliwości i wierność Janowi Pawłowi II, którego naukę, głęboko atakującą komunizm, głosił. Papieski „antykomunizm” nie rzucał się w oczy, bo nie atakował ani państw, ani przywódców lecz prowadził ofensywę filozoficzną, duchową i moralną pomijając problemy komunizmu zorganizowanego. Przeciąganie do dzisiaj dysput na temat otwartości i zamknięcia Kościoła straciło sens. Ubytek wiernych po odzyskaniu niepodległości winno się tłumaczyć przede wszystkim zniknięciem napięć ide-

ologicznych. Koniec walki światopoglądowej osłabia klimat ciekawości każdego człowieka, czy życie ma sens. Wsiada on do samochodu i nastawia radio w którym trwa nieustająca dyskusja o partnerskich małżeństwach, zapłodnieniach *in vitro* i aborcji. Na tym wyczerpuje się dzisiaj często zainteresowanie Kościołem i wiarą, bez których również i te cywilizacyjne spory nie mają sensu. W tym nurcie publicystycznych zwad i debat każdy może zabrać głos, na skutek czego głoszone są różne niepoważne opinie i teorie. Kryzys Kościoła, jak ktoś powiedział, ma swój początek na krzyżu Jezusa Chrystusa. Psychoterapia nie zastąpi dobrej spowiedzi albo nawet wyznawania grzechów samemu sobie i żałowania za nie w duchu całkowitej szczerości wobec sumienia. Tajemnica sumienia, cóż to za niebywała, kolejna tajemnica każdego człowieka na świat przychodzącego.

Czy kler polski dorasta do obecnej sytuacji trudno powiedzieć, zwłaszcza przypadkowym rozmówcom na temat naszych kryzysów. Bo cóż my właściwie wiemy o życiu wiary w Polsce? Znamy mniejszą lub większą ilość współwyznawców, księży z parafii i hierarchię za pośrednictwem środków masowego przekazu. Prowadzone badania statystyczne są to rzeczy cenne, ale to jednak dziurawe sito. Przesiewające przez takie siatki, jakie przygotowują ludzie.

Czesław Miłosz twierdził, że wraz z zaniknięciem chrześcijaństwa nastąpi kompletna katastrofa cywilizacji zachodniej.

## LESZEK SZARUGA

### Jazda (24)

65.

Wśród wciąż przybywających książek pozwalających rozejrzeć się w olbrzymich przestrzeniach Rosji uwagę zwraca reportaż Magdaleny Skopek *Dobra krew* wprowadzający czytelnika w krainę zamieszkałą przez Nieńców. To kolejne sprawozdanie, po takich książkach jak *Imperium* Ryszarda Kapuścińskiego czy cykl relacji Mariusza Wilka, dzięki któremu Rosja przestaje być „tajemnicza” i kompletnie egzotyczna. Tym bardziej to interesujące, iż Syberia to

przecież dla Polaków, że sobie pozwolę na gorzki żart, specyficzna „druga ojczyzna” – w XIX stuleciu przez nich opisywana i badana, by przywołać choćby wybitnego etnografa, jakim był zesłany na Sachalin – świetnie opisany przez Czechowa, którego książkę zaleciłbym jako lekturę obowiązkową – Bronisław Piłsudski, brat Marszałka, który wykorzystał okazję i zajął się badaniami takich ludów jak Aini czy Gilacy (Niwchowowie). A jest tych ludów przecież wiele i niewielkie mamy o nich pojęcie – o ich kulturze, językach, pochodzeniu: Chantowie (Ostiacy), Czucze, Jakuci, Ałtajczycy, Buriaci, Szorowie i inni, skolonizowani przez Rosję nie tak znów dawno temu.

Nieńców, których życie opisuje Skopek, dawniej nazywano Samojedami, ale jest to nazwa zbiorcza ludów, wśród których właśnie Nieńcy, posługujący się językiem nienieckim, są najliczniejsi – jest ich około 40 tysięcy osób. Poza nimi do tej grupy należą Eńcy (językiem enieckim włada około 200 osób), a także Nagasanie i Selkupowie. To światy na naszych oczach ginące – języki ich zanikają, liczebność ludów się zmniejsza. Nieńców, jak to opisuje autorka, namawia się na osiedlanie w pasiołkach – dotąd są ludem raczej koczowniczym – i dramatycznie brzmi wyznanie jednego z bohaterów książki: „Nas może niedługo, najpóźniej za pięćdziesiąt lat, tutaj, w czumach, chyba nie będzie. Ale ja myślę, że renifery będą zawsze. Tak, myślę, że renifery na pewno będą”.

Magdalena Skopek napisała więc swego rodzaju epitafium – zafascynowana prostotą i egzotyką życia tej ginącej grupy narodowej, towarzysząc przez jakiś czas ich egzystencji, zapisała fragmencik jej schyłku, zgoła nie dramatycznego i na swój sposób oczywistego. Czy mieliby szansę Nieńcy, gdyby przyszło im przez ostatnie sto lat żyć w innym niż sowieckie otoczeniu, pozostanie pytaniem otwartym, ale zapewne więcej by uwagi poświęcili ocalaniu swej odrębności. Z książki niewiele można się dowiedzieć o tym, co zapisali, choć, jak notuje autorka, posługują się dostosowaną do ich języka cyrylicą: „W przypadku nienieckiej głoski brzmiącej jak **n** i **g** wymawianej równocześnie (...) cyrylica została wzbogacona o specjalną literę”. Ale jakoś nie mogłem z tej książki wyczytać czy wyposażeni w ten alfabet Nieńcy umieli go spożytkować tak, by zapisać w nim opowieści, których zapewne tradycja ustna niosła wiele – takich choćby jak legendy o ich pochodzeniu czy mity lub baśnie. Szkoda, lecz zapewne wymagałoby to pogłębionych studiów, podczas gdy książka jest po prostu sprawozdaniem z podróży. Niemniej choćby informacja o tym czy takie teksty istnieją i czy przełożone zostały choćby na język rosyjski byłaby cenna. Sięgnąłem, oczywiście, do zasobów internetowych, skąd dowiedziałem się, że przed wprowadzeniem alfabetu Nieńcy jednak posługiwali się pismem w postaci piktogra-

mów, zaś zapisy tradycyjnych opowieści powstały w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, przy czym używany był także (jednak!) alfabet łaćniński. Z książki dowiedziałem się, że po sowieckim zakazie nauczania języków narodowych, teraz powróciły one do szkół. Czy nie za późno?

Podtytuł książki Skopek powiada, że opowiada ona o „krajnie reniferów, bogów i ludzi”. Renifery, okazuje się, na swój sposób ocaliły jej bohaterów: „Dlaczego mimo wieloletniej walki komunistów z koczownictwem styl życia Nieńców dalekiej północy zachował się w formie tak bardzo zbliżonej do tradycyjnej? Jednym z powodów jest to, że nie udało się zmusić renifera żeby zmienił przyzwyczajenia i pasł się w jednym tylko miejscu. Można powiedzieć, że tym sposobem renifery na terenach rozciągających się od Uralu po Czukotkę uchroniły wielu koczowników przed przymusowym osiadłym życiem, które dla nomady bywa gorsze od śmierci”. Od Uralu po Czukotkę... Dość spojrzeć na mapę, by się zorientować, że to całkiem niezły szmat ziemi. I choć ludy tam zamieszkałe nie wpisały się w historię relacjonowaną na pierwszych stronach światowych gazet, to przecież nie oznacza, że są skazane na zapomnienie.

66.

Od lat jestem zagorzałym czytelnikiem dziennikowych zapisków Jerzego Pilcha, które pociągają mnie nie tylko stylem, łatwym zresztą do naśladowania (ale powiedzmy sobie: i co z tego, całe rzesze twierdziły że to nie sztuka malować picassy, ale tak jak Picasso malować nikt nie potrafi – dziad był genialny po prostu), lecz też ładunkiem literackiego zacięcia, którego zdefiniować ot tak, po prostu, niepodobna, a w mniej lub bardziej uczone jego analizy wdawać się tu nie mam zamiaru: wystarczy powiedzieć, że Pilch jest Pilchem, a jest Pilchem tym bardziej, im starszy i w dziennikowym rzemiośle wytrawniejszy. Przenoszę się zatem za nim z „Tygodnika Powszechnego” do „Przekroju”, z „Przekroju” do „Polityki”, z „Polityki” znów do „Przekroju” – każde pismo, które skaptuje Pilcha do siebie może liczyć na to, że będę jego sumiennym czytelnikiem.

Ostatnie, październikowe partie diariusza Pilcha zwróciły mą szczególną uwagę za sprawą lania, jakie na tych kartach sprawia Pilch pisarzowi i publicyście Andrzejowi Horubale, autorowi skądinąd wartej uwagi (choć to rzecz gustu: nie każdego uwaga na tym samym się przecież koncentruje) powieści *Umożnienia*, której ambicje (*tut proportion garde*) zbliżone mi się zdały do zamierzeń przyświecających piłsudczykowi Kadenowi-Bandrowskiemu, który w *Generale Barczu* dał świetny krytyczny obraz politycznego grzęzawiska przez piłsudczy-



ków właśnie na obszarze „odzyskanego śmietnika” sprawionego. Nie ulega jednak wątpliwości, iż nie o wybitne walory powieści mi chodziło, ile o opisywane w niej mechanizmy funkcjonowania prawicowych środowisk politycznych, na swój sposób przerysowane, wszakże, jak mi się zdaje, dość typowe. Pilch jednak podchodzi do pisania Horubały z zupełnie innej strony, gdyż tenże zahaczył go, Pilcha, w jakimś artykule na łamach tygodnika „Uważam Rze”, a przy okazji zamachnął się na wielkość Gombrowicza i jego niesłuszną, kwestionującą możliwość rozwoju „realistycznego” piarstwa postawę artystyczną, co dla ducha narodowego bardzo, wedle wzorów proponowanych przez środowisko Horubały jest niezdrowe, być może nawet zgubne. I ma rację Pilch, gdy powiada, że Gombrowicza oddziaływanie dość jednak w przeszłości było niewielkie, zaś od siebie dodam, że gdy Gombrowicz wreszcie mógł być pod polskie strzechy dotrzeć, to dotarł tam już jako „lektura szkolna”, którą się „przerabia” i która zatem raczej zniechęca niż zachęca. Nie mógł zatem Gombrowicz niczego zablokować, a jego ironiczny dystans wobec rzeczywistości, także literackiej, daje satysfakcję dość nielicznej gromadce jego wielbicieli, do której zresztą nie należę, choć przecież tak głupi nie jestem, bym Gombrowiczowi, w szczególności zaś jego *Dziennikowi*, wielkości miał odmawiać.

Nie podejrzewam jednak Pilcha, by był stałym czytelnikiem wspomnianego czasopisma i skłonny jestem raczej przypuszczać, że ktoś mu ten artykuł Horubały podrzucił, Pilch zaś i owszem, rzecz przeczytał, czytając zaś nie tylko śmiał się szyderczo, lecz powziął chęć rozprawienia się nie tyle z Horubałą samym, bo co mu tam w końcu Horubała, co z reprezentowaną przez Horubałę postawą wobec literatury i podejmowanymi przez środowisko Horubały próbami narzucenia literaturze znanej skądinąd recepty stawania twarzą w twarz z rzeczywistością. W istocie zaś wyłuskał Pilch skrywane pod tymi zachętami dążenia do rozpoczęcia wyścigu o rząd dusz i miejsce w panteonach wszelkich duchowych, być może nawet o to, co zawsze takim reformatorom po głowach chodzi, od twórców peerelu poczynając, poprzez animatorów stanu wojennego, po obecnych szermierzy moralnej sanacji narodu – o wymianę elit mianowicie, te bowiem, które są, złe są i szkodliwe. Pisze zatem Pilch, trafnie niezmiernie: „Pisaniem (nawet ćwiczebnym) kryłbym też nieco (na miejscu Horubały – przyp. mój – L.S.) okoliczność, że nie chodzi o żadną literaturę narodową, ale o przemeblowanie sceny literackiej, o takie mianowicie jej przemeblowanie, by Horubała *et consortes* jeśli nie wyszli do przodu, to przynajmniej jako tako widoczni się stali. Widoczni – ma się rozumieć – w odpowiedniej kolejności. Horubała z przodu... Ho! ho! ho! Usiadł przed nim Wildstein (bo usiadł),

i to usiadł – powiedziałbym – bezapelacyjnie. Coś takiego! Zastłonięty, a może wręcz we własnym mniemaniu zdegradowany Horubała z miejsca mu szpilę: »Nie ma Wildstein lekkiego pióra, oj nie ma!«. Od Wildsteina mnie dzielą wieki świetlne, ale czy Horubała naprawdę nie widzi, jak rozpaczliwie bywa śmieszny. (...) Już wiedzą (chwalebna samoświadomość), że sami siebie wyżej, niż są – a wysoko nie są – nawet za włosy nie wyciągną – teraz walczą o stołki (stołki w ich mniemaniu są wszędzie); kiedyś mieli telewizję, teraz chcą mieć literaturę. Nie będziecie jej mieć”.

Czy na pewno? Pilch jest tego pewien, więcej nawet, ma pełne prawo po temu, by pewność swą umacniać i krzepić nią ducha, ale to tylko dlatego, że inne jest jego, Pilcha, pojmowanie literatury niż jej rozumienie (ba – jeśli w ogóle tu o rozumieniu i rozumie mamy prawo mówić!) przez Horubałę i są to różnice fundamentalne, by nie powiedzieć, iż są to dwa różne, niemal (w tym niemal natomiast sporo się kryje niebezpieczeństw, co wykazał choćby przypadek socrealizmu) całkowicie odmienne światy, tak odmienne, iż wydawać by się mogło, że jeśli się spotkają, w sposób podobny do tego, w jaki spotyka się materia z antymaterią, musi nastąpić anihilacja, co jednak w tym wypadku, za sprawą owego „niemal”, raczej mało jest prawdopodobne, gdyż, nawet jeśli oba te światy w zderzeniu ulegną poważnej, by nie powiedzieć, że apokaliptycznej wręcz demolce, to ocaleje się z tego pewna nadwyżka, zaś to, jaki świat ową nadwyżkę ocali, zależne jest od trudnych dziś do przewidzenia okoliczności, gdyż przecież nie da się z góry wykluczyć taka sytuacja, w której nie to, co za dobro uznajemy, lecz raczej to, co złem nazywać bylibyśmy skłonni, zachowa więcej energii witalnej i (być może z punktu widzenia wieczności na krótko, lecz przecież dla nas, skazanych na czasowe jedynie bytowanie, boleśnie długo) zawładnie naszym życiem publicznym w sposób, jak to mawiali marksiści, historycznie nieunikniony. Być może tak właśnie będzie, w co Pilch, pewien, że nawet po takim kataklizmie w końcu odrodzi się dobro, zdaje się powątpiewać, choć przecież ta pewność jego i wiara, bez wątpienia chwalebne, podstawy mają dość kruche, kruchym bowiem, o czym się wciąż na nowo przekonujemy, jest świat kultury. Zaś też Pilch, jako biegły w materii teologicznej ponad polską katolicką normę – wszak jest jednym z owych ewangelików tworzących narrację jego znakomitej powieści *Inne rozkosze* – winien pamiętać o niebezpieczeństwach jakie na nasze życie sprowadzać potrafią gnostycy, o których na łamach „Przeglądu Politycznego” słowa przestrogi wypowiada Paweł Śpiewak w szkicu *Polska jako sekta*: „Politycy gnostycy stają na czele ruchów politycznych, powołują zarazem nową elitę, która obiecuje, że stan wydziedziczenia zostanie zniesiony i zastą-

piony jakąś lepszą, niemal wyśnioną rzeczywistością. Wychodzą z założenia, iż ich diagnoza rzeczywistości jest jedynie słuszna i prawdziwa. (...) Rzeczywistość ze swoich snów próbują wprowadzić w życie, a że ich diagnozy niewiele mają wspólnego z realnymi problemami, więc nie tyle będą modyfikować swoje poglądy, ale realny, złożony świat starają się ze wszelkich sił nagiąć, nawet siłą, do swoich wyobrażeń". I wreszcie, jakże ważne: „Gnostycy dają swoim wyznawcom pewność, a zwolennikom oferują poczucie wzniosłości". Wzniosły jest też i pełen patosu Horubała, gdy tymczasem Pilch... szkoda gadać!

Może zatem i Pilcha za grobem zwycięstwo, lecz nic nie gwarantuje, że tu i teraz, dziś lub pojutrze, nie będziemy po raz już nie wiadomo który przerabiać tej samej lekcji historii, w której spece od sanacji zaprowadzać będą ład i porządek, choćby nawet za cenę jakiejś, nazwijmy to aluzyjnie, masakry bądź tylko wieszania.

PIOTR SZEWC

## Z powodu i bez powodu (29)

Bez tytułu i bez daty (XXIII)

„Poezja w poezji i poza poezją". Kto to napisał? Dlaczego zapamiętałem te słowa? Jeśli miałbym wybierać, to wybieram tę drugą.

„W tamtych czasach zabawek nie miałem. Jedynie konika na biegunach, którego odziedziczyłem po moim wuju Dońku, bracie mamy. Często bujałem się na nim. Dla mnie był żywym stworzeniem. Był zrobiony z cielęcej, mocno już wytartej skóry. Miał wyłysiałą grzywę i ogon i jak mi się wydawało prawdziwe oczy. Oczywiście były to oczy szklane, ale przy świetle lampy naftowej tajemniczo błyszczały. Często w nie zaglądałem z bliska, odbite światło lampy dawało możliwość spojrzenia w głąb. Patrzyłem jakby z góry przez maleńkie okno w jakieś nieznanne światy, ukryte i tajemnicze, pełne życia, które, gdy mrużyłem oczy dawały okazje zobaczenia gałęzi drzew i nieodgadnionego ruchu jakichś stworów" – Leszek Rózga we *Wspomnieniach z lat 1924–1946*.

Śniły mi się Zofia Koreywo i Zofia Gołębiowska. Obie panie dawno temu poznałem w redakcji „Twórczości”. Jedna z nich – ale która? – ofiarowywała mi w tajemnicy przed drugą swoją książkę. Działo się to w Zamościu, w mieszkaniu Krzyska Smolińskiego. Długa kuchnia bez okien była we śnie dłuższa niż w rzeczywistości, i była pusta, jak zamykający ją pokój, gdzie zwykle przebywaliśmy, z telewizorem koło okna i gorącym zimą kaflowym piecem. Nie ma już drewnianego, krytego papą domu Smolińskich na ulicy Polnej.

Biedna Jaśka, koleżanka Mamy (ta od pieska japończyka). Na początku lat siedemdziesiątych pracowały w zakładach odzieżowych Cora. Długi czas nic o niej nie słyszałem, teraz dowiaduję się: upadła na schodach, ma krwiaki (czy krwiaka) na mózgu, żyje z nimi tak, jak to w tej sytuacji możliwe. Nie wiem dlaczego lekarze nie podjęli się zoperowania Jaśki. Obecność krwiaków skutkuje zaburzeniami pamięci i świadomości. Podobno Jaśka szła do swego dawnego domu na Panieńskim, choć od dawna mieszka na Nowym Mieście. Czy poznae znajomych?

Jaśka miała – dlaczego piszę o tym w czasie przeszłym? – charakterystyczny sposób mówienia i słownictwo. Mówiła dużo, na rozmaite tematy, nic nie było nudne, a bywało zabawne. Jak przecinka używała słowa „powiedzieć”. Nie mówiła „tyle”, a „tyło”, o zamojskim nadszańcu, gdzie kwitł drobny prywatny handel, mówiła „tatrzaniec”, a na pawilon – jak potocznie mówi się o dużych sklepach – mówiła „pabilon”.

Króciutko, tuż przed obudzeniem śnił mi się Krzysztof Lisowski, a z nim jego Mama, której nigdy nie widziałem. Mama zwracała się do kolejnej osoby ze snu, osoby z małym dzieckiem na ręku, *per* „panie Żydzie”. Miało to charakter grzeczny, uprzejmy i pełny szacunku – zwracała się tak, jak należy się zwracać.

Kupuję pół chleba. Sprzedawczyni kroi bochenek i podaje mi – oczywiście – połówkę „mniejszą”.

Pierwszym psem mojego najwcześniejszego dzieciństwa był Nero, owczarek niemiecki. Mieszkał w budzie urządzonej wewnątrz północnej części stodoły, przez większą część roku buda obłożona była sianem, miał więc ciepło. Jako dwu-trzylatek siadałem na grzbiecie Nera, trochę dla zabawy na nim jeździłem. Skąd się w Czołkach Nero wziął, nie wiem, nie pamięta też tego Mary-

sia. No i nie wiem, nie pamiętam, jak długo Nero żył. Miał przywilej swobodnego biegania nocą, rano wiązany był do obroży i łańcucha.

Przypomniana lekcja polskiego pani Lucyny Segiedy: piszemy morze Bałtyk, ale piszemy Morze Bałtyckie.

„Pozory się mylą” – niezamierzenie odkrywczo powiedział w sobotni wieczór 8 września 2012 roku Marcin, ten od „fotela z komiksu”.

Którejś wiosny i lata – mógł to być rok 1971, 1972 lub 1973 – z Krzyśkiem Smolińskim zbieraliśmy kwiaty pokrzywy białej (właściwie jasnoty białej, łac. *lamium album*). Było to zajęcie całkowicie dobrowolne, bardzo czasochłonne i nudne, odbywało się popołudniami, po lekcjach. Kwiatów szukaliśmy w ogrodach i sadach na Listopadowej, Polnej, Spadku i na okolicznych bezdrożach Nowego Miasta. Suszyliśmy je na gazetach na niskim, nagrzanym pod dachem z papy strychu domu, w którym mieszkałem. Suszone kwiaty pokrzywy białej mają zastosowanie w ziołarstwie: działają przeciwzapalnie, wykrztuśnie, moczopędnie i słabo ściągająco. Napary z kwiatu jasnoty białej stosuje się w mieszankach z innymi ziołami. Wtedy tego nie wiedziałem. Wysuszone ziele – jak dużo mogło go być? co najwyżej kilkadziesiąt deko – sprzedaliśmy w punkcie skupu ziół, zdaje mi się, że to było na ulicy Kilińskiego, za niewielką, niewspółmierną do poniesionego trudu sumę.

Dziadkowie nie mieli parnika, dlatego dla świń i drobiu ziemniaki Babcia gotowała w wiadrach i dużych garnkach na piecu kuchennym. Drewno i węgiel leżały pod stołem obok pieca. Woda kipiła i spod pokrywek kapłała na gorącą blachę, po mieszkaniu snuł się znajomy zapach. „Świński” garnek i wiadro były osmalone sadzą, przepalały się dna. Pogrzebaczem, na który mówiliśmy haczyk, Babcia sprawdzała, czy ziemniaki są już miękkie. Gotowanie dla świń i kur na piecu kuchennym było powszednie i zwyczajne, jak na przykład noszenie wody ze studni.

Kiszone ogórki, kiszona kapusta, kwaszone ogórki, kwaszona kapusta. Obydwie formy poprawne. U mnie w domu mówiło się kiszone ogórki i kiszona kapusta.

Pielenie marchwi pastewnej, buraków cukrowych i warzyw, kopcowanie marchwi, rozkopywanie kopców z marchwią zimą, naprowadzanie młodych

pnący chmielu na druty, zbiór chmielu, grabienie siana, zwózka i składowanie siana, wykopywanie szpadlem sadzonek malin i przygotowywanie ich do sprzedaży w obwiązanych sznurkiem wiązkach, chwytanie owiec i pomoc przy ich strzyżeniu, praca w szkolnej kotłowni przy węglu i koksie, zbieranie ziemniaków, przebieranie ziemniaków, ręczne koszenie trawy. Oto skromny, przykładowy wykaz czynności, jakie wykonywałem podczas szkolnych praktyk w dwuletniej Zasadniczej Szkole Rolniczej i trzyletnim Technikum Rolniczym w Zamościu.

Stasio Krajewski. Kilka lat przesiedziałem z nim w jednej ławce w szkole podstawowej i kilka lat w zawodówce i technikum. Zwykle razem odbywaliśmy rolnicze praktyki. Mieszkał w Szopiniku, do Zamościa dojeżdżał autobusem 12, który z Jarosławca jechał przez Szopinek do bramy Lwowskiej przy Starym Mieście (Stasio wysiadał na przystanku obok kiosku Ruchu i postoju taksówek, z kolei przystanek 12-ki w stronę Szopinika znajdował się przy budce z ciastkami Sienickiej tuż obok zachodniej strony nowomiejskiego rynku). Rodzice Stasia mieli gospodarstwo, ojciec pracował dodatkowo jako kierowca w pogotowiu ratunkowym. W kościele św. Krzyża na Nowym Mieście, gdzie w 1970 roku przyjąłem Pierwszą Komunię i gdzie chodziłem na lekcje religii, Stasio był ministrantem – chyba do ostatniej klasy szkoły podstawowej. Był grzecznym, bardzo solidnym dzieckiem i chłopcem, w sam raz na ministranta. Ale potrafił też być „ziółkiem”. W którejś z młodszych klas na przerwie popchnął mnie na kaloryfer, do dziś zostało mi znamię po rozciętej skórze pośród włosów ponad czołem; pamiętam ówczesne krwawienie i opatrunek, który zaraz mi się zsunął. Krawędź żeberka kaloryfera mogła rozłupać mi głowę. Mnie do służby przy ołtarzu i na uroczystościach religijnych księża nie wciągnęli. Nie jestem pewny, czy bym się do tego nadawał. Ale ministrantowania Stasiowi zazdrościłem.

## Pięć orzechów włoskich i celesta

Czterdzieści lat temu w szkicu o dobrze znanym tytule *Powiedz prawdę, do tego służysz*, przedrukowanym nieco później w *Etyce i poetyce*, Stanisław Barańczak – nie bezkrytycznie, ale z dużym uznaniem – witał trzy debiuty swoich (prawie) rówieśników: *Droзда i inne wiersze* Krzysztofa Karaska, *Komunikat* Adama Zagajewskiego i *Samopalenie* Jerzego Kronholda: „Już w tej chwili można powiedzieć, że rok 1972 będzie uważany za jedną z najważniejszych dat w dziejach – krótkich, jak na razie, ale ciekawych – najmłodszej »zmiany warty« polskiej poezji”. Debiutant z Cieszyna, co zrozumiałe, był wówczas dla krytyka jednym z kilku podobnych (choć nie takich samych) poetów, objętych generacyjną wspólnotą. „Świat tych poetów jest niestabilny, objawia się w stanie zachwiania czy nawet rozpadu; ich bohater liryczny jest człowiekiem wątpliwym i pełnym niepokoju; ich postępowanie poetyckie wspiera się na sceptycyzmie i ironii”. W roku 2012 nie wypada powtarzać oczywistości, że ledwie kilka lat po debiutanckim sezonie każda z poetek trzech opisywanych

przez Barańczaka autorów podążyła w swoim kierunku. Warto jednak zwrócić uwagę, że prawdopodobnie żadna z nich – choć ewoluowały wszystkie – nie przeszła podobnie intensywnego procesu dojrzewania, odbywanego w skupieniu, dalekim od udawanego (jedyne) wyosobnienia, introspekcji odtwarzanej przy użyciu dobrze opanowanych, wystudiowanych formuł. Dojrzewania w cichym namyśle, prawie niezauważalnym, nieobawiającym się nawrotów, autointerpretacji, nawet ślepych uliczek. Wreszcie – przypadek to czy nie – warto dostrzec, docenić i ten fakt, że na czterdziestolecie pracy twórczej Jerzy Kronhold nie zbiera swoich wierszy, ani ich nie wybiera, lecz daje nowe. W konsekwencji – *Epitafium dla Lucy* nie zachęca do lektury całościującej, podsumowującej, okolicznościowej. Nie eksponuje punktu dojścia. Jest punktem na linii – albo lepiej: w przestrzeni, twórczości tej nie da się bowiem opisać jako rozwijanej jednostorowo – przemian, nieustannych prób i poszukiwań. Nie można powiedzieć, że poetyka ta (także jako kierunkowskaz możliwych przeobrażeń) wyczerpała już swój potencjał.

Właśnie dlatego – pamiętając o wielotorowości i niejednorodności tej poezji, o ciągłym dochodzeniu



i odchodzeniu do i od licznych własnych (otóż to: czy zawsze własnych?) języków – nie obawiam się przyznać, że nie ufam niektórym jej koleinom i pokrewieństwom. Nie obawiam się – bo nawet (lub szczególnie) wtedy, poezja ta pozostanie niepokojąco (jak sugerował autor *Nieufnych i zadufanych*) wiarygodna. O wiarygodność tę zabiega, nie chcąc utrudniać czytelnikowi nawiązania kontaktu; świadczą o tym próby zdefiniowania swej tożsamości:

Poezja to zaproszenie do tańca  
fokstrot z widmami na Polach Elizejskich  
to czasem zagłębienie do gardła przepaści  
chodzenie za niewidzialnym i niewyraźnym  
na końcu mapy i końcu języka  
bez asekuracji to jest czułość dla  
rękawiczki listka mięty pióra sówki  
i twojej malinowej pomadki  
to są rozmowy na brzegu morza  
kiedy leżymy obok siebie na piasku  
a ponad nami ehej obrotne obłoki  
takie same jak w Jerozolimie i Troi  
(*Poezja to zaproszenie do tańca*)

Nie wszystko w tym zaproszeniu jest równie zachęcające. Nie wszystko tu spójne. O ile łatwo zrozumieć, że w wierszu wolno podążać za „niewidzialnym i niewyraźnym”, opisując widzialne i wyrażalne – to podmiot utworów Jerzego Kronholda często i z dobrym skutkiem zwykł zresztą czynić – o tyle trudno dopatrzeć się czy dosłuchać w tej poezji „końca języka”, a nawet „końca mapy”. Zwłaszcza jeśli język i mapa miałyby dochodzić kresu w topografii Pól Elizejskich

czy dyrektywnej topice śródziemnomorskiej z dwóch końcowych wersów. W poezji autora *Wieku brązu* interesująca i silna w swoim dyskretnym wyrazie będzie dopiero, trafnie skądinąd nazwana, czułość dla materii, drobiazgu, rzeczy pociągającej, ale także odpychającej, brzydkiej i ułomnej. To materia niedoskonała a zastanawiająca, bo subtelnie dwuznaczna, niczym „ławka przed blokiem” z wiersza o takim tytule, która – „Gdyby / umiała mówić / mówiłaby pięknie / o przetaczniku / i majeranku / (...) / o podobieństwie / wdowy do synogarlicy / i o tym / co ją gryzie / wewnątrz / i na zewnątrz”. Kiedy indziej (na przykład na sąsiedniej stronie) bywa to materia chorego gatunku – jej własności upodobniają ów gatunek do innego, prototypowego: „Już mi się znudził / ten miło rozwinięty krawat / o gładkiej wytwornej / skórze / na specjalne okazje / (...) / tylko mój ojciec / umiał go przywiązywać / do siebie misternymi / węzłami / ja już tak nie potrafię / unikam spotkań / i jadu żywych / gadzin” (*Gad*).

Niekiedy, nierzadko, materia upomina się o przeszłość, zgłaszając swą użyteczność w procesie historii. Proces ma dwa znaczenia. Po pierwsze, dotyczy przebiegu zdarzeń, trwania stanów. Po drugie, jest procesem sądowym, przedmiot wnosi oskarżenie przeciwko swoim użytkownikom lub sukcesorom. W wierszu *Dobry wygląd*:

W pożydowskim domu  
na ulicy Frysztańskiej  
ocalał jeden  
pożydowski  
manekin krawiecki  
miał dobry wygląd  
niebudzący  
zastrzeżeń  
ale i tak  
poszedł do  
komina  
przez korniki

Najzupełniej materialna jest oczywiście wspomniana w wierszu ulica w Cieszynie, podobnie jak Wielka Czantoria w Beskidzie Śląskim (w wierszach *Czantoria* i *Tam w gąszczu*) i liczne rozsiane po utworach Kronholda szczegóły lokalnej geografii, lokalnych dziejów. Realne, historyczne były pogromy Żydów na Mazowszu i Podlasiu latem 1941 roku. Z krwi i kości – w dodatku jakby zreifikowana przez historię i nieodwracalnie fizyczne skutki jej doświadczenia – bohaterka *Helikoptera*, która „Nie usiedzi na miejscu / ani przed telewizorem / kręci się”, a przez sen „widzi małe / miasteczko / (...) / w środku / którego leżą / zabici Żydzi / więc sobie / krzyczy i / chce wyjść / a tu nogi / się same skręcają / a ręce odpadają / starość starość”.

Poczet postaci autentycznych otwiera tytułowa *Lucy* – z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami – której, bądź co bądź, poświęcony został utwór o charakterze żalobnym, panegirycznym, nawet jeśli towarzyszą mu dźwięki muzyki, różnorodnej jak cały tom Jerzego Kronholda: walce

Brahmsa, Straussa, ale przede wszystkim *Lucy in the sky with diamonds* Beatles'ów. Dziwne to epitafium, skoro ilościową przewagę nad przywoływanymi cechami chwalonej bohaterki zyskują wyliczenia – i opisy ułomnej, pogiębionej fizyczności – jej podopiecznych, „cierpiących braci mniejszych”. W tym kontekście całkiem nieprzypadkowa może wydawać się nazwa brytyjskiego zespołu bigbitowego...

W najlepszych swoich utworach Jerzy Kronhold po prostu opisuje rzeczy, zwięźle, trafnie, z pietyzmem. Materia nie zawsze wzbudza współczucie czy politowanie, jej istnienie w czasie nie musi też odsyłać do rejestrów bezceństw ludzkości czy choćby grzechów pojedynczego człowieka. Rzeczy wywołują przecież zachwyty, wśród przedmiotów upływa nasze życie. Otaczamy się nimi świadomie albo bezrefleksyjnie. Są organiczne i nieorganiczne. Są użyteczne. Ładnie wyglądają, niektóre pachną, pewne dobrze smakują, chłodzą, ocieplają, słyszymy je. Świat widzialny jest światem fizycznym, materia stanowi znaczną jego część. Jest wiarygodna, wśród pojęć zafałszowujących doświadczenie, wypowiedzi na usługach retoryki – ona jedna zasługuje na poważne traktowanie:

Przyniosłem ci dziś rano  
na śniadanie 5 orzechów włoskich  
i jedną żółcą się celestę  
zerwaną z gałęzi po drodze  
położyłem je na powierzchni  
z szarego piaskowca

w przypadkowych nic nieznaczących od-  
stępach  
i przysłuchiwałem się ich bezdźwięcznej kon-  
wersacji  
jakby to był sekstet tego Duńczyka (którego  
nazwisko wtedy mi wyleciało)  
ale wróciłaś z kuchni  
niosąc narzędzie do tortur  
i trzask pękających skorupek  
przypomnił mi że to  
Nielsen i jego cudownie wibrujący  
(przez moment w pamięci) menuet  
ze środkowej części  
(*Sekstet*)

Związanie doświadczenia wzro-  
kowego ze słuchaniem, wysłuchiwa-  
niem – jest w poezji Jerzego Kronhol-  
da swoistą normą. Nie chodzi tylko  
o liczną i bogatą reprezentację kom-  
pozytorów i wykonawców muzyki  
w wierszach. Zmysł słuchu – nie tyl-  
ko słuchanie muzyki – katalizuje, wy-  
ostrza w utworach poety z Cieszyna  
zmysł wzroku. Pobudza też pamięć,  
wyzwala świadomość. Przypomina się  
wiersz Williama Carlosa Williamsa pt.  
*Chcę ci tylko powiedzieć* – „że zjadłem /  
śliwki / które były / w lodówce // i które  
zapewne / przeznaczyłaś / na śniada-  
nie // Wybacz mi / były wyborne / ta-  
kie słodkie / i takie zimne” (z wyboru  
*Spóźniony śpiewak*, Wrocław 2009). Nic  
w nim nie ma prócz zmysłowego opisu  
smaku owoców. Subiektywne (indy-  
widualne, niepowtarzalne) doświad-  
czenie dzięki sugestywności rzeczo-  
wego opisu – obiektywizuje się. O rze-  
czy, o śliwkach, można opowiedzieć.  
Można też odtworzyć mechanizm  
asocjacji lub persewacji, ale i w tym

przypadku kluczem będzie opis ma-  
terii. Być obiektywnym – opisać śnia-  
danie złożone z pięciu orzechów wło-  
skich i jednej celesty, „torturę” materii,  
dźwięki pękających skorup. W ten spo-  
sób świat niestabilny uzyskuje punkt  
oparcia, prawda, że skromny – funda-  
ment doświadczenia, „tu” i „teraz” dy-  
stansujący „kiedyś”, „gdzieś”. Świat ten  
nie jest już – a przynajmniej czasami  
nie bywa „w stanie rozkładu”.

Paweł Mackiewicz

Jerzy Kronhold, *Epitafium dla Lucy*, Seria Poetyc-  
ka „Zeszytów Literackich”, Warszawa 2012

## Pożytki z czytania listów

Zaczyna się intrygująco, w 1950  
roku. Młoda dwudziestodziewięcio-  
letnia poetka i tłumaczka zwraca się  
do starszego o lat dziewięć redaktora  
„Tygodnika Powszechnego” ze swoimi  
rozterkami duchowymi. Julia Hartwig  
wyznaje: „Kiedy wszystko obsuwa się  
spod nóg, ludzie systematycznie wie-  
rzący wydają się godni zazdrości”. Na  
swoje wątpliwości dostaje odpowiedź  
rozbudowaną, kompetentną i w du-  
chu nauki Kościoła. Turowicz notuje:

„Pisze Pani, że ludzie wierzący wydają się godni zazdrości. Oczywiście, że są godni zazdrości, choć może nie jest zawsze rzeczą łatwą być chrześcijaninem. Właśnie dlatego że jesteśmy źli i mali, i właśnie dlatego że być chrześcijaninem to jest przede wszystkim olbrzymią odpowiedzialność. Odpowiedzialność za wszystko: za świat, za historię, za całą ludzkość, za każdego człowieka. Także i za tych, którzy są na zewnątrz, poza Kościołem, poza światłem”.

W tym czasie Hartwig przeżywa tragiczną śmierć (w wypadku samochodowym) reportażysty, Ksawerego Pruszyńskiego, z którym była związana i planowała za niego wyjść. Turowicz znał pisarza jeszcze sprzed wojny i spełnia prośbę Hartwig, w miesiąc po śmierci składa kwiaty na grobie Pruszyńskiego na Cmentarzu Rakowieckim w Krakowie. O to jednak mniejsza. Dla zbioru listów interesujący jest ten początek. Kilka lat po wojnie i w kulminacyjnej fazie stalinizmu jesteśmy świadkami wymiany poglądów o religii i wierze. Pisarka (choć przed debiutem książkowym), polonistka i romanistka rozpacza po stracie bliskiej osoby. Turowicz zna jej sytuację i stara się pomóc, podsuwając pocieszenie religijne. Ciekawe jednak, że Hartwig szuka otuchy, a otrzymuje wykładnię katolickiej antropologii. Religia to odpowiedzialność za świat i troska o innych, a człowiek wiary jest po stronie światła. Hartwig próbuje wyjść ze stanu apatii,

Turowicz zaś przesuwa rozważania ze spekulacji odnoszących się do jednostki na obszar myślenia o innych i o świecie. Hartwig w czasie żałoby łaknie odnowionej wiary, Turowicz broni „starej” i ma jej niewiele do zaoferowania, poza urokiem osobistym redaktora ważnego tygodnika. Czy tym listem, którego fragment zacytowałem, pomógł, nie wiemy. Choć Hartwig była redaktorką wdzięczna.

Ale właściwie kto z kim tu koresponduje. Bo przecież nie tylko młoda pisarka i redaktor (w wieku średnim), lecz intelektualistka z człowiekiem Kościoła, który bywa kierownikiem duchowym dla zagubionej i poszukującej kobiety. Turowicz jednak nie stanie się przewodnikiem po meandrach życia wewnętrznego. Hartwig poradzi sama sobie. W jej życiu pojawi się Artur Międzyrzecki i korespondencja nabierze zupełnie innego charakteru, a „epistolografię duchową” zastąpi „epistolografia rodzinna”. Wymianę listów między Julią Hartwig i Jerzym Turowiczem zamieni korespondencja pomiędzy małżeństwami: Jerzów i Arturów (jak z czasem będą siebie określać familie). Bywa zresztą, iż to żony przejmują inicjatywę, a mężowie dopisują swoje kwestie do ich listów (niewątpliwie już wkrótce cały ten blok korespondencji stanowił będzie wdzięczny przedmiot analiz).

Są jeszcze w pewnych okresach okrucy epistolograficznej narracji,

w której pojawia się szansa na poważne mówienie w tonie osobistym, prywatnym (intymnym nawet). Oto w 1973 roku pisze Turowicz do Hartwig i Międzyrzeckiego, a w akapicie skierowanym do poetki notuje: „Pytasz, Julio, jak się miewam. No cóż, stary się czuję poniekąd, zęby mi powypadały, muszę nowe wstawić, a miałem cichą nadzieję, że mi tamte, własne, wystarczą!”. Oczywiście, to słowa autoironiczne. Jednak takiego wyznania nie kieruje się do przypadkowej osoby. I sądzić można, że tak jak Hartwig oczekiwała wsparcia w roku 1950, tak Turowicz pragnie słowa pociechy dwadzieścia trzy lata później, choć z zupełnie innych powodów. Hartwig łaknęła pomocy duchowej, Turowicz wygląda pociechy z powodów dolegliwości wieku, tzn. ciała.

Co tracimy z czasem, jeśli pamiętamy ten pierwszy okres opowieści epistolograficznej? Listy mogły stać się formą ożywiającą język wiary, odnawiającą emocje religijne. Niestety, tylko w małej części *Wspólna obecność* posłużyć może jako materiał do rekonstrukcji form wyrażania ufności i wątplenia. To, co się tak dobrze rozpoczęło, z latami zastąpione zostało wymianą listów, w których tematem głównym staje się codzienne życie w PRL. To oczywiście także ważne. Wiemy, że i epistolografia jest przydatna nie tylko do odsłaniania duchowych pokładów poszczególnych osób. Bywa również materiałem do rekonstrukcji

historycznej, choć aspektowej, kolejnych dekad drugiej połowy XX wieku. W naszej humanistyce świetnie te pożytki z czytania listów pokazały interpretacje Małgorzaty Szpakowskiej (*Chcieć i mieć. Samowiedza obyczajowa czasu przemian*, Warszawa 2003).

Jest też oczywiście to, co łączy Turowicza i Hartwig. Oboje żyją w świecie PRL. Oboje utrzymują się z pisania i redagowania. Oboje funkcjonują na marginesie życia społecznego (tak to odczuwają). Jednocześnie te reguły bytowania w formacji politycznej i kulturowej Polski Ludowej nieustannie przekraczają. I Turowicz, i Hartwig podróżują. Turowicz często bywa w Rzymie, ale i w innych miastach europejskich. Hartwig natomiast kilka lat mieszka za granicą. A w latach siedemdziesiątych XX wieku, kiedy jest w Ameryce, poważnie rozpatruje ewentualność emigracji. Zresztą „pozostać czy wrócić” to jeden z ważnych wątków ich korespondencji z tych lat. I w tym wypadku konsultacja z Turowiczem okaże się bezcenna. Redaktor podsuwa bowiem język interpretacji, który pozwala zrozumieć, kim jest polski pisarz, kiedy przebywa z paszportem PRL kilka lat poza krajem. Indagowany przez Hartwig i Międzyrzeckiego w sprawie emigracji, Turowicz pisze: „Dlatego myślę – choć niczego nie doradzam – że wasze miejsce jest jednak w Polsce. Strasznie to brzmi, przecież wiem doskonale, że jesteście (-cie) Europejczykami, obywatelami

świata, członkami *Family of Man* – i dlatego moglibyśmy, powinniśmy móc mieszkać, żyć i pracować wszędzie”.

Jak widzimy, redaktor dylemat Hartwig i Międzyrzeckiego umieszcza w szerszej perspektywie. Pokazuje, jak z punktu widzenia współczesnego Polaka (chrześcijańskiego światopoglądu?) oceniać wybory życiowe intelektualistów. Jakkolwiek ostatecznie sugeruje powrót do kraju, to przecież nie uruchamia argumentacji, w której odwoływałby się do poczucia solidarności narodowej. Z dzisiejszej perspektywy najciekawsze jest jednak to, że Turowicz w tamtym czasie zwraca uwagę na tożsamość Europejczyka.

Nie najmniejsze znaczenie tom listów ma dla opisu, w kolejnych dekadach, życia literackiego. Tu jest zresztą sporo kwestii szczegółowych: jak pisarze znosili realia PRL; do jakiego stopnia potrafili zaakceptować dyrektywy ówczesnych urzędników władzy; jak kształtowali, przez swoje działania i opinie, literacką hierarchię (bodaj najważniejszymi postaciami literatury są w tym tomie Czesław Miłosz i Zbigniew Herbert, tworząc dwa paradygmaty powojennej poezji polskiej); jak funkcjonowały organizacje twórcze pisarzy (ZLP, PEN Club) etc. Osobną opowieść tworzą wzmianki na temat wprowadzania nowych utworów (oraz tłumaczeń) Hartwig i Międzyrzeckiego na łamy „Tygodnika Powszechnego”. Znamienne, że korespondenci rzadko

rozbudowują swoje wypowiedzi o estetyce literackiej. Turowicz zwykle kwituje wiersz Hartwig formułą „podoba mi się Twój wiersz”. Niekiedy jednak wyraża zachwyt nad twórczością poetki. Tak jest w 1982 roku: „Julio, Twoje *Błyski* znakomite, czytałem z ogromną satysfakcją i podziwem, oczywiście chcę drukować, jeśli tylko miejsce pozwoli, to wszystkie!”.

Ale przecież obszerny zbiór korespondencji zawiera też inne tematy „epickie”. W związku z pobytem Hartwig i Międzyrzeckiego na stypendium w USA listy mieszczą wątki kampusowe, czyli to, co dotyczy realiów życia w ośrodkach akademickich. Dowiemy się więc nie tylko, co Artur Międzyrzecki wykladał: a to współczesną poezję europejską, a to klasycyzm XX wieku, a to komparatystykę. Poznajemy też instytucje, które gościły pisarzy i wykładowców z Polski. Ze Stony Brook Międzyrzecki pisze: „Ten uniwersytet jest poważnym ośrodkiem fenomenologii, *chairman* – zresztą duchowny, jezuita – filozof, prowadzi to świetnie”. Lecz jest tu też sporo innego materiału. Realia życia amerykańskiego przedstawiane są ze świadomością funkcjonowania w zupełnie innych warunkach społecznych (nieskrępowana cenzurą wolność wymiany myśli) i ekonomicznych (codziennosc nie ograniczona troską o zdobywanie artykułów codziennego użytku). A wreszcie opowieść o Ameryce wypełniają spotkania z pisarzami

żyjącymi na wygnaniu (Czesław Miłosz) albo okazjonalnie przebywającymi na stypendiach (Kazimierz Brandys, Marek Skwarnicki, Andrzej Kijowski i inni).

Pisałem tu właściwie o listach Turowicza i Hartwig. Ale *Wspólna obecność* to przecież tom epistolografii rodzinnej. Książka jest ciekawym przykładem współczesnego piśmiennictwa praktykowanego przez pewną grupę intelektualistów. Ciekawe jest więc i to, co pisze Anna Turowiczowa. Poznajemy przecież życie codzienne żony redaktora, krakowianki, tłumaczki (m.in. André Frossarda). Nie wątpię, że i te listy staną się przedmiotem analiz z zakresu *gender studies*. Zobaczmy w nich, jak Anna przytłoczona domową krzątaniną, poświęca swój talent na rzecz pracy i sławy męża.

Jest jeszcze inna intrygująca kwestia teoretyczna. W kontekście form piśmienniczych ten sposób komunikowania, w którym mamy dopiski małżonków, buduje szczególną koncepcję listu. Zbliża się on do staropolskiej sylwy. Ważne są w niej kwestie życia politycznego i codziennego (np. wybór dobrego miejsca na wakacje albo postępy dzieci w szkole), informacje towarzyskie i opinie estetyczne, a także zajmujące zagadnienia aprowizacyjne. W jednym z listów Julia z Warszawy informuje Annę z Krakowa o zdobyciu dla przyjaciółki stanika: „Kochana Anno, zakupiłam jeden tylko, niestety, staniczek No 2. Trójki czarne były

nietypowe (większe miseczki) i stilonowe, więc nie ryzykowałam. Popeliny nie będzie teraz przez czas dłuższy, bo nie mają popeliny w magazynach, wzięłam ostatnią dwójkę, jaka była, kosztuje 106 zł. Oby tylko pasowała. Wysyłam osobno. Tyle co do intymności garderobianych”.

*Notabene* ten fragment listu sporo mówi nie tylko o relacjach pomiędzy Julią i Anną (kupowanie stanika wymaga pewnego stopnia zażyłości), ale też o gospodarce realnego socjalizmu (wiemy, co było artykułem deficytowym i poznamy ówczesną technologię produkcji biustonoszy; dowiadujemy się, z jakich materiałów były zrobione), a także o kulturze i społeczeństwie lat sześćdziesiątych XX wieku (przesłanie deficytowych artykułów nie wiązało się z ryzykiem kradzieży).

Konstrukcja tomu jest interesująca z innego jeszcze powodu. Jak zaznaczyłem, listy wymieniane są nie tylko między osobami, ale i rodzinami. Stąd jedna przesyłka ma dwoje autorów (niekiedy więcej, bo czasem i dzieci dodają swoje zdania). Ten drugi czytelnik wpierw wpis pierwszego, aby nie dublować wiadomości. Taka kompozycja tekstu wprowadza ograniczenia tematyczne i stylistyczne. Sporządzenie dopisków na listach spełnia rolę filtra. Kiedy Turowiczowa kreśli swój fragment do Hartwig, to wpierw czyta to, co napisał mąż. Nie ulega wątpliwości, że ten sposób korespondencji osłabia



dramaturgię korespondencji i w innym modelu listu Turowicz i Hartwig mieli by sobie więcej do powiedzenia.

Osobno trzeba wspomnieć o opracowaniu edytorskim i redakcyjnym tomu. Należy zauważyć, że również pod tym względem korespondencja jest przedsięwzięciem imponującym. Właściwie w tomie mamy dwie narracje: epistolograficzną (kolejne listy, kartki pocztowe, widokówki) i encyklopedyczną (przypisy, cytaty, noty biograficzne, objaśnienia geograficzne, indeks). Za wiele z tych zapisów powinniśmy być wdzięczni Janowi Strzałce. Choć na marginesie dodajemy, że zmienia się dzisiaj charakter komentarza redaktorskiego. W związku z tym, że książki czytamy zwykle w zasięgu komputera, raczej nie potrzebujemy elementarnych danych (mamy przecież Wikipedię). Natomiast można oczekiwać uzupełnień tam, gdzie czytelnik potrzebuje kompetencji biografów. W obszernym komentarzu do kartki pocztowej wysłanej przez Turowicza (nr 239) Strzałka objaśniając kontekst historyczny, informuje, że w 1982 roku (stan wojenny) odbyło się spotkanie generała Wojciecha Jaruzelskiego z redaktorami, dziennikarzami i publicystami ówczesnych gazet i czasopism, m.in.: z Turowiczem, Janem Bi-jakim, Zdzisławem Morawskim, Mieczysławem Czumą, Danielem Passentem, Zygmuntem Kałużyńskim. Warto by było przy tej okazji wspomnieć, że

ten ostatni był mężem Hartwig (razem w latach czterdziestych XX wieku przebywali w Paryżu).

Uzupełnieniem narracji epistolograficznej jest dokumentacja fotograficzna. Przeważają zdjęcia oficjalne. To też najbardziej interesujące być może jest to, na którym widzimy Turowicza z papierosem na tle stosu książek i papierów. Jego twarz wyraża głęboki namysł: nad sobą?, nad „Tygodnikiem Powszechnym”?, nad Polską?

Jeśli miałbym utyskiwać na coś w tym niebagatelnym przedsięwzięciu wydawniczym i redaktorskim (640 stron druku), to na tytuł. *Wspólna obecność* to formuła nazbyt patetyczna, która nie pasuje do zasadniczego zbioru listów zebranych w tomie.

*Jerzy Madejski*

*Wspólna obecność. Korespondencja Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Anną i Jerzym Turowiczami*, wybór i opracowanie Jan Strzałka, Wydawnictwo a5, Kraków 2012

## Osnowa

Autobiografię, w szczególności duchową, można opowiadać na dwa sposoby – eksponując, jak czyni to większość, wątek lub, co dużo rzadsze i chyba jednak trudniejsze, osnowę.

W pierwszym wypadku opowiada się wprost o sobie i swym rozwoju, w drugim zaś – i na tym właśnie polega trudność – opowiada się o innych, o ludziach więc, z którymi spotkania kształtowały bohatera książki. W wypadku *Żywych cieni* (swoją drogą to interesujące, że kolejna książka tej oficy, przywołuje cienie – poprzednio miało to miejsce w wypadku książki Piotra Mitznera *Gabinet cieni*) bohaterką jest autorka tomu, Barbara Toruńczyk. Los sprawił, iż na drodze swego życia spotkała ludzi szczególnych, często wybitnych, zawsze zajmujących i umięających obdarzać partnerów bogactwem swej wiedzy i wrażliwości, tym samym wpływając na kształtowanie wrażliwości tych osób, które potrafiły ich słuchać, przy czym słuchanie owo niekoniecznie związane jest z narządem słuchu, bo i wzrok przecież, jak to w lekturze bywa, ma tu swój udział.

Toruńczyk słuchać umie. Czy wszystkich? – zapewne nie, zapewne przede wszystkim tych właśnie, których słuchać postanawia, których sobie do słuchania wybrała, których uznała za godnych uwagi, wybitnych, tych więc, od których się może czegoś dowiedzieć i nauczyć. Z czasem, w coraz bliższym obcowaniu, spotkania zmieniają się w partnerstwo. Efektem tych spotkań i rozmów jest cała galeria portretów wypełniająca przestrzeń książki, przy czym są to obrazy szkicowane słowem kogoś nie tylko życzliwego i otwartego, ale

też osoby poszukującej, wciąż – poczynając od opisanych czy choćby wspomnianych wydarzeń z roku 1968, poprzez pracę dla podziemnego „Zapisu”, później zaś redakcyjne doświadczenie w tworzeniu i formowaniu „Zeszytów Literackich” – aktywnie uczestniczącej przede wszystkim w życiu kulturalnym, dotkniętej żywiołem polityki, lecz wobec tego żywiołu, na ile to w ogóle możliwe, zdystansowanej. Ale, oczywiście, całkowity dystans w tych pięknych okolicznościach historii nie jest możliwy – więcej: jego demonstrowanie siłą rzeczy prowokuje pytania, niekoniecznie drażliwe, choć za takie mogące uchodzić.

Tak właśnie jest w kwestii „rozliczeń ze stalinizmem”, powracającej w naszym życiu i politycznym, i kulturalnym, jak bumerang – choć można przypuszczać, że z biegiem czasu i następstwem pokoleń rzecz przestanie budzić niezdrowe emocje. Pisze Toruńczyk w otwierającym książkę szkicu o „Zapisie”, którego spora część poświęcona jest, i słusznie, Wiktorowi Woroszyłskiemu, poecie chyba wciąż niedocenionemu, autorowi niemal już zapomnianej, a wartej wznowienia, znakomitej biografii *Życie Majakowskiego*, że ci, którzy inicjowali dyskusję o przeszłości zarówno jego, jak całej, znaczącej w naszej literaturze grupy pisarzy, stawiali „podsądnym” warunki: „Jak gdyby sądzili, że bez wyznania dawnej winy akces do opozycji jest

niepełnowartościowy, skażony. Ocze-kiwanie to kierowali po przeszło dwudziestu latach do pisarzy, którzy mieli już za sobą cały październikowy okres literatury rozrachunkowej i dwie deka-dy odważnych wystąpień przeciw dyktatorskim poczynaniom władzy". Ale też dodaje: „Prawda, rezultat tego rozliczenia się z własnej przeszłości mało kogo zadowalał”.

Przepisując te słowa zdaję sobie sprawę z faktu, iż pisane są niepojętym dla młodych czytelników szyfrem, który, by stał się zrozumiały, musi być opatrzone przypisami – nie każdy bowiem od razu skojarzy, co znaczy termin „październikowy okres”, nie dla wszystkich oczywistym stanie się pojęcie „literatury rozrachunkowej”, która młodym polonistom, jeśli zdarzyło im się sięgnąć do książki Kazimierza Wyki o pisarstwie powojennym, pomylić się może z takim terminem, jak „literatura rozrachunków inteligenckich”. Nie każdy też zrozumie z tekstu Toruńczyk, o co naprawdę chodziło owym inicjatorom dyskusji o dawnych „winach” tych przedstawicieli pokolenia wojennego, którzy zaangażowali się po stronie komunizmu i pisywali socrealistyczne koszmarki. A w istocie nie tyle chodziło o jakąś „skrucę” czy „wyznanie win”, ile o odpowiedź na pytanie: dlaczego?, jak to było możliwe?, na czym to polegało? Te same pytania przecież stawia Agnieszka, bohaterka filmu Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru*. Nie „winy”

były przecież interesujące, lecz mechanizmy, które sprawiały, że ci inteligentni i wrażliwi ludzie na krótko, ale jednak, stawali się wyznawcami zła. Nie chodziło, przynajmniej tym, którzy te pytania zadawali na łamach podziemnego „Pulsu”, o „rozliczenie”, choć wielu tak się może wydawać. I myślę, że zadający te pytania Jacek Bierezin nie był w podziwie dla Woroszyłskiego mniej szczery i autentyczny niż Barbara Toruńczyk, ale zapewne – pojawiając się w przestrzeni wpływu i oddziaływania autora *Snów pod śniegiem* z innych ob-szarów niż te, z jakich w tym kręgu pojawiła się późniejsza redaktorka „Zeszytów Literackich” – nie był równie jak ona wyczulony na ból, jaki zadawanie tych pytań może wznawiać.

Oczywiście, nie jest Woroszyłski jedynym bohaterem tej książki: galeria portretowanych tu postaci jest i bogata i, wbrew pozorom, niejednorodna: dość wymienić tych, którzy swych nazwisk użyli w poszczególnym rozdziale: Zbigniew Herbert, Jerzy Turowicz, Jan Lebenstein, Jerzy Giedroyc, Paweł Hertz, Marek Edelman, Jan Kott, Jan Nowak-Jeziorański, Jacek Woźniakowski, Ala Margolis-Edelman, Czesław Miłosz. Lecz przecież obecnych jest więcej, by wspomnieć choćby wspaniałą i piękną Zofię Hertz, bez której egzystencja „Kultury” i Instytutu Literackiego byłaby nie do pomyślenia. No i jest sama Barbara Toruńczyk, której dwa wywiady zamykają całość. I tu muszę wyznać,

że pisząc o tej książce nie jestem w stanie przyjąć stanowiska obiektywnego i niezaangażowanego w tworzony w niej świat recenzenta – większość bowiem postaci pojawiających się na tych kartach znałem, z niektórymi dane mi było współpracować. To do pewnego stopnia także mój świat i przestrzeń moich przeżyć, a o tym nie przychodzi mi pisać łatwo. Zapewne – skomponowała Toruńczyk ważny i zajmujący dokument, dała świadectwo czasu, które dla przyszłych badaczy polskiego życia kulturalnego drugiej połowy XX stulecia stanie się jednym z istotnych punktów odniesienia. To jednak, co mnie najbardziej w tej książce pociąga, to przebijający spod wszystkich pomieszczonych tu tekstów delikatny autoportret autorki, wątek jej życia, o którym wszakże pisać, póki co, wydaje się zbyt wczesnie. Ale jedno się z tego wyłania – obraz drogi, jaka doprowadziła autorkę do powołania i wydawania „Zeszytów Literackich”, co stało się jej przeznaczeniem,

o którym tak oto powiada: „Nie jestem pewna, czy drugi raz wdałabym się w taką awanturę. Nie mam już jednak wyboru. No i się uparłam. »Zeszyty Literackie« to dziś może jedyne pismo w Polsce, które przynajmniej odczuwa pewne zahamowanie, kiedy ma tłumaczyć autorowi, że artykuł trzeba skrócić o połowę i urozmaicić »pomysłami«”. Dokąd ta droga zaprowadzi samą redaktorkę i jej pismo, trudno wyrokować dlatego choćby, że w jakimś sensie jej postawa wobec literatury i kultury dla wielu – choć z pewnością nie dla mnie – wydać się może anachroniczna. Toruńczyk i jej kwartalnik tworzone są w czasie kryzysu stawiając wszakże nie na zapaść, która wydaje mi się nieunikniona, ale na przesilenie, w którym ciągłość tradycji i podtrzymywanie „wysokiego stylu” odegrać może rolę znaczącą, być może decydującą.

*Leszek Szaruga*

Barbara Toruńczyk, *Żywe cienie*, Fundacja „Zeszytów Literackich”, Warszawa 2012

**Samuel Beckett**, (1906–1989), dramatopisarz, prozaik, poeta, eseista; pisał po angielsku i francusku; laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1969 roku. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 1996 nr 4 (12), 1999 nr 4 (24), 2006 nr 3–4 (51–52), 2007 nr 1 (53), 2008 nr 4 (60)).

**Thomas Bernhard**, (1931–1989), prozaik i dramatopisarz austriacki znany w Polsce z wielu przekładów. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2009 nr 2 (62) i 3 (63)).

**Kazimierz Brakoniecki**, ur. 1952 w Barczewie, autor około trzydziestu książek poetyckich, prozatorskich i przekładów; ostatnio opublikował *Dziennik berliński* (2011); w latach 1991–1997 redaktor naczelny „Borussii”. Mieszka w Olsztynie.

**Paul Celan**, właściwie Paul Antschel, (1920–1970), poeta; autor dziesięciu tomików wierszy (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 2 (18), 1998 nr 4 (20)).

**Stefan Chwin**, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Miłosz. Interpretacje i świadectwa* (2012) oraz z Krystyną Chwin zredagował *Miłosz. Gdańsk i okolice* (2012). (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67)). Mieszka w Gdańsku.

**Aleksander Fiut**, ur. 1945 w Żywcu, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Z Miłoszem* (2011) i redagował trzeci tom pt. *Poznawanie Miłosza*. Mieszka w Krakowie.

**Michał Głowiński**, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki; profesor IBL PAN (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)); ostatnio opublikował *Realia, dyskursy, portrety. Studia i szkice* (2011). Mieszka w Warszawie.

**Renata Gorczyńska**, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała tom szkiców *Jestem z Wilna i inne adresy* (2003). Mieszka w Gdyni.

**Julia Hartwig**, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; ostatnio w Wydawnictwie a5 ukazał się tom jej wierszy *Gorzkie żale* (2011). (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)). Mieszka w Warszawie.

**Zbigniew Herbert**, (1924–1998); poeta, dramatopisarz, eseista; „Kwartalnik Artystyczny” opublikował Dodatek do nr. 2/2008 (58) poświęcony poecie. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 1 (17), 1999 nr 2 (22)); w 2011 roku w Wydawnictwie a5 ukazał się tom wierszy Herberta w większości wcześniej nie publikowanych *Utwory rozproszone. (Rekonosans)* pod redakcją Ryszarda Krynickiego, suplement do wydanych w 2008 *Wierszy zebranych*.

**Marek Kędzierski**, ur. 1952, prozaik, eseista, tłumacz Samuela Becketta i Thomasa Bernharda, reżyser; w 2010 roku w Wydawnictwie „Czytelnik” ukazały się w jego przekładzie powieść *Dawni mistrzowie* i *Moje nagrody* Thomasa Bernharda. Mieszka m.in. w Paryżu.

**Bogusław Kierc**, ur. 1943 w Bielsku-Białej, autor wierszy, krytyk literacki, aktor, reżyser, edytor; w 2011 roku pod jego redakcją ukazały się *Wiersze zebrane (1964–1971)* Rafała Wojaczka. Mieszka we Wrocławiu.

**Jakub Kornhauser**, ur. 1984 w Krakowie, pracuje na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego; w „Kwartalniku Artystycznym” publikował wiersze (1/2006) i prozę (1/2008). Mieszka w Krakowie.

**Ryszard Krynicki**, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta, tłumacz, wydawca; autor dwunastu tomów wierszy, ostatnio opublikował *Wiersze wybrane* (2009); tłumacz poezji niemieckiej, m.in. Paula Celana, Georga Trekla, Nelly Sachs. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 2 (18)). Mieszka w Krakowie.

**Krzysztof Lisowski**, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik i krytyk literacki; redaktor Wydawnictwa Literackiego; ostatnio ogłosił tomik wierszy *Nicości, znikaj* (2011). (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 2 (74)). Mieszka w Krakowie.

**Paweł Mackiewicz**, ur. 1981 w Żmigrodzie; krytyk i historyk literatury, pracuje Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pisane osobno. O poezji polskiej lat pierwszych* (2010). Mieszka we Wrocławiu.

**Jerzy Madejski**, ur. 1960 w Chlebówku, historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Szczecińskiego; opublikował m.in. *Deformacje biografii* (2004). Mieszka w Szczecinie.

**Piotr Matywiecki**, ur. 1943 w Warszawie; autor siedmiu tomów wierszy, tomów esejów i antologii poezji polskiej; ostatnio ogłosił tom wierszy zebranych *Powietrze i czerń* (2009). Mieszka w Warszawie.

**Czesław Miłosz**, (1911–2004), poeta, eseista, prozaik, tłumacz, laureat Literackiej Nagrody Nobla (1980). (Patrz numery monograficzne i tematyczne jemu poświęcone: „Kwartalnik Artystyczny” 2001 nr 2 (30), 2001 nr 3 (31), 2004 nr 3 (43), 2005 nr 3 (47), 2006 nr 3-4 (51-52), 2008 nr 3 (59), 2011 nr 2 (70)).

**Krzysztof Myszkowski**, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998). Mieszka w Bydgoszczy.

**Anna Nasiłowska**, ur. 1958 w Warszawie; autorka wierszy, powieści, krytyk literacki, pracownik naukowy IBL PAN; ostatnio opublikowała powieść *Historie miłosne* (2009). Mieszka w Warszawie.

**Aleksandra Opalińska**, ur. 1968 w Wadowicach, autorka tomiku wierszy; publikowała m.in. w „Zeszytach Literackich” i „Odrze”. Mieszka w Bielsku-Białej.

**Tadeusz Różewicz**, ur. 1921 w Radomsku, poeta, prozaik, dramaturg; ostatnio opublikował tomik pt. *To i owo* (2012). (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2004 nr 2 (42), 2006 nr 2 (50), 2011 nr 4 (72)). Mieszka we Wrocławiu.

**Renata Senktas**, ur. 1979 w Mińsku Mazowieckim, autorka wierszy i tłumaczka; debiu-

owała tomikiem pt. *Bardzo* (2010). Mieszka w Warszawie.

**Marek Skwarnicki**, ur. 1930 w Grodnie, poeta, prozaik, tłumacz, publicysta i felietonista; opublikował m.in. tom wierszy *Wygnani z raju. Poezje zebrane 1956–2006*; autor wspomnień o Janie Pawle II i Czesławie Miłoszu. Mieszka w Krakowie.

**Asja Szafraniec**, ur. 1968 w Warszawie, autorka tomu esejów pt. *Beckett, Derrida and the Event of Literature* (2007). Pracuje na wydziale filozofii na Uniwersytecie w Amsterdamie. Mieszka w Amsterdamie.

**Leszek Szaruga**, ur. 1946 w Krakowie, autor tomów wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; w 2010 roku opublikował tom prozy wspomnieniowej *Podróż mojego życia*. Mieszka w Warszawie.

**Piotr Szewc**, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Moje zdanie* (2009). Mieszka w Warszawie.

**Janusz Szuber**, ur. 1947 w Sanoku, poeta, autor szesnastu tomików, czterech wyborów wierszy i prozy wspomnieniowej; ostatnio opublikował *Powiedzieć. Cokolwiek* (2011). (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 3 (75)). Mieszka w Sanoku.

**Wisława Szymborska** (1923–2012), poetka, laureatka Literackiej Nagrody Nobla (1996); (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2009 nr 1 (61), „Kwartalnik Artystyczny” 2004 nr 1 (41)), po śmierci Wisławy Szymborskiej „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 1 (73) poświęcony był Noblistce; w kwietniu 2012 w Wydawnictwie a5 ukazał się pośmiertny tom jej wierszy pt. *Wystarczy* (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 2 (74)).

**Marek Wendorff**, ur. 1952 w Toruniu, recenzent teatralny. Mieszka w Toruniu.

Imponująca jest twórczość przekładowa Stanisława Barańczaka, w której oprócz Biblioteczki Poetów Języka Angielskiego na plan pierwszy wysuwa się przekład niemal wszystkich komedii, tragedii i kronik historycznych Williama Shakespeare'a (1564–1616) – dokonanie, o którym w słowach podziwu mówią m.in. Jan Kott i najwybitniejsi polscy aktorzy: Tadeusz Łomnicki, Gustaw Holoubek i Andrzej Seweryn. W Znaku ukazało się solidne i piękne wydanie wszystkich trzynastu komedii stratfordczyka, ze świetnie rozplanowanym i przejrzystym tekstem, w sumie ok. tysiąc czterysta stron.

Pierwsze polskie wydanie dzieł Shakespeare'a opublikowane zostało w 1875 roku pod patronatem i redakcją Józefa Ignacego Kraszewskiego i obejmowało wybór przekładów Józefa Paszkowskiego, Leona Ulricha i Stanisława Koźmiana, stając się wydarzeniem wielkiej wagi dla polskiej kultury i literatury. Potem dzieła Shakespeare'a przekładali m.in. Jan Kasprowicz, Antoni Lange i Edward Porębowicz, a w XX wieku m.in. Władysław Tarnawski (całość), poszczególne: Konstanty Ildefons Gałczyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Miłosz, Roman Brandstaetter, Stanisław Dygat, Zygmunt Kubiak, Zofia Siwicka,

Krystyna Berwińska i wreszcie znowu całość w realizacji Macieja Słomczyńskiego, głośnego tłumacza *Ulisesa* Jamesa Joyce'a. I właśnie w tym kontekście, bliższym i dalszym, pojawiły się nowe i odmienne przekłady Stanisława Barańczaka – poety, esyisty i historyka literatury. Swoje zmagania z tłumaczeniem „nieprzetłumaczalnego” wyłożył w tomie pt. *Ocalone w tłumaczeniu*. Mówi w nim m.in., żeby nie tłumaczyć wiersza na prozę i dobrej poezji na złą. W dramatach Shakespeare'a widzi poezję i stara się ją zachować w przekładzie. Zwraca też uwagę na ich brzmieniowe i sceniczne walory (były i są przeznaczone do wystawiania na scenie). Ważny jest dla niego ich rytm, rymy, giętkość frazy i swoboda przerzutni, piękno i celność metafor, gry słów, dowcip i pointy. Podziw budzi maestria tłumacza w panowaniu nad językiem polskim.

Jak stwierdza w *Przedmowie* Marta Gibińska: „Nic nie przepada w tłumaczeniu, wszystko gdzieś i na różne sposoby wpisuje się w każdy nowy przekład, w rezultacie powstaje niekończąca się palimpsest tekstów i kontekstów”. I przytacza fragment wiersza Jamesa Merrilla pt. *Przepadłe w tłumaczeniu*, którym Barańczak zakończył *Ocalone w tłumaczeniu*:



Nic nie przepada. Czy też wszystko jest  
przekładem  
I każda cząstka nas przepada w nim  
(lub się znajduje – o błędę czasem przez  
ruiny

S., podziwiając, ile w nich spokoju),  
A kiedy to się dzieje, niepozorne drzewo,  
Barwa kontekstu, szumiąc niesłyszalnie  
Wraz ze swoim aniołem, obraca odpadki  
W odcień, i włókno, i mleko, i pamięć.

To wszystko odnosi się też do *Sonetów* Shakespeare'a w tym samym przekładzie, których nowe wydanie ukazało się nakładem Wydawnictwa a5.

O tych sonetach, wielkim miłosnym dramacie rozpisany na 154 sceny, opublikowanych po raz pierwszy w 1609 roku, napisano niezliczoną ilość tomów, a tak jak były, tak zostały zagadkowe i tajemnicze. Barańczak w słowie wstępnym przedstawia najpierw garstkę faktów ich dotyczących, które nie budzą wątpliwości, a następnie mówi o ich przeróżnych interpretacjach.

Na tom składa się 154 numerowanych utworów dzielących się na dwie nierówne części: 1–126 i 127–152, przy czym 153 i 154 są jak gdyby doczepione do tej całości. Ich tematem głównym jest miłość, chociaż nie wiadomo dokładnie kogo do kogo: mężczyzny do mężczyzny, czy mężczyzny do kobiety, a dwa z nich najśłynniejsze: 18 i 116 dają odczytać się na dwa sposoby i można powiedzieć, że od tego punktu zaczynają się prawie same zagadki, które tłumacz stara się opisać, co, jak się domyślamy, nie jest ani łatwe, ani proste: mówi m.in. o sprzecznościach,

paradoksach, komplikacjach, sensach głębinowych, aliteracjach i zaskakujących metaforach, dodając: „A cały ten ruch znaczeń, całe to przepychanie się sensów odbywa się dlatego, że sensy są tak stłoczone, że mimo swojej skrajnej różnorodności treściowej, temperatury emocjonalnej i tonacji stylistycznej muszą się zmieścić w każdym poszczególnym utworze w stale tej samej ramce o wymiarach 14x10 (czternaście linijek, każda licząca sobie po pięć stóp jambicznych, czyli dziesięć sylab)”.

Sonety Shakespeare'a przekładali wspólnie m.in. Juliusz Żuławski, Artur Międzyrzecki, Wiktor Woroszyński, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jerzy S. Sito i Maciej Słomczyński. Przekład Barańczaka dodaje do nich nowe walory.

M.W.

William Shakespeare, *Komedie*, w przekładzie Stanisława Barańczaka, słowo wstępne Marta Gibińska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012

William Shakespeare, *Sonety*, przekład, wstęp i opracowanie Stanisław Barańczak, Biblioteka Poetycka pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 12, Wydawnictwo a5, Kraków 2012

Dziesięć lat temu, pod koniec czerwca 2002 zmarła w Warszawie Joanna Pollakówna (1939–2002) – znakomita poetka, historyk sztuki, eseistka, pisarka dla dzieci. Córka Seweryna

Pollaka i Wandy Grodzieńskiej. Za życia opublikowała jedenaście zbiorów poezji, tom dwunasty – *Ogarnął mnie chłodem* – ukazał się już pośmiertnie, w roku 2003.

Dziś, staraniem męża poetki, świetnego tłumacza, Wiktora Dłuskiego oraz Instytutu Mikołowskiego, ukazują się *Wiersze zebrane*, w opracowaniu i z przedmową Jana Zielińskiego. Wprowadzenie to nosi tytuł *Dwanaście stacji* – oznaczać może zarówno dwanaście książek, poetyckich zbiorów Pollaków (licząc od debiutanckiego arkusza *Dysonanse* z roku 1961), jak i dwanaście stacji męki, bo też życie, twórcza aktywność warszawskiej pisarki od początku lat siedemdziesiątych splecione było z nieuleczalną chorobą, cierpieniem. Jednym ze słów-kluczy całego tego poezjopisarstwa, jego późnej fazy jest: ból. A mottem dla jej liryki mógłby być dwuwiersz z *Wierszy ostatnich*, z utworu Pietà *Belliniego*:

Skwapliwie znów się z bólem brata

nieubłagane piękno świata

Jak się czyta te wiersze zebrane (wszystkie?), zgromadzone po dekadzie między okładkami jednej książki? Ciągłe dobrze, z podziwem dla skromności poetki i prostoty wiersza przy całym ogromnym skomplikowaniu treści. Ciągłe pięknie i klarownie artykułowane są – zgoda na cierpienie, ból egzystencji, przecucie Boga. I niezwykle wiersze

poświęcone mężowi, miłości małżeńskiej, najbliższemu związkowi międzyludzkiemu, który trwa jak opoka...

Podobnie nie straciły na trafności rozpoznania niektórych badaczy, którym bliska była liryka Pollaków. Adriana Szymańska konstatowała: „W wierszach Pollaków daje się zauważyć tę sztukę myślowego balansowania na samej granicy wyrażalności tego, co praktycznie nie należy już do ludzkich kompetencji poznawczych. Taka wiedza bywa dostępna świętym, mistykom, szaleńcom w rzadkich aktach ośnienienia”. Równie celnie wypowiada się Piotr Matywiecki: „W tej liryce uczucia skupiają się. Nie zagęszczają czasu swojego trwania – to sama miłość, sam ból są wieczne i chwilowe, są samotne w czasie, od czasu życia ekstatycznie i tragicznie odrywają się. Uczucia zyskują gęstość inną, znaczeniową”.

Przypomnijmy Pollakówę jednym z przejmujących liryków tego tomu, pokazującym wszystkie tony, niuanse ulubionej dykcji poetki:

\* \* \*

Ja, poddanka siedmiu cudów świata,

nie zobaczę siedmiu cudów świata.

Lata przejdą, zamieć przyfurkoce,

śnieżne igły mnie zadrapią w przelocie.

Gdzieś tam będą ciemniały menhiry

i kreteński książę wśród lilii

w swojej sztywnej i zdobnej pogodzie.

Przesypują się lata i śniegi,  
gdzieś tak stoją doryckie szeregi.  
Co widziałam? Kogo napotkałam?  
Ptak przeleciał, okruchy sypałam,  
śnieg przeleciał w oślepionym biegu,  
śląd swój ręką pieczętując na śniegu.

K.L.

Joanna Pollakówna, *Wiersze zebrane*, zebrał, opracował i przedmową opatrzył Jan Zieliński, Instytut Mikołowski, Mikołów 2012

Bouvard i Pecuchet, dwaj kopiści, siadają za specjalnie skonstruowanym biurkiem o dwóch pulpitych i zabierają się do pracy, ale już niczego nie zrobią. Tak kończy się ostatnia, niedokończona powieść Gustawa Flauberta (1821–1880), której obaj są tytułowymi bohaterami: pisarz pracując nad ostatnim rozdziałem pierwszego tomu, zmarł rażony apopleksją, co niejako przewidywał i zapowiedział (patrz: list do Julii Adam, redaktorki „Nouvelle Revue”). Po ponad sześćdziesięciu latach ukazuje się w Polsce jej wznowienie wydane nakładem zasłużonego dla propagowania twórczości tego pisarza Wydawnictwa Sic!

Jest to realistyczno-komiczny obraz epoki, przede wszystkim jej głupoty i form wyrazu. Flaubert chciał w tym dziele pokazać komizm głupoty

i przekroczyć go, dać odczuć, kiedy i jak robi się już nie do śmiechu. Osiem lat trudził się nad tym zadaniem. Miał być jeszcze drugi tom, z którego pozostały tylko fragmenty – obraz świata odbity w umyśle głupca, antologia głupoty i komunałów.

To heroikomiczna proza, której duch nie raz odżywał w różnych narażeniach, np. *Mercier i Camier* Samuela Becketta. Śmieszna, smutna i pouczająca historia, nie tyle napisana „ku porzuceniu serc”, co „ku przestrodze”. Od kryzysów cząstkowych zbliżamy się pomału, ale stanowczo i konsekwentnie do finałowej katastrofy, którą, kto wie, czy nie mogłaby być jakaś szersząca się na coraz większą skalę i w zastraszającym tempie epidemia głupoty, obejmująca nawet samego autora, rzeczywiście śmiertelnie niebezpieczna.

Do powieści dodany jest esej o Flaubercie Antoniego Sygietyńskiego z 1880 roku.

M.W.

Gustave Flaubert, *Bouvard i Pecuchet*, przełożył Wacław Rogowicz, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2012

Od melancholijnego i bardzo realnego zapisu zaczyna się ten niezwykle *Pamiętnik*: jest to w gruncie rzeczy opis walki ze swoim ciałem, umysłem i duchem i z okolicznościami, w których się znajduje, walki, z której nie można się

wycofać i która jest coraz bardziej trudna. „Taki jest porządek świata” – stwierdza Janusz Korczak (właściwie Henryk Goldszmit, 1879–1942), dobry i mądry człowiek, wychowawca i pisarz, „lekarz i rzeźbiarz duszy dziecięcej”, który nie opuścił swoich wychowanków i zginął razem z nimi w obozie zagłady w Treblince.

Z prośbą o Bożą pomoc i cytatem z *Pieśni porannej* (*Kiedy ranne wstają zorze...*) Franciszka Karpińskiego zaczyna w maju 1942 roku tę swoją „ostatnią robotę”, którą przyrównuje do kopania studni: „Głęboka będzie, jeśli zdążę, ta moja studnia”. W krótkiej autocharakterystyce opisuje barwne i zażyłe koleje swojego życia, stwierdzając, że jest „starym grzybem”, który ma dwieście dzieci.

Trwa wojna i okupacja, a on jest kierownikiem, wychowawcą i opiekunem w Domu Sierot w warszawskim getcie na Siennej 16 / Śliskiej 9 i mieszka tam, w środkowym pokoju, który był także izolatką dla chorych. Wykorzystując nocne godziny, pisze. Wspomina śmierć kanarka, z którą łączy się „tajemnicze zagadnienie wyznania” (miał wtedy pięć lat), chce napisać apologię wszy („Ale kto wejrzy w upośledzenie wszy?” – pyta), układa opowiastkę o wróblach, które karmił przez dwadzieścia lat i opowiada o pchełce, której uratował życie. Wymienia najważniejsze dla niego postacie z polskiej historii i literatury, m.in. Mickiewicza,

Piłsudskiego, Nałkowskiego, opisuje żenujące zachowania tak Polaków jak i Żydów, planuje, co będzie robił po wojnie, przedstawia wychowanków i warunki ich życia, o które tak dzielnie zabiega, zastanawia się, co to jest szczęście i tęsknota, myśli, co będzie po śmierci.

Mówi o kłopotach z pisaniem: a to jest zmęczony, a to atrament się kończy, nie ma papieru lub jest za mało karbidu i lampa gaśnie. „Každy powinien umieć utrwalac ołówkiem to, co chce zachowac w pamieci. Analfabeta jest každy, kto tego nie moze. / Ile razy wspominalem te prawde niezbita. / Oto scena, oto twarz, oto drzewo, ktore za chwile zniknie dla mnie na zawsze. Jaki zal, jaka szkoda”. Z miłoscią pisze o swoim mieście: „Warszawa jest moja i ja jestem jej. Powiem wiecej: jestem nia”. Stwierdza, że Pańska i Śliska to są jego „ojczyste strony”, wspomina dzieciństwo, dziadka z szopki z Miódowej, tajemne porozumienia i zwykle nieporozumienia z ojcem, matkę, która zmarła, zaraziwszy się od pielęgowanego syna tyfusem, babcię, która jedyna wierzyła w jego gwiazdę. „Jestem i matką, i ojcem. Wiem i wiele dzięki temu rozumiem” – wyznaje.

Są też w tym *Pamiętniku* zapisy dziwne, niejasne, trudne do odszyfrowania i zrozumienia, jak np. ten z 15 maja, czy przedziwny z 27 lipca; są powracające myśli o samobójstwie i o śmierci, są gniewne opinie o współpracownikach i ludziach, z którymi się

stykał, jest traktat o eutanazji, są zapisy o strachach i lękach (np. „Bałem się panicznie szpitala wariatów, do którego ojciec mój parokrotnie był kierowany”). „Z niczym nie żywa się człowiek łatwiej niż z cudzym nieszczęściem”, stwierdza, a można powiedzieć, że szczerze jest nim otoczony. Mało dba o siebie, pali papierosy i popija wódkę dla natchnienia.

Czytamy wstrząsające opisy scen, scenek i sytuacji ulicznych z getta, np. opisy zmarłych, wiele zapisów dialogów, bardzo żywych i autentycznych, np. z rykszarzem, kupcową, dziewczynką na pokładzie statku, czy Mendelkiem. „Ile klejnotów traci człowiek, że nie ma już cierpliwości rozmawiać z ludźmi bezinteresownie – tylko tak, żeby ich poznać”, stwierdza i dodaje: „Bo mówić i rozmawiać nie to samo. – Zmiana ubrania i rozbieranie się – to dwie różne czynności”. Niektóre fragmenty są jakby żywcem wyjęte z prozy Mirona Białoszewskiego (np. ten wspaniały ze str. 68), a przecież Białoszewski pisał po Korczaku. Z uwagą obserwujemy strukturę, ton i tok tego pisania.

Przywołuje „to pełne bezgranicznej rezygnacji żydowskie: – Więc co jest? – I co dalej?” i potem raz po raz do tego wraca. Dzieci leczy bezpłatnie, a jak już trzeba, to przyjmuje dwadzieścia kopiejek, „bo w Talmudzie napisane stoi, że bezpłatny lekarz nie pomaga choremu”. W ciekawy sposób rozpatruje swoje życie podzielone na

kolejne siedmiolecia. „Jestem nie po to, aby mnie kochali i podziwiali, ale po to, abym ja działał i kochał. – Nie obowiązkiem otoczenia pomagać mnie, ale ja mam obowiązek troszczenia się o świat, o człowieka”, stwierdza i mówi o samotności, o przyjaźni, o pracy, także o błaznowaniu. „Každy dzień, nie tylko wczorajszy, to książka – to gruby zeszyt, rozdział, który starczy na lata” – notuje. Kolejny zdumiewający zapis.

Z pisarzy przywołuje m.in. Marka Aureliusza, Słowackiego, Dostojewskiego, Prousta i Czechowa, który jest mu najbliższy i któremu, jak mówi, najwięcej zawdzięcza. Był człowiekiem wiary, chociaż nie był związany z żadną konkretną konfesją: czerpał z tradycji chrześcijańskich i żydowskich, teozoficznych i Dalekiego Wschodu. „Dawno już nie błogosławiłem świata. Tej nocy próbowałem – zawiodło” – mówi i dodaje: „Nikommu nie życzę źle. Nie umiem. Nie wiem, jak to się robi”. Cóż to za fantastyczne wyznanie! I zapis ostatni, który jest usprawiedliwieniem i jakby rozgrzeszeniem hitlerowskiego żołnierza, którego, gdy podlega kwiaty, widzi z okna.

*Pamiętniki* dopełniają inne pisma z tego okresu: prywatne i urzędowe listy, m.in. do Prezesa Czerniakowa, do księdza sąsiada, do wychowanka Hersza Kaliszera, sprawozdania, artykuły, rozmyślenia, zapiski, projekty i obszerne *curriculum vitae*, jest w nich wiele wspaniałych fragmentów.

W tekście pt. *Szczęście mówi*: „Zadaniem serca jest kochać. / Żołądek jest głodny, jeżeli mu nie dać pokarmu, jeżeli jest pusty i nie ma w nim jedzenia – a serce jest głodne i smutne, i pełne tęsknoty, jeśli nie ma w nim miłości”. Czesław Miłosz napisał o nim, że ukazuje nam „zagadkę rzeczywiście nadludzkiej siły miłości”.

W *Jak będę żył po wojnie* (1940–1942) przytacza taką historyjkę: „W przedszkolu w Kijowie nauczycielka zadała wypracowanie: / »Czym chcę być, gdy dorosnę?« / Chłopiec napisał: »Chcę być czarodziejem«. / Zaczęli śmiać się z niego, ale on rozumnie odpowiedział: / – Wiem, że czarodziejem nie będę, ale pani kazała napisać, czym chcę być”.

Janusz Korczak był czarodziejem.

K.M.

Janusz Korczak, *Pamiętnik i inne pisma z getta*, przypisy Marta Ciesielska, posłowie Jacek Leociak, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012

Trzeci tom *Dziennika pisanego nocą* (1993–2000) Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (1919–2000) jest solenną kontynuacją tomów poprzednich: niczym nie zaskakuje, niczego nowego nie odkrywa, a jedynie potwierdza to, co już było. Czy to mało? I tak i nie.

Najmniej ciekawe są długie pasma prozy, którymi Herling raz po raz szpikuje dziennikowy tok (jest ich około

dwadzieścia). Interesujące są zapisy polityczno-historyczne i to nie dlatego, że dowiadujemy się z nich rzeczy nieznanych, ale jako przypomnienie tego, co i jak działo się w pierwszym dziesięcioleciu wolnej Polski, jakie istniały w niej wiry, patologie i anomalia. Herling pisze o tym świetną polszczyzną, co wzmacnia wywód w porównaniu z tym, co znamy z tego okresu z zapisów publicystycznych, dziennikarskich, czy pamiętnikarskich. Są więc powroty do stanu wojennego, do „Solidarności”, do Okrągłego Stołu, zapisy o powinowactwie komunizmu i nazizmu, o lustracji i dekomunizacji, o prawie i sprawiedliwości, o *Czarnej Księżdzie Komunizmu*, o konferencji w Jachrance, o polskiej prawicy i lewicy. Żywym kontekstem spraw polskich są dla niego dzieje i sprawy z jednej strony rosyjskie, a z drugiej – włoskie. Pojawia się plejada polskich polityków z tamtych lat i niestety nie są to opisy budujące, wręcz przeciwnie („psychopatologia polityczna”). Są także zapisy, chociaż już nie tak pogłębione, dotyczące pontyfikatu Jana Pawła II i roli Kościoła w Polsce i na świecie.

Najlepsze fragmenty tego dziennika dotyczą moim zdaniem, i jest to *continuum* tomów poprzednich, literatury i malarstwa. Pojawiają się osobno i w ciekawych zestawieniach m.in. Tołstoj i Berlin, Leśmian i Schulz, Orwell i Sołżenicyn, jest Kafka (m.in. wnikliwe uwagi o *Przemianie*), konsekwentnie dosyć jednostronnie potraktowani

Miłosz i Andrzejewski, są Weil i Beckett (tu: świetny cytat z Weil i komentarz z rozpoznaniem bohaterów Becketta), Shakespeare i Proust, Dostojewski i Szestow, Czechow i Gorki, Sciasia i Chiaromonte, Cioran i E.A. Poe, Szałamow i Płatonow, Gombrowicz i Kot Jeleński, Flaubert i Camus, Conrad i Witkacy, Tomasz Mann i Gide, Huxley i Malraux, a z malarzy m.in. Masaccio, Antonello da Messina, Lorenzo Lotto, Michał Anioł, Caravaggio, Andrea Mantegna, Goya i Rembrandt.

Opisuje podróże, m.in. po Umbrii i Toskanii, pobyty na Capri, w Rzymie, w Neapolu, w Mediolanie i w Wenecji, w Londynie, w Pradze, w Berlinie i w Moskwie i trzy bytności w Polsce, dosyć szczegółowo zrelacjonowane.

Nazywa swój dziennik portretem epoki, typową *work in progress* i swoim *opus magnum*. Czy tak jest? Jest to na pewno *work in progress* i *opus magnum* Herlinga. Ale czy jest to portret epoki?

Z okazji odbierania honorowego medalu lubelskiego oddziału ZASP w związku z obchodami 75. urodzin przytacza umieszczony na dyplomie cytat z jego dziennika, tak dla niego ważny, jak stwierdza, fragment listu Czechowa:

„Artysta nie powinien wznosić się na wyżyny sędziego swoich postaci i tego, co mówią, powinien być tylko bezstronnym świadkiem. Ci, co piszą, szczególnie jeśli są artystami, muszą w końcu wyznać, że ten świat

jest niepojęty. Ludziom wydaje się, że wszystko wiedzą. Im są głupszy, tym szerszy jest ich horyzont. Lecz jeśli artysta, któremu ludzie wierzą, odważy się przyznać, że nic a nic nie rozumie z tego, co widzi, będzie to wielki krok naprzód”.

I szukamy tego przesłania tak w jego dzienniku jak i w całym jego pisarstwie.

K.M.

Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą*, tom 3 1993–2000, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012

Wszystkie utwory Izaaka Babla (1894–1940) w jednym tomie ze znakomitą wstępem jego tłumacza i egzegety Jerzego Pomianowskiego: m.in. *Dziennik 1920*, *Armia Konna*, *Opowiadania odeskie* i dwa dramaty, w tym po raz pierwszy drukowany po polsku pt. *Maria* – „To jedna z niewielu takich książek w świecie”.

Korespondent wojenny Jug-Rosty, agencji prasowej Rosarmii i żołnierz Pierwszej Armii Konnej Budionnego, czekista i ludowy komisarz oświaty, Żyd i bezpartyjny pisarz, więzień NKWD, który po dwustu sześćdziesięciu sześciu dniach przerażającego śledztwa (na ostatnim zdjęciu ma obrzękłą twarz i podbite oko) skazany został na rozstrzelanie. Za mistrza



uznawali go tak różni pisarze jak Tomasz i Henryk Mannowie, Malraux, czy Hemingway, cenili go i popierał Gorki. Pomianowski zestawia go m.in. z Orwellem, Koestlerem, Schulzem, Singierami i Josephem Rothem i mówi, że był najznakomitszym prozaikiem rosyjskim XX wieku.

„Opisy gwałtów, mordów, pogromów, pożarów, rabunków, których ofiarą byli bezbronni cywile z miast i osad Wołynia i Podola, czynią podczas lektury Babla wrażenie nawet na czytelniku przesycanym już relacjami, pamiętnikami, powieściami o erze obozów i Zagłady, o plonie Drugiej Wojny” – stwierdza Pomianowski. Pisał zwięzłym i pełnym przenośni językiem, był świetnym ironistą i jednocześnie realistą. Chciał, żeby czytelnik mógł zobaczyć niezwykłą stronę nawet najzwyczajszych wydarzeń: „Stylem to się załatwia, stylem, szanowny panie! Gotów jestem napisać opowiadanie o praniu bielizny i niewykluczone, że zabrzmiał jak proza Juliusza Cezara” – powiedział do Paustowskiego. Forma u niego była nie tyle składnikiem, co wektorem treści: „Nie ma powodu, aby dobrze opowiedziana historia przypominała rzeczywistość. Rzeczywistość ze wszystkich sił stara się przypominać dobrze opowiedzianą historię” – twierdził i starał się pisać z „rzeczową bezstronnością” i „patetyczną prostotą”, był „świadkiem z powołania”. Uważał, że cechą natury ludzkiej jest jej dwoistość, a jego główną cechą, jak mówi, była

ciekawość. „Babel przyozdobił swoich bohaterów nie gorzej niż Gogol swoich Zaporozców” – napisał Gorki. Zwięzłość i płynność jego stylu była owocem wielu skreśleń (np. bruliony czterech pierwszych *Opowiadań odeskich* składają się na gruby tom). Był erudytą, znał trzy języki, w tym hebrajski, pilnie studiował Biblię i Talmud

„Nie dali mi dokończyć...” – tak brzmiały ostatnie jego słowa przed aresztowaniem 16 maja 1939 roku, podczas którego zarekwirowano piętnaście teczek rękopisów, jedenaście notesów i siedem bloków z notatkami, które, jak poinformowało KGB, nie zachowały się. Ale mamy ten prawie osiemset stron liczący tom, do którego warto wracać.

M.W.

Izaak Babel, *Utwory zebrane*, przełożyli Jerzy Pomianowski oraz Seweryn Pollak, Wiktor Woroszyński, Mieczysław Binom, wstęp Jerzy Pomianowski, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2012

W siódmym tomie znakowskiej edycji *Pism* Leszka Kołakowskiego ukazały się eseje, czy, jak nazywa je autor, kazania, tekściki i artykuliki ze zbioru pt. *Czy diabeł może być zbawiony*. .. Nie układają się one w spójną i wyraźną całość, ale nie są też bezładną mieszaniną. „Starałem się przedstawić różne nieprzyjemne dylematy, jakie powstają

w rozmyślaniach filozoficznych, a także w polityce: ich wspólna formalna osobliwość na tym polega, iż zmuszają nas do opowiadania się za jedną z dwóch możliwości, z których każda jest przykra, lecz każda inaczej, niezadowolająca, a między którymi żadnych »syntetycznych« opcji nie widać”, czytamy w autorskim *Słowie wstępnym*. Stwierdza w nim, że wygasają wielkie utopie, co często dzieje się w katastroficzny sposób, nie ma już wielkich syntez filozoficznych, ani nawet nadziei na nie („ruina epistemologicznego absolutu”), tak jak nie ma szerokich syntez historyzoficznych i socjologicznych, czy politycznych utopii („siekiera zarząbała kata”); zniszczono formę w sztuce, bez której nie może ona istnieć, bo za tą granicą nie ma już nic. Widzimy, jak ten obraz jest aktualny.

Są w tej książce ciekawe teksty o diable. Poznajemy w nich m.in. definicję, która go określa, główne pytania pomagające odróżnić różne pojęcia, które go dotyczą i grupują najważniejsze idee i spory, które do niego się odnoszą, jego oblicza, których ma trzy – straszliwe, groteskowe i tragiczne (np. „bezlitosny i okrutny mistrz ognia i lodu”) i położenie w dzisiejszym świecie; czytamy o Antychryście, demonolatrii, demonopatii i demonomanii, o czarownicach i o opętaniach. Diableł jest uniwersalnym zjawiskiem kulturalnym i nieusuwalnym składnikiem sensownego świata, mówi Kołakowski.

W rozmaitych wcieleniach występuje we wszystkich religiach, w sztuce i w literaturze (np. u Dantego, Goethego, Milтона, Baudelaire’a, Tołstoj, Dostojewskiego i Manna), w mitach, w folklorze i w panteonach, w zwyczajach i w obrzędach i można powiedzieć, że zawsze i wszędzie jest obok człowieka i nie daje za wygraną.

Obok szkiców o diable są teksty o kryzysie chrześcijaństwa, o Kościele, o papieżach, także o *Pontifex Polonus*, o odwiecie *sacrum* w kulturze świeckiej i o etyce.

Dowiadujemy się, po co i komu potrzebni są intelektualiści, na czym polegają dylematy zachodniego socjalizmu, co to jest mentalność rewolucyjna, jak można być konserwatywno-liberalnym socjalistą, czym jest zatrucie otwartego społeczeństwa i zagrożenie cywilizacji, czym jest nienawiść i czym jest godność, dlaczego wolność uchodzi za największy skarb ludzki i jest tak cenna jak powietrze.

Zastanowienie i zamyślenie budzą artykuły na tematy polskie, które swego czasu były ogłaszane w paryskiej „Kulturze”: *Tezy o nadziei i beznadziejności* (1971), *Sprawa polska* (1973) i *O nas samych* (1975) oraz jakby dopisek do nich pt. *Próba zrozumienia. Posłowie do sprawy polskiej na 22 lipca 1981* (1981) oraz *Posłowie do posłowania* (1982) napisane w szóstym tygodniu stanu wojennego, w którym krótko, ale w szerokim kontekście wydarzeń, spraw

i zagadnień, nazywa rzeczy po imieniu i cytując Mickiewiczowski *Przeгляд wojska*, mówi m.in. o „wielkim gwałcie nad Polską”, o próbie „uśmiercenia narodu, tzn. jego zbydlęcenia moralnego” i o „błocie sowietyzmu”.

Wielki żal, że Leszek Kołakowski nie jest z nami w tym wszystkim, czego teraz doświadczamy. Ale są jego książki, do których warto wracać.

K.M.

Leszek Kołakowski, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012

To już ostatnia część *Dziennika Zygmunta Mycielskiego* (1907–1987), pisanego od 1950 roku, a od roku 1969 nazywanego *Niby-dziennikiem*: kolejne tomy ukazały się nakładem wydawnictwa Iskry (patrz omówienia w „Kwartalniku Artystycznym”). Tłem tego obszernego, liczącego ponad siedemset stron tomu są lata 1981–1987, a więc burzliwy czas pierwszego okresu „Solidarności” i stanu wojennego, opisany bezpośrednio, a także w odwołaniach do ostatnich dwustu lat historii Polski – Mycielski współczesność widzi przez historię i jest to ciekawe widzenie, bo z jednej strony jeszcze bardziej podkreśla ten czas, a z drugiej daje do niego zbawienny dystans.

Mycielski-narrator to intrygująca i dobrze skomponowana postać. Zna

arystokratyczne sfery Europy, np. księcia i księżną Lichtensteinu, dobrze jest zdomowiony, także jako autor, tak w kręgu „Kultury”, jak i „Tygodnika Powszechnego”, blisko jest z opozycjonistami (np. z Adamem Michnikiem, do którego pisze listy do więzienia), przyjaźni się z m.in. Henrykiem Krzeczowskim, Henrykiem Rostworowskim, Stefanem Kisielewskim, Pawłem Hertzem, Józefem Czapskim, a wcześniej z Jarosławem Iwaszkiewiczem i Jerzym Andrzejewskim, ceni poezję Miłosza, a chyba ponad wszystkich fascynuje go Panicz z Żułowa – Marszałek Józef Piłsudski, o którym mówi: „Zrobił i obronił Polskę” i „To był ostatni człowiek, który żył wielkością Polski”; wybór jego pism przygotował dla Jerzego Giedroycia. Uważnie obserwuje pontyfikat Jana Pawła II, wspomina spotkania z kardynałem Wyszyńskim, czyta jego *Zapiski więzienne*; Bóg, wiara i religia ciągle obecne są w jego myślach i zapisach.

Czyta m.in. Szekspira, którego uważa za największego pisarza wszystkich czasów, Montaigne’a, Kierkegarda, Dostojewskiego, Prousta, Tomasza Manna, Elzenberga, z którego wypisuje tak niezwykły w naszych czasach cytat: „Rzeczą najmniej wybaczną jest nikczemna hierarchia wartości”. Jest czytelnikiem „Le Monde” i pism europejskich, podróżuje po Polsce – m.in. Kraków, Poznań, Nieborów i po świecie – np. Londyn, Oxford,

gdzie odwiedza Andrzeja Czajkowskiego, Paryż, Wiedeń, Monte Carlo, Los Angeles i Ojai.

Ma dystans, ale i sentyment do swojego arystokratycznego pochodzenia: wspomina dwór w Wiśniowej, matkę Marię z Szembeków Mycielską i babcię Szembekową, ich słowa, zachowania, rady i nauki. Na pewno był „inny”, wyróżniał się, chociaż jak mało kto z tych sfer zbratany był ze zwykłymi ludźmi. Tak wspomina: „To wszystko mnie nudziło. Uciekałem na Montparnasse – »mój świat« uważał to za coś oryginalnego – w warszawskich salonach mówiono o mnie »ten muzyk«. Potem uznano mnie za osobistość raczej skandaliczną – ale wtedy wybuchła wojna i to wszystko runęło, poszło w zapomnienie. Powstała nawet wokół mnie jakaś aura szacunku, szlachetności czy – bo ja wiem, jak to nazwać. »Nie myśl o tym«, jak mi to babcia powiedziała, przeszło 70 lat temu”.

Inteligencja, namiętność, zainteresowanie duszą i psychologią człowieka, zdolność do entuzjazmu, inwencja artystyczna to najważniejsze cechy jego osobowości. Sceptyk, ale i patriota. Nie znosił nihilizmu, „bełkotu” awangardy. Wspaniałe są jego zapisy o muzyce, o Bachu, Beethovenie, Mozarcie, Chopinie, czy Szymanowskim: można je czytać wielokrotnie, z pożytkiem. Mówi: „Na dobrą sprawę interesują mnie naprawdę już tylko dwie rzeczy: moja własna muzyka i śmierć. Śmierć,

to znaczy wiara czy niewiara. A w stosunku do wiary wątpliwość, czy prawdziwa wiara istnieje?”. Pisze o chwytach stylu, o formie, rytmie i następstwie „elementów”, o dyscyplinie wyboru, brzmieniach i współbrzmieniach, o modulacji, niwelacji i punktach oparcia, o transpozycjach i o przemianach. Zapisuje próby zstępowania do głębi: wspomnienia, sny, widzenia. Notuje: „Miałem chwilę olśnienia, coś, co mnie wzruszyło do łez, kazało uklęknąć. Ale nie zapisuję tu tego. Myślę, że wielcy – nie tylko artyści – żyli takimi chwilami, które nas przenoszą w coś, co trzeba nazwać innym światem. Polega to na przyjęciu, na pokornym przyjęciu wzruszenia. (...) Miłość może istnieć, być. Ale może jej nie być – wtedy jej nie ma. I zostaje coś okropnego. Suche wióry – takie to życie”. Stwierdza, że Biblia, Szekspir i Bach to trzy największe szczyty; „Twórczość bez jakiegoś kształtu wiary staje się gnojem, ciałem wyciąganym widłami, grabiami – bez dostojęstwa, bez tego, co określamy teraz – już także wytartym terminem – *SACRUM*”.

Wiele jest ważnych zapisów na tych kartkach, np.: „Człowiek o wymiarze duchowym nie może zmieścić swojego ja w chaosie, ani chaosu objąć tym wymiarem”; „Bądź czymś więcej niż sobą. Nazwij to, jak chcesz: poza czy ponad sobą, ale nie tylko sobą, bo to za mało”; „Jak zwięzłe, przy ich »rozgadaniu«, są psalmy”. I lata końcowe, i rok ostatni: szpital, operacje, słabnięcie,

umieranie. Mówi, jak bohater Becketta: „Bnij do końca w tę resztkę życia i świata, który nosisz w sobie”; te końcowe zapisy brzmią jak monolog Malone’a.

Po ciężkiej operacji wraca do domu autobusem, a pieniężną nagrodę, którą dostał, od razu rozdał potrzebującym. W jednym z ostatnich listów pisze do Czapskiego: „Pisać do Ciebie takie rzeczy, to wstyd. A nie mieć wstydu, to też wstyd”. Mycielski to piękny człowiek.

K.M.

Zygmunt Mycielski, *Niby-dziennik ostatni 1981–1987*, słowo wstępne Barbara i Jan Stęszewscy, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2012

Chociaż *Listy Miłosz – Dedecius* obejmują długi okres od 1958 do 2000 roku, to składają się na niewielki i dorysowy schematyczny tom. Zaczyna Dedecius, prosząc Miłosza o przysłanie wierszy i pozwolenie na ich druk w *Antologii polskiej poezji współczesnej*, a także o krytyczne wskazówki dotyczące wyboru innych poetów i Miłosz służy mu informacją i pomocą. Ważne są te fragmenty, w których mówi o swojej poezji, np.: „Moim dążeniem była zwykle sama linia wiersza, jej zwartość, choćby język był mało »poetyczny«; starałem się to osiągnąć przez sam układ akcentów” i o jej recepcji w obcym języku, która zależy od szeregu delikatnych okoliczności, a także komentarze na temat wybranych wierszy. „Trzeba

bronić się przeciwko maskom, które krytycy na teraz nam nakładają, co niestety trudne”, stwierdza.

Przedstawia także propozycje tekstów do antologii prozy polskiej, wymieniając m.in. Dąbrowską, Leo Lipskiego, Rembeka, Vincenza, Haupta, Kuncewiczową i Filipowicza, a Stempowskiego, Straszewicza, Herlinga-Grudzińskiego, Hłaskę, Józefa Mackiewicz i Czapskiego podaje jako najważniejszych.

Poleca swój podręcznik o historii literatury polskiej, przekornie zaznaczając, że podobno napisany jest lekkim, a chwilami nawet pełnym humoru stylem.

Korespondencja ze strony Dedeciusa znacznie ożywia się po Noblu; ma dla poety szereg różnych wydawniczych propozycji, ale Miłosz odpowiada bardzo powściągliwie.

Na 75. urodziny tłumacza wysłała telegram z życzeniami pisząc, że za zdrości mu młodości, a w 1999 roku przesyła mu na jego prośbę trzydzieści wierszy do planowanego dwujęzycznego tomu.

K.M.

Dedecius – Miłosz, *Listy/Briefe 1958–2000*, zebrał, przygotował do druku, opatrzył przypisami i wstępem Przemysław Chojnowski, tłumaczenie listów Lothar Quinkenstein, Śródmiejskie Forum Kultury, Łódź 2011

Miłosz, Krasnogruda i Sejny, Miłosz i Suwalszczyzna, Miłosz i Pogranicze – rozwinięcie tych haseł znajdziemy w tomie pt. *Miłosz – Dialog – Pogranicze* zredagowanym przez Łukasza Galuska.

Z woli i z inspiracji Czesława Miłosza i staraniem Krzysztofa Czyżewskiego powstało w dworze i w oficynie w Krasnogrudzie Międzynarodowe Centrum Dialogu, które ma stać się łącznikiem ludzi polsko-litewskiego pogranicza.

Czym dla Miłosza był krasnogrudzki dwór i okręg sejneński, wiemy m.in. z tekstów z *Nieobjętej ziemi*, *Abecadła*, *Innego abecadła* i z wypowiedzi poety, które zostały przypomniane w tym tomie z towarzyszeniem mapy i wielu zdjęć oraz uzupełnione zapisem rozmowy Noblisty z młodzieżą sejneńską, w której mówi m.in. o swojej części litewskiej, o lekturach z dzieciństwa, o fascynacji ptakami i o pracy pisarskiej.

W części zatytułowanej *Miłosz i Suwalszczyzna* umieszczone jest szczegółowe kalendarium obecności Miłosza w tamtych stronach autorstwa Zbigniewa Fałtynowicza.

Dwie ostatnie sekwencje: *Miłosz i „Pogranicze”* oraz *„Pogranicze” i Krasnogruda* zawierają m.in. listy i teksty Miłosza, rozmowę z nim przeprowadzoną przez Krzysztofa Czyżewskiego, informacje o Prowincji Pedagogicznej Budowniczych Mostów, o organizowanych tam wystawach i akcjach oraz akt erekcyjny Międzynarodowego

Centrum Dialogu, które szybko zostało wzniesione i już działa. Jest to wspiane przedsięwzięcie i oby duch Miłosza był w nim ciągle obecny.

K.M.

*Miłosz – Dialog – Pogranicze*, redakcja Łukasz Galusek, Fundacja Pogranicza, Sejny 2011

Ksiądz profesor Jerzy Szymik jest autorem rozprawy habilitacyjnej o teologicznym wymiarze twórczości Czesława Miłosza i właśnie tego tematu dotyczy książka rozmów, które przeprowadził z nim Marcin Witan. Ks. Szymik to wielbiciel poezji Miłosza i jej wielki orędownik. O wierszach autora *Ocalenia* mówi z zachwytem i z pasją, np. o *Oeconomia divina*: „nie spotkałem drugiego utworu w światowej literaturze, który powiedziałby mi tyle na temat wyciekania istnienia ze świata z powodu bez-Bożności, nieobecności Boga”, czy o wersecie z *Ody na osiemdziesiąte urodziny Jana Pawła II*: „Wie Pan, ten jeden wersec – »co może jeden człowiek i jak działa świętość« – ja zbyt wielu tekstów teologicznych na tym poziomie – głębi i skrótu – nie znam. To na pewno wersec-arcydzieło”, a o nim samym, że był jego przewodnikiem w drodze ku mądrości i zawdzięcza mu nieskończenie wiele.

W rozmowie jest dużo odniesień do życia i twórczości Miłosza i znajdziemy

w niej wiele cennych i pożytecznych myśli i uwag oświetlających lub gruntujących to, co już wiemy. Ks. Szymik mówi, że Miłosz jest po stronie współczucia i cierpienia i że jest to dla niego charakterystyczne oraz że jest przeciwnikiem nihilizmowi, z którym zmagają się w wielkiej walce – są to dla niego sprawy główne i fundamentalne.

Ksiądz profesor, który jest także autorem tomików wierszy, mówi na kanwie utworów Miłosza m.in. o erozji wyobraźni religijnej, o współlistnieniu literatury i teologii, o miłoszowskiej egzegezie Księgi Hioba, o Miłoszu biblijnym i o eschatologiczności jego poezji, o jego mistycyzmie i obecnej w wierszach metafizyce śmierci, o jego wizyjności i teologii, której najgłębszą warstwą jest chrystologia, a także o jego sprzecznościach, bez których nie sposób go pojmować, o jego odwadze, determinacji i powściągliwości i o uważności na człowieka. Mówi również o języku i formie Miłosza w kontekście tego, z czym mamy do czynienia w literaturze współczesnej.

Uwielbienie nie wyklucza u ks. Szymika różnych wątpliwości, a nawet dystansu do Poety, co czyni z punktu widzenia ortodoksyjnego chrześcijaństwa, np. jest przeciw obecnej u Miłosza wizji Boga ukrytego i wycofanego, przeciw nie za mocnym łączeniu Chrystusa z Opatrznością, przeciw temu, że wiara jest czymś irracjonalnym, przeciw wątkom manichejsko-gnostyckim, czy

mistycznemu katolicyzmowi Oskara Miłosza, którego autor *Drugiej przestrzeni* uznawał za swojego mistrza, a którego ks. Szymik, jak przyznaje, mało rozumie, chociaż kto wie, czy to nie w tym kierunku, czyli w stronę mistyki powinno iść i rzeczywiście pójdzie w XXI wieku chrześcijaństwo.

W każdym razie Miłosz o ksiądze ks. Szymika dotyczącej jego teologii powiedział, że jest dla niego wygodna, bo gdyby miał stanąć przed trybunałem inkwizycji, to odsyłałby do poszczególnych jej stron w jego obronie.

Duże wrażenie robią cytaty z, jak stwierdza, najważniejszego do niego listu, który dostał od Miłosza w 1997 roku oraz wzruszający opis sceny ich pożegnania podczas ostatniego spotkania w mieszkaniu Poety na Bogusławskiego.

Tom kończą uwagi o *Orfeuszu i Eurydyce*, o którym ks. Szymik mówi, że jeżeli miałby zabrać jakiś jeden utwór na bezludną wyspę, to wzięłoby właśnie ten, o *Wierszach ostatnich*, a także o ostatnich wypowiedziach Miłosza. W jednej z nich powiedział: „Literatura to męka (...) zwykła dobroć jest więcej warta”, co ksiądz tak komentuje: „Wiem o życiu znacznie więcej, niż mówią moje wiersze. I wiem, że jest moje życie czymś znacznie większym niż moje wiersze... To był ten komunikat ostatnich tekstów”.

K.M.

*Nie jestem stąd. O chrześcijańskim obliczu twórczości Czesława Miłosza z księdzem profesorem Jerzym Szymikiem rozmawia Marcin Witan*, posłowie Agnieszka Kosińska, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2011



„Takiego traktatu młody człowiek nie napisze...” – tym cytatem z *Traktatu teologicznego* Czesława Miłosza i odwołaniem się do niego zaczyna swoje ostatnie dzieło Jacek Bolewski SJ (1946–2012), którego pamiętamy z łamów „Kwartalnika Artystycznego”. To dzieło monumentalne – liczący prawie pół tysiąca stron, zbudowany z trzech części traktat sofo-mariologiczny, napisany, jak stwierdza we wprowadzeniu, w Roku Miłosza i pod jego patronatem „z góry”.

Jest to erudycyjno-filologiczny, pełen światła i przestrzeni tekst, w którym najczęściej przywoływana jest Biblia, a także m.in. Karl Rahner, J.H. Newman, św. Augustyn, Dante, Benedykt XVI, Solowjow, Duns Szkot, Goethe, Jan Paweł II, św. Jan Chryzostom, Orygenes, Jung, Merton, św. Tomasz, Eliade, kardynał Wyszyński, Grzegorz z Nazjanzu, Platon, o. Kolbe, Gombrowicz i Evdokimov, a nawet teologia feministyczna.

Czytamy m.in. o biblijnym sensie archetypu i o typologii biblijnej, o objawieniu Mądrości i Jej postaciach, o Boskiej Sofii, Logosie i Pneumie i o wcieleniu Logosu, o rozwoju w Ewangeliach i o wizjach w Apokalipsie, o tradycji zgłębiania misterium, o Eklezji i Synagodze, o postęпах wizji teologicznej, o pobożności i dogmatach Maryjnych, wreszcie, w części trzeciej, o świetle Boga, znoszeniu grzechu pierwotnego, o dobrym spojrzeniu na zło, o świetle, o nadziei

powszechnego zbawienia, o modlitwie serca i o postawie początkującej. A na końcu, tak jak i na początku znajduje się: *Wprowadzenie*.

Pismo Święte o. Bolewski cytuje zasadniczo według wydania *Biblii Tysiąclecia*; nazywa ten przekład „potocznym” albo „przyjętym u nas”, ale często proponuje wierniejsze tłumaczenie, osobno to zaznaczając. Pojawiają się hebrajskie, greckie, a także łacińskie słowa poprzez które widzimy, jak ten „potoczny” przekład jest nie raz, ogólnie mówiąc, mylny i jak gubi sens, bez którego rozumienie Pisma jest po prostu niemożliwe: np. w *Ewangelii według świętego Jana* głębszy sens często pojawia się pod powierzchniowym, potocznym znaczeniem słów; w *Ewangelii według świętego Marka* niezwykle słowa Chrystusa: „Wszystko, o co w modlitwie prosicie, stanie się wam, tylko wiercie, że już otrzymaliście”, w wersji tyńieckiej istnieją jako: „Wszystko, o co w modlitwie prosicie, stanie się wam, tylko wiercie, że otrzymacie!” W *Księdze Hioba* słowa: „Ukryłeś te rzeczy (swój plan wobec mnie) w Twoim sercu; teraz wiem, że taki był Twój zamiar”, przetłumaczone są jako: „w sercu to ukrywałeś? Teraz już znam Twoje zamiary!”. A w *Księdze Syracha* istniejący sobie a Muzom przekład: „Jak od początku dobro zostało przeznaczone dla dobrych, tak zło – dla grzeszników”, powinien brzmieć: „Jak od początku dobro

zostało przeznaczone dla dobrych, tak dobro i zło – dla grzeszników”. Jakby dwa różne światy! To skupienie na słowach jest dla o. Jacka charakterystyczne, np. skrupulatnie poprawia w cytacie z książki Eliadego „transcendentalna” na „transcendentna”.

To gęsty od znaczeń i trudny traktat, ale warto się przez niego przebijać, bo, jak powiedziałem, daje światło i otwiera pole do poszukiwań i dążeń własnych. O. Bolewski podkreśla fragmentaryczność swoich wywodów i powołując się na *Das Ganze im Fragment* Hansa Ursa von Balthasara mówi, że całość zawsze wyrażana jest tylko częściowo, z czym jednak się pogodził, tak jak to jasno wyrażone jest w modlitwie Johna Henry’ego Newmana: „Prowadź mnie, Światło, swoją błogą opieką, / Światło odwieczne! / Noc mroczna, mój dom tak bardzo daleko, / Ty więc mnie prowadź. / Nie proszę rajów odległych widoku, / Starczy promyczek dla jednego kroku”.

K.M.

Jacek Bolewski SJ, *Misterium Mądrości. Traktat sofio-mariologiczny*, seria „Myśl Teologiczna”, tom 70, Wydawnictwo WAM, Kraków 2012

Kolorowy album dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza (1885–1939), ułożony chronologiczno-tematycznie według projektu Lecha Majewskiego i w monograficznym opracowaniu

Anny Żakiewicz, zawiera wiele dotąd nieznanych dzieł autora Szewców, m.in. niezwyklej autoportret z 1918 roku namalowany zaraz po powrocie z Rosji, portrety matki, Jadwigi Janczewskiej, czy zamieszczony na okładce ekspresyjny wizerunek Janiny Leszczyńskiej.

Całość oświetla tekst Żakiewicz rozpisany na sześć części z hasłowo porządkującymi tytułami: *W poszukiwaniu własnego stylu, Czas wojny i rewolucji, Przygoda z formizmem i romans z teatrem, Mieszanka firmowa, Rysunki i Życie towarzyskie i uczuciowe portrecisty, pisarza i filozofa*. W zbliżeniach i w epifanicznych błyskach widzimy, jak malarstwo tego jednego z największych i najwszechstronniejszych polskich twórców XX wieku przenika się z jego literaturą.

W sumie mamy tu ponad setkę niezwyklej obrazów, rysunków, fotografii, projektów kart tytułowych, pejzaży, kompozycji z postaciami, aktów, portretów pojedynczych, podwójnych i zbiorowych, tudzież autoportretów, kompozycji figuralnych, erotycznych i astronomicznych, pastelii, szkiców węglem, fantazji i cenników.

Motto z Witkacego: „Idź książeczko między ludzi / Idź i piękne myśli budź / A gdy myśl się piękna zbudzi / Sama zarźnie wszelką chuć” – dobrze wprowadza do tego, co jest w środku.

M.W.

Anna Żakiewicz, *Witkacy*, projekt graficzny Lech Majewski, Wydawnictwo BOSZ, Oleśnica 2012

Piękna edycja projektu Andrzeja Strumiły: teka z jego dwunastoma grafikami inspirowanymi ostatnimi wierszami Czesława Miłosza wydana w 100. rocznicę jego urodzin. Do ekspresyjnych, a jednocześnie ascetycznych rysunków w formacie A3 dołączona jest książeczka z mottem i z wierszami, w których, w każdym z nich, zaznaczone są dwa wersy jako źródło bezpośredniej inspiracji.

Mottem jest poetycki zapis z 2003 roku, który otwiera *Wiersze ostatnie* – (\*\*\*) *Zapisy mego czucia...*). Wśród wybranych przez malarza utworów są m.in. *Do Natury*, *Jedno zdanie*, *Księżniczka*, *Orfeusz i Eurydyka*, *Niebiańskie*, *Głos*, *Dobroć*, *Jeżeli* oraz *Sanctificetur*.

M.W.

Czesław Miłosz, *Wiersze ostatnie*, Andrzej Strumiła, *Rysunki*, Wydawnictwo Edyty Wittchen, Warszawa 2011

**Wydawca:**

Wojewódzki Ośrodek Kultury i Sztuki w Bydgoszczy przy finansowej pomocy  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego**

**Adres redakcji:**

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6  
tel. 52 585 15 04  
tel./fax 52 585 15 00; 52 585 15 04  
e-mail: kwartalnik@wok.bydgoszcz.com  
www.kwartalnik.art.pl  
87-100 Toruń, ul. Podmurna 60  
tel. 56 622 20 65

Administracja i prenumerata: Ewa Krupa  
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

**Warunki prenumeraty:**

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 20 USD / 15 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje  
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu,  
Urzędowi Miasta Bydgoszczy i Urzędowi Miasta Torunia za pomoc finansową*



Nakład 600 egzemplarzy

Skład, łamanie, druk i oprawa: PPU MULTIGRAF s.c.  
ul. Bielicka 76 C, 85-135 Bydgoszcz, tel./fax 52 340 41 37

Biuro Literackie

Bolesław Leśmian, *Z tamtej strony ciszy*, wybór i posłowie Jacek Gutorow, seria 44 Poezja polska od nowa, Wrocław 2012

Oficyna Literacka Noir sur Blanc

Dorota Masłowska, *Kochanie, zabiłam nasze koty*, Warszawa 2012

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

*Walko bóstw i mężów*, epos bohaterski z irlandzkiego przekazała Lady Augusta Gregory, przełożył z angielskiego i opracował Robert Stiller, Warszawa 2012

Monique Cottret, *Zabić tyrana? Tyranobójstwo w nowożytnej Europie*, przełożyli Anna Gabryś, Wojciech Prażuch, Warszawa 2012

Sándor Márai, *Znieważeni*, przełożyła Teresa Worowska, Seria Mała Proza, Warszawa 2012

Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas

Joanna Adamowska, *Różewicz i Herbert. Aksjologiczne aspekty twórczości*, Kraków 2012

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA

Terry Eagleton, *Po co nam kultura?* Seria Spectrum, przełożył Antoni Górny, Warszawa 2012

Richard Sennett, *Szacunek w świecie nierówności*, przełożył Jan Dzierzgowski, Warszawa 2012

Wydawnictwo Austeria

Bolesław Leśmian, *Żdźbło czasu / Lo stelo del tempo*, wprowadzenie i przekład Silvia Bruni, posłowie Marina Ciccarini, fotografie Adam Wodecki, Kraków–Budapeszt 2012

Wydawnictwo a5

Wisława Szymborska, *Wystarczy*, książka z płytą CD, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 74, Kraków 2012

Wydawnictwo ISKRY

Radosław Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, tom 1, Warszawa 2012

Władysław Mickiewicz, *Pamiętniki*, tekst na nowo opracował, wstępem, przypisami i notą opatrzył Marek Troszyński, Warszawa 2012

Wydawnictwo Literackie

Janusz Anderman, *Łańcuch czystych serc*, Kraków 2012

Witold Gombrowicz, *Ferdynand*, posłowie i rysunki Bruno Schulz, wydanie rocznicowe 75 lat powieści, Kraków 2012

Jarosław Mikołajewski, *Na wdechu*, Kraków 2012

Marian Pilot, *Nowy Matecznik*, Kraków 2012  
*Skrzydlate słowa. Wielki słownik cytatów polskich i obcych*, tom 2, opracował Henryk Markiewicz przy współudziale Marii Kotowskiej-Kachel i Andrzeja Romanowskiego, Kraków 2012

Wydawnictwo Sic!

Jarosław Marek Rymkiewicz, *Głowa owinięta koszulką*, tom 5 z cyklu *Jak bajeczne żurawie*, Warszawa 2012

Wydawnictwo słowo / obraz terytoria

Danuta Danek, *Śmierć wewnętrzna. Literatura w świetle doświadczenia psychoanalitycznego*, Gdańsk 2012

Marcin Gawlicki, *Zabytkowa architektura Gdańska w latach 1945–1951. Kształtowanie koncepcji konserwacji i odbudowy*, Gdańsk 2012

*Schulz/Forum 1*, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2012